

NAJNOWSZY BESTSELLER

JOHN GRISHAM


AMBER
SREBNA
SERIA



CZUWANIE


AMBER
SREBNA
SERIA

CZUWANIE

Przekład

JAN KRAŚKO

Scan by ka_ga

Tyowi i cudownym chłopakom, z którymi grał w ogólniaku; ich wspaniałemu trenerowi i wspomnieniom z rozgrywek zakończonych dwukrotnie zdobyciem tytułu mistrza stanu WTOREK

Droga na stadion Rake'a biegła przed szkołą, przed starą salą ćwiczeń orkiestry, przy kortach tenisowych, potem wpadała w tunel żółto-czerwonych klonów, które kupili i posadzili hojni sponsorzy, a jeszcze potem pięła się na niskie wzgórze, by opaść zboczem na asfaltowy parking na tysiąc samochodów. Kończyła się przed wielką bramą z cegły i kutego żelaza, za którą było już tylko siatkowe ogrodzenie, a za ogrodzeniem otoczone nabożną czcią boisko. W piątkowe wieczory przed bramą stało całe miasto, żeby po jej otwarciu wpaść na trybuny, zająć jak najlepsze miejsca i niecierpliwie czekać, aż skończą się przedmeczowe pokazy. Wyasfaltowany plac przed stadionem zapełniał się na długo przed pierwszym wykopem, dlatego przyjezdni musieli parkować na bitych drogach, w bocznych uliczkach czy na odległych parkingach za szkolną stołówką i za boiskiem do baseballu. Kibice drużyny gości mieli w Messinie kiepsko, ale nie tak kiepsko jak ich ulubieńcy.

Drogą na stadion jechał powoli Neely Crenshaw. Jechał powoli dlatego, że nie był tu od wielu lat, i dlatego, że gdy zobaczył płonące na stadionie światła, momentalnie naszła go potężna fala wspomnień, tak jak to przewidywał. Samochód toczył się niespiesznie pod żółto-czerwonymi klonami, ubranymi w jaskrawe jesienne szaty. W dniach chwały Neely'ego drzewa miały pnie grube zaledwie na trzydzieści centymetrów, a teraz stykały się ze sobą konarami, gubiąc liście i zasypując szosę płatkami złotego śniegu.

Było późne październikowe popołudnie i wiał lekki północny wiatr. Pochłodziło.

Neely zatrzymał samochód przed bramą i popatrzył na boisko. Wszelki ruch zamarł, myśli napęczniały obrazami i dźwiękami z tamtego życia. Za jego czasów stadion nie miał nazwy, bo żadna nie była potrzebna. Wszyscy w Messinie nazywali go po prostu stadionem. „Chłopcy są już na stadionie - mówiono w kawiarniach i barach. - Wcześniej dziś wyszli”. „O której sprzątam stadion?”

- pytano u rotarian. „Rake mówi, że na stadionie przydałyby się nowe ławki dla gości” - powiadano na spotkaniach sponsorów. „Już wieczór, a oni wciąż na stadionie - gadano w piwiarniach w północnej części miasta. - Rake późno ich dzisiaj wypędził”.

Żadnego miejsca w Messinie nie czczono bardziej niż tego. Nawet cmentarza.

Po odejściu Rake'a stadion nazwano jego imieniem. Oczywiście Neely'ego tu już wtedy nie było, i to od dawna. Wyjechał i nie zamierzał wracać.

W sumie nie wiedział, dlaczego jednak wrócił, chociaż w głębi serca zawsze czuł, że chwila ta nadejdzie, że nadejdzie dzień, gdy coś go tu wezwie. Zawsze też wiedział, że Rake w końcu umrze, że będzie pogrzeb z setkami byłych Spartan wokół trumny, zawodników w zielonych koszulkach oplakujących śmierć człowieka-legendy, którego kochali i nienawidzili zarazem. Ale jakże często powtarzał sobie, że nie wróci na stadion, dopóki Rake żyje.

Daleko za trybunami dla gości były dwa boiska treningowe, jedno oświetlone. Żadna inna szkoła w stanie nie mogła marzyć o takim luksusie, ale z drugiej strony, żadne inne miasto nie czcilo futbolu tak żarliwie i tak powszechnie jak Messina. Usłyszał gwizdek trenera i zaraz potem głuchy łoskot zderzających się ze sobą ciał; drużyna Spartan ćwiczyła przed piątkowym meczem. Neely przeszedł przez bramę i stanął na - jakżeby inaczej - zielonej bieżni.

Trawa w strefie przyłożeń była dobrze przystrzyżona i nadawała się do gry, ale przy bramkach trochę odbijała. Poza tym w rogach rosły kępy zielska i gdy je zauważył, zauważył też, jak nierówno przystrzyżono ją przy bieżni. W dniach chwały co czwartek przychodziło tu kilkudziesięciu ochotników z ogrodowymi nożycami, którzy starannie przycinali każde niesforne źdźbło.

Ale dni chwały minęły. Odeszły wraz z Rakiem. Teraz w futbol grali zwykli śmiertelnicy, a miasto straciło całą butę i zadziorność.

Coach Rake zbluzgał kiedyś pewnego elegancko ubranego dżentelmena, który srodze zgrzeszył, wchodząc na uświęconą murawę boiska. Dżentelmen ów szybko wskoczył na bieżnię i gdy podszedł bliżej, Rake zdał sobie sprawę, że to sam burmistrz. Burmistrz był urażony i obrażony. Rake miał to gdzieś. Nikt nie miał prawa wchodzić na jego boisko i kropka. Burmistrz, który nie nawykł do tego, że publicznie go wyzywano, pociągnął za wszystkie sznurki, by wyrzucić go z pracy, ale Rake bez trudu dał mu odpór i podczas głosowania w radzie miejskiej wygrał z nim cztery do jednego.

W tamtych czasach Eddie Rake cieszył się w Messinie większym poważaniem niż wszyscy politycy razem wzięci, ale zupełnie go to nie obchodziło.

Tuż przy linii bocznej Neely szedł powoli w kierunku trybun dla gospodarzy, lecz raptem przystanął, wziął głęboki oddech i zastygł bez ruchu. Znowu naszła go przedmeczowa trema, znowu usłyszał ryk tłumu ludzi siedzących ramię przy ramieniu na przepelnionych trybunach i bojową pieśń Spartan w wykonaniu grającej pośrodku orkiestry. A tuż za linią boczną, ledwie kilka kroków od miejsca, gdzie teraz stał, znowu zobaczył zawodnika z numerem dziewiętnastym na koszulce, który rozgrzewał się nerwowo na oczach wielbiących go kibiców. Numer dziewiętnasty był

mistrzem szkół średnich, najlepszym graczem w Stanach, quarterbackiem* o złotym ramieniu, szybkich nogach, sporym wzroście i masie ciała, być może najlepszym zawodnikiem, jakiego kiedykolwiek wydała Messina.

Numer dziewiętnasty był Neelym Crenshawem z tamtego życia.

Zrobił jeszcze kilka kroków wzdłuż linii bocznej, stanął przy pięćdziesiątce, przy linii przecinającej

stujardowe boisko dokładnie na pół, w miejscu, z którego Rake dyrygował setkami meczów, i spojrzął na puste ławki, gdzie kiedyś w piątkowe wieczory zasiadało dziesięć tysięcy ludzi, żeby dać upust emocjom, jakie wywoływała w nich drużyna miejscowego ogólniaka.

Słyszał, że teraz przychodzi ich połowę mniej.

Upłynęło piętnaście lat, odkąd dziewiętnastka przyprawiała tak wielu o dreszcz podniecenia.

Piętnaście lat, odkąd grał na tym świętym boisku. Ileż razy obiecywał sobie, że nigdy nie zrobi tego, co właśnie robił? Ileż razy poprzysięgał sobie, że tu nie wróci?

Na boisku treningowym gwizdał trener i ktoś krzyczał, ale on ledwie to słyszał. Za to wyraźnie słyszał bębny orkiestry,

chrapliwy, niezapomniany głos Bo Michaela z głośników, ogłuszający trzask ławek, na których podskakiwali kibice.

Słyszał też opryskliwe powarkiwania Rake'a, chociaż w ogniu walki trenerowi rzadko kiedy puszczały nerwy.

A tam były „zagrzewajki”, cheerleaderki w krótkich spódniczkach, które podskakiwały na opalonych, pięknie umięśnionych nogach, zachęcając tłum do gorętszego kibicowania. Neely miał w czym wtedy wybierać.

Jego rodzice siedzieli na czterdziestym jardzie, osiem rzędów pod budką dla prasy. Przed każdym wykopem machał ręką matce. Prawie przez cały mecz się modliła, pewna, że syn skręci sobie kark.

Łowcy głów z college'u dostawali bilety do rzędu siedzeń z oparciami, dokładnie na pięćdziesiątym jardzie, a więc najlepsze. Pewnego razu ktoś naliczył trzydziestu ośmiu obserwatorów, a wszyscy przyjechali tylko po to, żeby popatrzeć na dziewiętnastkę. Ponad sto college'ów napisało do niego listy; ojciec wciąż je przechowywał. Trzydzieści jeden zaproponowało pełne stypendium. Gdy wreszcie podpisał umowę z Tech, zwołano specjalną konferencję prasową i trąbiły o tym wszystkie gazety.

Stadion na dziesięć tysięcy miejsc w mieście liczącym osiem tysięcy mieszkańców. Rachunki nigdy się nie zgadzały. Ale ludzie przyjeżdżali tu z całego hrabstwa, z najgłębszego zadupia, gdzie w piątek wieczorem nie było co robić. Dostawali wyplatę, kupowali piwo, sunęli do Messiny, przychodzili na stadion, zajmowali północny sektor i robili więcej hałasu niż uczniaki, orkiestra i miejscowi razem wzięci. Kiedy był małym chłopcem, ojciec nie pozwalał mu tam siadać. Te

„wsioki” chlały piwo, biły się i wyzywały sędziów. Kilka lat później, już jako numer dziewiętnasty,

* Rozgrywający. Podczas meczu na boisku znajduje się po jedenastu graczy z każdej drużyny: jedenastka atakująca i jedenastka broniąca. Oprócz tego w rezerwie znajdują się pozostali zawodnicy, którzy są wystawiani przez trenera w zależności od rodzaju akcji w ataku lub w obronie, oraz gracze do zadań specjalnych, czyli special team, w której są między innymi kopacz, kopiący piłkę z powietrza punter oraz snapper wysyłany na boisko do tzw. długiego snapowania (podawanie

piłki do tyłu, między swoimi nogami, do stojącego w oddali puntera). Podczas meczu ligi NFL drużyna może wykorzystać w grze czterdziestu pięciu graczy, lecz tylko jedenastu z nich może przebywać jednocześnie na boisku. W typowym czterdziestopięcioosobowym składzie podczas meczu NFL znajduje się: trzech quarterbacków, punter, placekicker (kopacz-specjalista od kick-returnu), ośmiu ofensywnych linemenów, czterech running-backów, pięciu skrzydłowych, dwóch graczy tight-ends, siedmiu defensywnych linemenów, siedmiu linebackerów i sześciu obrońców (wszystkie przypisy tłumacza).

uwielbiał tych rozwrzeszczanych „wsioków” i był pewien, że oni uwielbiają jego.

Ale teraz na stadionie panowała cisza, teraz stadion czekał. Neely schował ręce do kieszeni i ruszył powoli przed siebie - zapomniany bohater, którego gwiazda przedwcześnie zgasła. Przez trzy sezony grał jako quarterback. Zaliczył ponad sto przyłożeń. Ani razu nie przegrał na swoim boisku.

Wspomnienia powracały, chociaż próbował je od siebie odpędzić. Tamte czasy już minęły, powtórzył sobie po raz setny. Już dawno minęły.

Za południową linią końcową sponsorzy wzniesli gigantyczną tablicę wyników, a na zamocowanych wokół niej wielkich planszach wielkimi zielonymi literami wypisano historię miejscowego futbolu. Tym samym była to historia Messiny. 1960-1961: dwa sezony bez porażki; Rake miał wtedy tylko dwadzieścia dziewięć lat. 1964: początek złotej serii, która trwała do końca lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych. W 1970, miesiąc po narodzinach Neely'ego, Messina przegrała mecz o mistrzostwo stanu z South Wayne i złota seria dobiegła końca. Osiemdziesiąt cztery zwycięstwa z rzędu, w tamtych czasach krajowy rekord. Eddie Rake stał się legendą w wieku trzydziestu dziewięciu lat.

Ojciec opowiadał, że po tej porażce miasto ogarnął niewysłowiony smutek. Jakby nie wystarczyły im osiemdziesiąt cztery zwycięstwa. To była paskudna zima, ale Messina przetrwała i już w następnym sezonie chłopcy Rake'a rozgromili South Wayne trzynaście do zera, zdobywając mistrzostwo stanu. Zdobyli też kolejne, w siedemdziesiątym czwartym, siedemdziesiątym piątym i siedemdziesiątym dziewiątym.

Potem przyszła posucha. Od osiemdziesiątego do osiemdziesiątego siódmego, kiedy to Neely zdał do ostatniej klasy, Spartanie nie doznali ani jednej porażki, wygrywając wszystkie konferencje i play-offy tylko po to, żeby przegrać w stanowych finałach. W Messinie zapanowało niezadowolenie. Miejscowi narzekali w knajpach i kawiarniach. Starsi tęsknili za czasami złotej serii. Drużyna z jakiej kalifornijskiej szkoły wygrała dziewięćdziesiąt razy z rzędu i miasto się obraziło.

Po lewej stronie tablicy wyników, na zielonej planszy białymi literami wypisano nazwiska największych bohaterów Messiny. Siedem numerów zastrzeżono*, dziewiętnastkę Neely'ego jako ostatnią. Tuż obok dziewiętnastki widniała pięćdziesiątka-szóstka Jessego Trappa, linebackera**, który przez krótki czas grał w Miami, a potem trafił do więzienia. W siedemdziesiątym czwartym Rake zastrzegł numer osiemdziesiąty pierwszy, Romana Armsteada, jedyne Spartanina, który grał w NFL.

Za południową strefą przyłożeń stała szatnia, której mógł im pozazdrościć każdy college. Miała siłownię, szafki, przebieralnię dla gości z wykładziną na podłodze i prysznic. Szatnię też zbudowali sponsorzy po intensywnej kampanii reklamowej i zbiórce pieniędzy, która trwała całą zimę i pochłonęła całe miasto. Nie oszczędzono żadnych kosztów, nie dla Spartan z Messyny. Coach Rake chciał mieć siłownię, szafki i pokoje dla trenerów, i sponsorzy natychmiast zapomnieli o Bożym Narodzeniu.

Na stadionie było coś nowego, coś, czego Neely przedtem nie widział. Tuż za bramką do szatni stał brązowy pomnik na ceglanyim piedestale. Neely podszedł bliżej. Był to Rake.

Ponadnaturalnych rozmiarów popiersie Rake'a ze zmarszczkami na czole, ze znajomo wykrzywionymi ustami i cieniem uśmiechu w oczach. Na głowie miał sfatygowaną czapkę Spartan, tę samą, którą nosił przez całe dziesięciolecie. Brązowe popiersie Eddiego Rake'a w wieku pięćdziesięciu lat: pięćdziesięciu, nie siedemdziesięciu. W cokół wmurowano tablicę z entuzjastycznym opisem jego osiągnięć, ze szczegółami, które niemal każdy mieszkaniec Messyny mógł wyrecytować z pamięci: trzydzieści cztery lata jako główny trener

* Zastrzeżenie numeru oznacza, że żaden zawodnik danego klubu nie może w przyszłości używać numeru należącego kiedyś do słynnego gracza, który zakończył już karierę. Na przykład w Chicago Bulls zastrzeżony jest numer dwudziesty trzeci, gdyż był to numer Michaela Jordana.

** Obrona dzieli się na trzy podformacje: defence-liners, linebackers i tzw. secondary, wspomaganie. Linebackerzy, najczęściej trzech, stoją kilka jardów za defence liners. To najbardziej uniwersalni gracze obrony. Zatrzymują przeciwnika, jeśli przebije się przez pierwszy mur obrońców.

Spartan, czterysta osiemnaście zwycięstw, sześćdziesiąt dwie porażki, trzynaście tytułów stanowych, złota seria, która rozpoczęła się w sześćdziesiątym czwartym i trwała aż do osiemdziesiątego czwartego.

Był to ołtarz i Neely niemal widział, jak przed każdym piątkowym meczem wchodzący na boisko Spartanie pochylają przed nim głowę.

Dmuchał wiatr, zawirowały liście. Trening dobiegł końca i brudni, złani potem zawodnicy, ledwo powłócząc nogami, szli do szatni. Nie chciał, żeby go widzieli, więc zawrócił do bramy. Wszedł

między ławki, wspiął się do trzydziestego rzędu i usiadł samotnie w miejscu, skąd roztaczał się widok na stadion i na dolinę. W oddali, ponad czerwonozłotymi wierzchołkami drzew, strzelały w niebo wieże kościołów. Ta po lewej należała do kościoła metodystów, a ulicę za nią, niewidoczny nawet z najwyższych rzędów stadionu, stał ładny, piętrowy dom, który miasto sprezentowało Eddiemu Rake'owi w dniu jego pięćdziesiątych urodzin.

W domu tym Miss Lila, jej trzy córki i pozostali Rake'owie czekali, aż trener wyda ostatnie tchnienie. Na pewno byli tam również przyjaciele, były zawałone jedzeniem stoły i porozstawiane wszędzie kwiaty.

Czy byli tam również Spartanie? Neely bardzo w to wątpił.

Następny samochód, który wjechał na parking, zatrzymał się obok jego samochodu. Ten Spartanin był w marynarce i w krawacie i on też unikał wchodzenia na murawę, idąc niespiesznie bieżnią.

Zauważył Neely'ego i wszedł na trybuny.

- Długo tu siedzisz? - spytał, gdy ściskali sobie ręce.

- Nie - odrzekł Neely. - Umarł?

- Nie. Jeszcze nie.

Paul Curry wyłapał czterdzieści siedem z sześćdziesięciu trzech piłek na przyłożenie, które Neely posłał mu w ciągu trzech lat wspólnie spędzonych na boisku. Crenshaw do Curry'ego, Crenshaw do Curry'ego, i tak przez cały czas. Byli praktycznie nie do zatrzymania. Byli też współkapitanami. I bliskimi przyjaciółmi, których ścieżki rozeszły się z biegiem lat. Wciąż do siebie dzwonili, trzy, cztery razy w roku. Jego dziadek zbudował pierwszy bank w Messynie, więc Paul miał zapewnioną przyszłość już w dniu narodzin. Ożenił się z miejscową dziewczyną, też z bogatej rodziny. Neely był

jego drużbą i wtedy to po raz ostatni przyjechał do miasta.

- Jak tam rodzina? - spytał.

- Dobrze. Mona jest w ciąży.

- Jak zwykle. To piąte czy szóste?

- Dopiero czwarte.

Neely pokręcił głową. Siedzieli kilkadziesiąt centymetrów od siebie, patrząc w dal i gadając, lecz obydwaj byli pochłonięci własnymi myślami. Zza szatni dochodził warkot odjeżdżających samochodów i półciężarówek.

- Jak tam drużyna? - spytał Neely.

- Nieźle. Cztery wygrali, dwa przegrali. Trenerem jest młody facet z Missouri. Podoba mi się. Ale nie ma dobrego narybku.

- Z Missouri?

- Tak. Nikt inny w promieniu tysiąca pięciuset kilometrów nie chciał tu przyjść.

Neely zerknął na niego i powiedział:

- Przytyłeś.

- Jestem bankowcem i rotarianinem, ale i tak bym z tobą wygrał. - Zamilkł. Było mu głupio, że z tym wyskoczył. Lewe kolano Neely'ego było dwa razy większe od prawego.

- Na pewno - odrzekł z uśmiechem Neely. Nie ma sprawy, Paul.

Patrzyli, jak odjeżdżają ostatnie samochody, z których większość ruszała, a przynajmniej próbowała ruszyć z piskiem opon. To była jedna z ich pomniejszych tradycji.

Po chwili znowu zapadła cisza.

- Przychodzisz na stadion, kiedy nikogo tu nie ma? - spytał Neely.

- Kiedyś przychodziłem.

- I łazisz wokół boiska, wspominając, jak to kiedyś było?

- Teraz już nie. Ale wszystkich to dopada.

- Jestem tu pierwszy raz, odkąd zastrzegli mój numer.

- A tobie widzę nie przeszło. Ciągle żyjesz przeszłością, wciąż marzysz, wciąż jesteś najlepszym quarterbackiem w Stanach.

- Żałuję, że w ogóle zobaczyłem piłkę.

- W tym mieście nie miałeś wyboru. Rake ubrał nas w koszulki, kiedy byliśmy w szóstej klasie.

Cztery drużyny: czerwoni, błękitni, złoci i czarni, pamiętasz? Zielonych nie było, bo każdy pacan chciał nosić zieloną koszulkę. Graliśmy we wtorki i ściągaliśmy tu więcej kibiców niż niejeden ogólniak. Asystenci Rake'a uczyli nas tych samych zagrywek, które oglądaliśmy w piątki. Tego samego systemu. Marzyliśmy o Spartanach, o grze przed dziesięcioma tysiącami fanatyków. W

dziewiątej klasie, kiedy przejął nas sam Coach, znaleźliśmy wszyściutkie numery, czterdzieści słynnych zagrywek Rake'a. Mogliśmy stosować je nawet we śnie.

- Do tej pory je pamiętam - odrzekł Neely.

- Ja też. A pamiętasz, jak przez bite dwie godziny kazał nam rypać przekładankę w prawo?

- Tak, bo ciągle coś knociłeś.

- A potem przegnał nas po ławkach, aż się porzygaliśmy.

- Cały Rake - wymamrotał Neely.

- Najpierw liczysz lata do chwili, kiedy będziesz mógł włożyć koszulkę, a potem jesteś bohaterem, idolem, zadziornym sukinsynem, bo w tym mieście nie można zawalić. Wygrywasz i wygrywasz, jesteś królem tego światka, aż tu nagle puf! - i do widzenia. Grasz ostatni mecz i wszyscy płaczą.

Nie wierzysz, że to już koniec. Przychodzi kolejna drużyna i nikt cię już nie pamięta.

- To było tak dawno temu...

- Piętnaście lat, stary. Kiedy byłem w college'u i wracałem do domu na święta czy na wakacje, trzymałem się jak najdalej stąd. Nie przejeżdżałem nawet przed szkołą. Ani razu nie widziałem Rake'a, nie chciałem. No i któregoś wieczoru, latem, tuż przed wyjazdem, kupiłem sześć piw, wlałem tu, usiadłem i zacząłem wspominać. Przesiedziałem tak kilka godzin. Widziałem, jak ganiamy po murawie, jak zdobywamy punkty, kiedy tylko nam się zachce, jak rozpirzamy wszystkich w pył. Było cudownie. A potem serce mi się ścisnęło, że to już nie wróci, że dni naszej chwały minęły, i to błyskawicznie.

- Nienawidziłeś go wtedy?

- Rake'a? Nie, wtedy go kochałem.

- Codziennie inaczej.

- Każdy tak.

- Dalej cię boli?

- Już nie. Kiedy się ożeniłem, kupiłem bilet na cały sezon, wstąpiłem do klubu sponsorów i tak dalej, jak każdy. Z czasem zapomniałem, że kiedyś byłem bohaterem. Stałem się zwykłym kibicem.

- Chodzisz na wszystkie mecze? Paul wskazał w lewo.

- Jasne. Bank ma tu cały sektor.

- Sektor to wystarczyłby dla twojej rodzinki.

- Mona jest bardzo płodna.

- Widzę. Jak teraz wygląda?

- Jak baba w ciąży.

- Nie, czy ma dobrą figurę?

- Pytasz, czy nie jest gruba?

- Właśnie.

- Nie, dwie godziny dziennie zasuwa w siłowni i je tylko sałatę. Wygląda świetnie i zaprasza cię dzisiaj na kolację.

- Na sałatę?

- Na co zechcesz. Zadzwoń do niej?

-
Nie, jeszcze nie. Pogadajmy.

Umilkli i długo milczeli. Przed bramą stanął pikap. Kierowca, przysadzisty facet w wypłowiałych dżinsach i w dżinsowej czapce, miał gęstą brodę i lekko utykał. Minął strefę przyłożeń, wszedł na bieżnię, potem między ławki i dopiero wtedy zauważył, że Neely i Curry obserwują każdy jego ruch.

Skinął im głową usiadł kilkanaście rzędów niżej i znieruchomiał tam samotnie, patrząc na boisko.

- Orley Short. - Paul wreszcie skojarzył twarz z nazwiskiem. - Koniec lat siedemdziesiątych.

- Tak, pamiętam go. Najwolniejszy linebacker w historii klubu.

- I najwredniejszy. Przez rok grał w jakimś college'u, potem rzucił to w cholerę i poszedł do lasu ścinać drzewa.

- Rake lubił drwali, co?

- A my to nie? Czterech drwali w obronie i mistrzostwo konferencji w kieszeni.

Za pikapem Shorta stanął drugi pikap i wysiadł z niego zażywny mężczyzna w dżinsowym kombinezonie i w dżinsowej czapce. Wszedł na trybuny, przywitał się z Shortem i usiadł obok niego.

Chyba się tu nie umawiali.

-
Nie, cholera, nie pamiętam - mruknął sfrustrowany Paul.

-Nie kojarzę go.

Przez trzydzieści pięć lat Rake wytrenował setki chłopaków z Messiny i z całego hrabstwa.

Większość z nich została w mieście. Znali się. Tworzyli małe bractwo, do którego wstęp mieli jedynie nieliczni.

- Powinieneś częściej przyjeżdżać - rzucił Paul, uznawszy, że pora coś powiedzieć.

- Dlaczego?

- Choćby do kumpli.

- A może nie chcę ich widywać?

- Czemu?

- Nie wiem.

- Myślisz, że będą wypominać ci, że nie zdobyłeś pucharu Heismana*?

- Nie.

- Nie bój nic, pamiętają cię, ale już dawno przeszedłeś do historii. Dla nich ciągle jesteś najlepszy w Stanach, ale to było dawno temu. Wpadnij do Renfrowa, sam zobaczysz. Maggie wciąż ma to twoje wielkie zdjęcie, wisi nad kasą. Co czwartek jem tam śniadanie i zawsze któryś z naszych, z tych starszych, zaczyna tę samą rozmowę: kto był najlepszym quarterbackiem w historii Messiny, Neely Crenshaw czy Wally Webb. Webb występował przez cztery lata, zaliczył czterdzieści sześć zwycięstw z rzędu, nigdy nie przegrał, i tak dalej, i tak dalej. Ale Crenshaw grał przeciwko czarnym, a mecze były wtedy szybsze i ostrzejsze. Crenshaw przeszedł do Tech, a z Webba był za cienki Bolek, żeby zagrać w pierwszej lidze. Kłóca się przez cały czas. Ciągle cię kochają.

- Dzięki, ale chyba tam nie pójde.

- Jak chcesz.

- To było kiedyś, Paul.

- Przestań, odpuść sobie. Ciesz się wspomnieniami.

- Nie mogę. We wspomnieniach jest Rake.

- To dlaczego przyjechałeś?

- Nie wiem.

W kieszeni ciemnego eleganckiego garnituru Paula zadzwoniła komórka. Wyjął ją i rzucił:

-

Curry. No? Jestem na stadionie z Crenshawem... Tak, przyjechał... Słowo honoru. Dobra.

Zatrzasnął wieczko i schował komórkę do kieszeni.

-

Silos - mruknął. - Powiedziałem mu, że może przyjedziesz.

Neely uśmiechnął się do wspomnień i pokręcił głową. Silos Mooney.

* Puchar przyznawany corocznie najlepszemu w kraju zawodnikowi akademickiemu.

- Nie widziałem go od matury.

- On chyba nie zrobił matury.

- Fakt, zapomniałem.

- Miał kłopoty z policją. Handlował prochami. Ojciec wykopał go z chałupy na miesiąc przed egzaminami.

- Tak, teraz pamiętam.

- Przez kilka tygodni mieszkał u Rake'a w piwnicy, a potem wstąpił do wojska.

- Co teraz robi?

- Hmm, powiedzmy, że karierę, dość barwną karierę. Po tym, jak karnie zwolnili go z wojska, przez kilka lat harował na platformach wiertniczych. Wreszcie zmęczony się uczciwą pracą wrócił

do Messyny i handlował prochami, dopóki ktoś nie wygarnął do niego ze spluwy.

- Rozumiem, że chybił.

- O włos, ale to wystarczyło, żeby Silos spróbował żyć jak Pan Bóg przykazał. Pożyczyłem mu pięć tysięcy, odkupił sklep obuwniczy od starego Franklina i został wielkim przedsiębiorcą.

Obniżył ceny butów, podwoił pensję pracownikom i w ciągu roku zbankrutował. Potem sprzedawał kwatery cementarne, potem używane samochody, jeszcze potem domy na kółkach. Na jakiś czas straciłem go z oczu. Pewnego dnia przyszedł do banku, spłacił gotówką cały dług i powiedział, że wreszcie znalazł żylę złota.

- W Messynie?

- A jak. Jakimś cudem udało mu się wysiudać starego Joslina ze składnicy złomu, tej wiesz, pod miastem. Wyremontował magazyn i oficjalnie prowadzi tam zakład blacharski. Dojna krowa. Ale na zapleczu, tak zupełnie nieoficjalnie, ma dziuplę i ściąga tam kradzione pikapy. To jest dopiero dojna krowa.

- I powiedział ci o tym?

- O dziupli nie, ale ma konto w moim banku, poza tym sekrety i tajemnice w Messynie? Trudno je ukryć. Wszedł w jakiś układ z szajką złodziei w obu Karolinach. Podrzucają mu kradzione wozy, on rozbiera je i opycha części. Wszystko za gotówkę, za bardzo duży szmal.

A policja?

Na razie nie interweniują, ale ci, co robią z nim interesy, są bardzo ostrożni. Lada dzień może wpaść do mnie FBI z nakazem, więc jestem przygotowany.

- Cały Silos...

To wrak. Chleje, gania za babami, szasta forszą. Wygląda dziesięć lat starzej.

- Dlaczego mnie to nie dziwi... Ciągłe się bije?

- Cały czas. Uważaj, co mówisz o Rake'u. Nikt nie kocha go bardziej niż on. Przygrzeje ci, że hej.

- Spokojnie.

Jako środkowy napastnik i środkowy obrońca Silos Mooney niepodzielnie panował na każdym boisku, na którym przyszło mu grać. Miał niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu i wyglądał, cóż, wyglądał jak silos: wszystko miał duże i grube, korpus, ręce i nogi. Występował z nimi przez trzy lata.

W przeciwieństwie do Neely'ego i Curry'ego, w każdym meczu zaliczał średnio trzy faule osobiste.

Raz zaliczył cztery, po jednym w każdej kwarcie. Dwa razy usunięto go z boiska za to, że kopnął w krocze linemana przeciwników. Żył żądzą krwi i toczył ją z każdego biedaka, który miał niefart stać naprzeciwko niego przed wznowieniem gry*.

- Puścił juchę, skurwiel - syczał w kupie, zwykle pod koniec pierwszej połowy. -Nie dociągnie do końca meczu.

- Co się czaisz, zabij sukinsyna, i już - odpowiadał Neely, rozwścieczając go jeszcze bardziej. Im mniej obrońców, tym łatwiej dla niego.

* Przed każdym kolejnym wznowieniem gry obydwie rywalizujące formacje (atak i obrona) ustawiają się twarzą do siebie po przeciwnych stronach piłki. Piłka jest ustawiona na wyznaczonej przez sędziego linii wznowienia. Tylko siedmiu graczy ataku i siedmiu graczy obrony może ustawić się w odległości 1 jarda od linii, natomiast pozostała czwórka graczy obydwu rywalizujących formacji musi stać z tyłu, w polu zwanym backfield.

Żadnego innego gracza Coach Rake nie wyzywał tak często i z takim entuzjazmem jak jego. Nikt bardziej na to nie zasłużył. I nikt nie łaknął tych wyzwisk bardziej niż on.

Daleko w północnym sektorze, tam gdzie „wsioki” robiły kiedyś tyle hałasu, na najwyższy rząd ławek powoli wspinał się starszy mężczyzna. Z tej odległości trudno go było rozpoznać, zresztą na pewno chciał być sam. Usiadł, spojrzał na boisko i wkrótce pogrzył się we wspomnieniach.

Pokazał się pierwszy biegacz i zaczął truchtać bieżnią w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. O tej porze przychodzili tu różni, żeby zaliczyć kilka kółek albo po prostu pospacerować. Za czasów Rake'a rzecz nie do pomyślenia, ale kiedy go wyrzucili, w mieście zebrano podpisy pod wnioskiem, żeby udostępnić bieżnię tym, którzy zechcą za to zapłacić. W pobliżu zwykle krążył cięć, uważnie pilnując, żeby nikt nie śmiał wejść na murawę Stadionu Rake'a. I nikt nie miał na to żadnych szans.

- A gdzie jest Floyd? - spytał Neely.

- Siedzi w tym swoim Nashville. Brzdąka na gitarze i pisze szmirowatą muzykę. Ściga się z marzeniami.

- A Ontario?

- Jest tutaj, pracuje na poczcie. Mają z Takitą troje dzieci. Takita uczy w szkole i jest bardzo miła, jak dawniej. Pięć razy w tygodniu chodzą do kościoła.

- A więc Ontario wciąż się uśmiecha...

- Cały czas, jak kiedyś.

- A Denny?

- Też tu jest. Uczy chemii w tamtym budynku. Nie przepuścił ani jednego meczu.

- Zdawałeś chemię?

- Nie.

- Ja też nie. Miałem same piątki, chociaż ani razu nie otworzyłem książki.

- Nie musiałeś. Byłeś najlepszy w Stanach.

- Jesse jeszcze siedzi?

- O tak, i nieprędko wyjdzie.

- Gdzieś tu?

- W Buford. Codziennie widzę jego matkę i zawsze o niego pytam. Płacze bidula, ale nic na to nie poradzę.

- Ciekawe, czy wie o Rake'u.

Paul wzruszył ramionami i nastąpiła kolejna przerwa w rozmowie, którą wypełnili obserwowaniem staruszka truchtającego żmudnie wokół boiska. Za staruszką szły dwie tęgie młode kobiety.

Więcej energii traciły na gadanie niż na spacerowanie.

- Dowiedzieliście się wreszcie, dlaczego Jesse przeszedł do Miami? - spytał Neely.

- Nie. Krążyły plotki o dużej forsie, ale Jesse nie puścił pary z gęby.

- Pamiętasz, jak zareagował Rake?

- Jasne, chciał go zabić. Pewnie obiecał go tym z A&M.

- Zawsze lubił rozdawać prezenty - powiedział Neely z miną człowieka doświadczonego. - Chciał, żebym poszedł na stanowy.

- I powinieneś.

- Teraz już za późno.
- Czemu chciałeś do Tech?
- Podobał mi się ich trener od quarterbacków.
- Ten od quarterbacków nikomu się nie podobał. Więc?
- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Tak, po piętnastu latach już chyba mogę, nie?
- Kupili mnie za pięćdziesiąt tysięcy w gotówce.
- Nie.
- Tak. Ci ze stanowego dawali czterdzieści, ci z A&M trzydzieści pięć, paru innych dwadzieścia.
- Nigdy mi tego nie mówiłeś.
- Nikomu nie mówiłem. To bagno.
- Wzięłeś od nich pięćdziesiąt kawałków w gotówce? - spytał powoli Paul.
- Pięćset studolarowych banknotów w nieoznakowanej czerwonej płóciennym torbie, którą pewnego wieczoru znalazłem w bagażniku, kiedy wyszedłem z kina z Krzykulą. Nazajutrz rano podpisałem kontrakt.
- Twoi starzy wiedzieli?
- Zwariowałeś? Ojciec wezwałby tych z komisji dyscyplinarnej .
- Dlaczego to wzięłeś?
- Nie bądź naiwny. Każdy college proponował pieniądze. Tak się w to grało.
- Nie jestem naiwny, tylko zaskoczony.
- Dlaczego? Mogłem pójść do Tech za friko albo mogłem wziąć kasę. Pięćdziesiąt tysięcy dla osiemnastoletniego idioty to jak główna wygrana na loterii.
- Ale...
- Paul, kasą sypał każdy łowca głów. Każdy bez wyjątku. Myślałem, że to taki układ.
- Gdzieś ty schował tyle szmalu?
- Tu i tam, poupychałem gdzie się dało. Jak przyjechałem do Tech, z mety kupiłem nowy wóz. Na

długo nie starczyło.

- Rodzice nic nie podejrzewali?
- Podejrzewali, ale byłem daleko, w college'u, i nie za wszystkim nadążali.
- Nic nie odłożyłeś?
- Po co miałem odkładać, skoro byłem na liście?
- Na jakiej liście?

Neely usiadł wygodniej i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie traktuj mnie jak dziecka, dupku - warknął Paul. -Może to dziwne, ale większość z nas nie grała w pierwszej lidze.
- Kiedy byłem na pierwszym roku, graliśmy o puchar Gatora. Pamiętasz?
- Jasne. Wszyscy cię oglądaliśmy.

Wszedłem na boisko w drugiej połowie, zaliczyłem trzy przyłożenia*, przebiegłem sto jardów, w ostatniej sekundzie meczu dobrze podałem i wygraliśmy. Nowa gwiazda, najlepszy zawodnik wśród studentów pierwszego roku, najlepszy w kraju, bla-bla-bla, bla-bla-bla. Wracam na uniwersytet i znajduję w skrzynce małą przesyłkę. Pięć tysięcy dolarów w gotówce. I anonimowy liścik:

„Świetnie ci poszło. Oby tak dalej”. Sprawa

* W futbolu amerykańskim istnieje pięć sposobów zdobywania punktów: 1. Przyłożenie za 6 punktów. To najwyżej nagradzane zagranie w futbolu amerykańskim ma miejsce wtedy, kiedy drużyna znajduje się w posiadaniu piłki w strefie przyłożeń przeciwnika. Zdobycie przyłożenia jest podstawowym celem drużyny atakującej. Przyłożenie można zdobyć trzema sposobami: a) Zawodnik mający piłkę przekracza linię goal line rozpoczynającą strefę przyłożeń przeciwnika.

b) Skrzydłowy prawidłowo wyłapuje podanie w strefie przyłożeń rywali.

c) Zawodnik odzyskuje bezpańską piłkę w strefie przyłożeń drużyny przeciwnej.

W pierwszym z tych trzech przypadków zawodnik z piłką zdobywa przyłożenie w chwili, gdy trzymana przez niego piłka przekroczy całym obwodem „światło” linii goal line, czyli tzw. piane. Piane jest to wymyślona ściana wznosząca się prostopadle w górę na całej długości linii goal line.

Drużyna, która zdobyła przyłożenie, jest automatycznie uprawniona do zdobycia dodatkowych punktów.

2. Point after touchdown, zwany także extra point, czyli punkt dodatkowy za celne kopnięcie do

bramki po każdym przyłożeniu.

3. Dodatkowa próba za 2 punkty, wykonywana zamiast punktu dodatkowego za celne kopnięcie do bramki.

4. Field goal, czyli celne kopnięcie do bramki za 3 punkty.

5. Safety za 2 punkty, czyli przyłapanie przez obronę zawodnika formacji atakującej będącego w posiadaniu piłki, w jego własnej strefie przyłożeń. Może się zdarzyć, że po udanym punkcie drużyna atakująca rozpocznie akcję z okolic swojej strefy przyłożeń. Jeżeli linia wznowienia gry została wyznaczona na drugim jardzie połowy drużyny atakującej, to po wysnapiowaniu piłki do tyłu quarterback drużyny atakującej będzie znajdował się z piłką we własnej strefie przyłożeń. Dla drużyny broniącej jest to doskonała okazja na zdobycie 2 punktów safety. Obrońcy po wznowieniu gry z pewnością zastosują blitz (błyskawiczny atak) polegający na zmasowanym ataku kilku zawodników, próbujących przedrzeć się poprzez strefę chroniącą quarterbacka i powalić go na murawę wraz z piłką.

Nagrodą dla obrony za taką akcję będą

2 punkty safety oraz zdobycie piłki.

była jasna: wygrywaj, a kasy ci nie zabraknie. No i oszczędzanie przestało mnie interesować.

Pikap Silosa był pomalowany dziwnie, ni to na złotawo, ni na czerwonawo. Dekle lśniły srebrem, szyby czernią.

- Już jest - powiedział Paul, gdy samochód stanął przed bramą.

- Co to za wóz?

- Na pewno kradziony.

Sam Silos wyglądał jak z żurnala: skórzana kurtka lotnicza, czarne dżinsy, czarne buty. Ani nie schudł, ani nie przytył i idąc niespiesznie skrajem boiska, wciąż wyglądał jak czołowy przechwytyjący. Szedł jak na Spartanina przystało, dumnie, dostojnie, niemal wyzywająco, gotów przyłożyć każdemu, kto nieopatrznie piśnie choć słowo. Wciąż potrafił włożyć naramienniki, wysnapiować piłkę i rozwalić komuś głowę.

Ale teraz patrzył na coś pośrodku boiska. Może na samego siebie sprzed wielu lat, a może doszedł

go nagle warkliwy głos Rake'a. Bez względu na to, co tam zobaczył czy usłyszał, przystanął na chwilę, a potem z rękami w kieszeniach wszedł na trybuny. Dotarł do nich mocno zasapany.

Objął Neely'ego jak niedźwiedź i spytał go, co porabiał przez te piętnaście lat. Wymienili pozdrowienia i przyjacielskie wyzwiska. Było tyle do powiedzenia, że żaden z nich nie chciał zacząć mówić.

Usiedli obok siebie i patrzyli, jak po bieżni kuśtyka kolejny biegacz. Silos był trochę przygaszony i mówił niemal szeptem.

- To gdzie teraz mieszkasz?

- Pod Orlando - odrzekł Neely.

- I co robisz?

- Handluję nieruchomościami.

- Żonaty?

- Już nie, niedawno się rozwiodłem. Ty?

- Nie, ja się nie ożeniłem. Ale na pewno mam kupę dzieciaków, tylko nic o nich nie wiem.

Dobrze zarabiasz?

- Na życie starcza. Na liście Forbesa mnie nie znajdziesz.

- W

przyszłym roku pewnie na nią trafię - odrzekł Silos.

Aż tak? - spytał Neely, zerkając na Paula. - W czym teraz robisz, w jakiej branży?

- Handel

częściami samochodowymi. Po południu wpadłem do Rake'a. Jest Miss Lila, są dziewczyny, wnuki i sąsiedzi. Dom pełen ludzi. Wszyscy siedzą i czekają aż umrze.

Widziałeś go? - spytał Paul.

-

Nie. Jest gdzieś z tyłu, z pielęgniarką. Miss Lila powie działa, że od paru dni nie pokazuje się ludziom na oczy. Nie chce, wygląda jak szkielet.

Obraz Eddiego Rake'a leżącego w ciemnej sypialni i odliczającego minuty zmroził ich tak bardzo, że przez kilka minut milczeli. Bo przecież do ostatniej chwili, do dnia, gdy wyrzucili go z pracy, wychodził na boisko w szortach i w korkach, żeby bez wahania demonstrować im bloki i sztuczki z wolną ręką. Uwielbiał fizyczny kontakt z graczem, ale nie przyjacielskie poklepywanie po ramieniu, o nie, bynajmniej. Rake lubił ostro przygrzać i żaden trening nie byłby prawdziwym treningiem, gdyby nic rzucił na trawę swojej deski z klipsem i nie chwycił kogoś za naramienniki. Im wyższego i roślejszego, tym lepiej. Gdy ćwiczyli bloki i gdy coś mu nie pasowało, ustawiał się w idealnej, trypunktowej pozycji do wznowienia gry, snapował* piłkę i taranował obrońcę wążącego co

najmniej osiemnaście kilo więcej od niego, w dodatku ubranego w hełm, naramienniki, nagołenniki i nakolanniki. Gdy miał zły dzień, rzucał się na pierwszego lepszego running backa i jednym uderzeniem zbijał go z nóg. Widzieli to wszyscy Spartanie. Uwielbiał przemoc i żądał, żeby

* Każde ofensywne zagranie rozpoczyna się od snapu. Zawodnik ataku (center lub snapper) trzyma ustawioną murawie piłkę i na specjalny sygnał podaje ją do tyłu, pomiędzy swoimi nogami, do stojącego w tyle quarterbacka.

Quarterback przekazuje mu ten sygnał specjalnym rytmem zwanym snap count lub cadence, odliczaniem. Może to być wypowiedziane rytmicznie: hut, hut, hut, hut; na drugie lub trzecie hut (ustala się to w kupie) snapper podaje piłkę quarterbackowi. Dopiero po wysnapowaniu piłki pozostali zawodnicy mogą rozpocząć akcję.

zawodnicy brali z niego przykład.

Ale tylko na boisku. Poza boiskiem uderzył jedynie dwóch graczy. Dwóch w ciągu całej trzydziestoczteroletniej kariery. Pierwszemu przyłożył podczas słynnej bijatyki pod koniec lat sześćdziesiątych. Facet odszedł z drużyny i wyraźnie szukał guza, i Rake chętnie mu go nabił.

Drugim był Neely Crenshaw, którego tak podle uderzył w twarz.

Było nie do uwierzenia, że jest teraz zasuszonym staruszkciem, który walczy o ostatni oddech.

- Siedziałem na Filipinach. - Silos powiedział to szeptem, ale ponieważ miał chrapliwy głos, słysząc go było całkiem wyraźnie. - Pilnowałem oficerskich kibli i rzygać mi się od tego chciało cały czas. Dlatego nie widziałem, jak grałeś w college'u Ani razu.

- Niewiele straciłeś - mruknął Neely.

- Podobno do tej kontuzji świetnie ci szło.

- Miałem kilka dobrych meczów.

- Na drugim roku trafił do krajówki, był zawodnikiem tygodnia - wtrącił Paul. - W meczu z Purdue zaliczył sześć przyłożeń.

- To kolano, tak? - spytał Silos.

- Tak.

- Jak to się stało?

- Kiedy środkowy wysnapował piłkę, zamarkowałem podanie i pobiegłem. Nie zauważyłem linebackera. - Neely opowiadał to tysiąc razy i wolałby się już nie powtarzać.

Którejś wiosny Silos naderwał sobie ścięgno łączące piszczel i kość udową. Tedwo z tego wyszedł i dobrze wiedział, co znaczy kontuzja kolana.

- Operacja i tak dalej? - spytał.

- Cztery - odrzekł Neely. - Zerwane ścięgno, strzaskana rzepka...

- Trafił cię hełmem?

- Kiedy Neely przekroczył linię boczną, facet przygrzał mu w kolana - powiedział Paul. -

Pokazywali to dziesiątki razy w telewizji. Jeden z komentatorów miał jaja i nazwał to podłym ciosem poniżej pasa. Ale tamten był z A&M, co tu dużo gadać.

- Musiało boleć jak cholera.

- I bolało.

- Kiedy zabrali go do karetki, cała Messina płakała.

- Na pewno - odrzekł Silos. - Z drugiej strony, niewiele trzeba, żeby się wkurzyli albo popłakali.

Rehabilitacja nie pomogłaś

- To było coś, co lekarze nazywają urazem kończącym karierę - odparł Neely. - Terapia tylko pogorszyła sprawę. Miałem przechlapane w chwili, gdy zacząłem biec. Powinienem być zostać w kieszeni, jak na treningach.

- Rake zawsze kazał nam biec.

- Tam gra się inaczej.

- Banda głupich dupków. Nie chcieli mnie, a byłbym świetny. Zostałbym pierwszym tacklerem, który zdobył puchar Heismana.

- Absolutnie - mruknął Paul.

- W Tech wszyscy cię znali - powiedział Neely. - Kumple pytali mnie: „Gdzie jest ten świetny Moore? Dlaczego żeśmy go nie ściągnęli?”

- Szkoda - dodał Paul. - Grałbyś teraz w NFL.

- Pewnie w Packersach - rozmarzył się Silos. - Zarabiałbym kupę szmalu. Dziewczyny dobijałyby się do moich drzwi. Pożyłbym sobie.

- Rake chciał, żebyś poszedł do college'u, tak? - spytał Neely.

- I miałem iść, ale ci tu nie dali mi skończyć szkoły.

- Jakim cudem wzięli cię do wojska?

- Skłamałem i wzięli.

Nie było wątpliwości, że skłamał co najmniej dwa razy: po to, żeby go wzięli, i po to, żeby go wyrzucili.

- Mam ochotę na piwo - powiedział. - Przynieść wam?

- Ja pasuję - odrzekł Paul. - Zaraz wracam do domu.

- A ty?

- Chętnie - odrzekł Neely.

- Zostaniesz tu trochę?

- Może.

- Ja też. Teraz to chyba najodpowiedniejsze miejsce.

Spartański Maraton był coroczną torturą, wymyśloną i stosowaną przez Rake'a na otwarcie nowego sezonu. Odbывał się podczas pierwszego sierpniowego treningu, zawsze w samo południe, żeby było jak najgoręcej. Wszyscy chcący grać w reprezentacji stawiali się na bieżni w szortach i w adidasach, i gdy Rake dmuchnął w gwizdek, zaczęli biec.

Zasada była prosta: biegleś, dopóki nie padłeś. Minimum dwanaście okrążeń. Zawodnik, który nie zaliczył dwunastu kółek, miał okazję powtórzyć maraton nazajutrz, a jeśli nie zaliczył ich i za drugim razem, nie nadawał się do drużyny. Uczeń szkoły średniej, który nie dał rady przebiec pięciu kilometrów, nie miał po co wkładać naramienników.

Asystenci trenera siedzieli w klimatyzowanej budce dla prasy i liczyli okrążenia. Natomiast Rake chodził po boisku, obserwował biegnących, powarkiwał na nich w razie konieczności i dyskwalifikował tych, którzy biegli za wolno. Szybkość nie była najważniejsza, chyba że zawodnik zaczynał iść, bo wtedy Rake ściągał go z bieżni. Gdy któryś z biegaczy odpadł, zemdłał

czy został zdyskwalifikowany w jakikolwiek inny sposób, musiał przejść na środek boiska, usiąść tam i smażyć się w słońcu, dopóki wszyscy pozostali nie padli na pysk. Obowiązywało tylko kilka prostych zasad, a jedna z nich głosiła, że ten, kto zwymiotuje na bieżnię, zostanie automatycznie zdyskwalifikowany. Rzyganie było dozwolone - i rzygało wielu - ale tylko poza bieżnią i tylko pod warunkiem, że gdy będzie już po wszystkim, zawodnik dołączy do tych, którzy jeszcze biegli.

Z szerokiego wachlarza surowych metod utrzymywania kondycji maratonu bano się najbardziej.

Bano się go do tego stopnia, że z biegiem lat wielu chłopców z ogólniaka zaczęło uprawiać inny sport albo w ogóle sport rzuciło. W lipcu nie było w mieście gracza, którego na myśl o zbliżającym się maratonie nie ścisnęłoby nagle w żołądku i któremu nie zasychało w ustach. Na początku sierpnia większość z nich zaliczała codziennie po osiem, dziesięć kilometrów, żeby tylko wytrzymać i nie zostać zdyskwalifikowanym.

Dzięki Maratonowi każdy Spartanin miał znakomitą kondycję. Nie było nic niezwykłego w tym, że zwalisty lineman zrzucał przez lato dziewięć, a nawet czternaście kilogramów. Chudł bynajmniej nie ze względu na dziewczynę czy z dbałości o linię; chudł po to, żeby wytrzymać maraton. Po maratonie mógł znowu jeść, ile tylko chciał, chociaż trenując trzy godziny dziennie, trudno mu było wrócić do dawnej wagi.

Zresztą Coach Rake nie lubił zwalistych linemanów. Wolał tych szczuplejszych, ale wrednych, takich jak Mooney.

W ostatniej klasie ogólniaka Neely zaliczył trzydzieści jeden okrążeń, prawie trzynaście kilometrów, i gdy padł na murawę, sapiąc jak kowalski miech, usłyszał, że z drugiego końca boiska Rake obrzuca go wyzwiskami. Paul przebiegł wtedy ponad piętnaście kilometrów, trzydzieści osiem okrążeń, i wygrał maraton. Każdy Spartanin pamiętał dwie liczby: numer, który nosił na koszulce, i liczbę okrążeń zaliczonych podczas maratonu Rake'a.

Gdy nagła i niespodziewana kontuzja kolana zredukowała Neely'ego do statusu zwykłego studenta college'u, w barze podeszła do niego znajoma z Messiny.

- Słyszałeś już o maratonie?

- Nie, bo co? - odparł Neely, ani trochę niezainteresowany wiadomościami z rodzinnego miasta.

- Padł nowy rekord.

- Tak?

- Tak, osiemdziesiąt trzy okrążenia.

Osiemdziesiąt trzy okrążenia. Neely powtórzył to na głos i szybko przeliczył.

- To prawie trzydzieści cztery kilometry.

- Właśnie.

- Kto tyle przebiegł?

- Jakiś Jaeger.

O wynikach sierpniowej zaprawy fizycznej plotkowano tylko w Messynie.

Randy Jaeger szedł teraz ku nim, przeskakując z ławki na ławkę. Był w dzinsach i w wetkniętej w dzinsy zielonej koszulce z numerem piątym, wykończonym srebrzystą lamówką. Niski i bardzo szczupły w pasie, musiał być bardzo dobrym skrzydłowym i mieć imponujący czas na czterdzieści jardów. Najpierw rozpoznał Paula, a gdy podeszedł bliżej, zatrzymał wzrok na Neelym. Przystanął trzy rzędy niżej i powiedział:

- Neely Crenshaw.

- Zgadza się. - Uścisnęli sobie ręce. Paul dobrze go znał, bo - jak szybko wynikło z rozmowy - jego rodzina prowadziła pod miastem sklep i, jak wszyscy mieszkańcy Messiny, miała konto w banku Currych.

- Jest coś nowego o Rake'u? - spytał, usiadłszy rzęd wyżej i wetknął między nich głowę.

- Nie - odrzekł posępnie Paul. - Wciąż się trzyma.

- Kiedy skończyłeś szkołę? - spytał Neely.

- W dziewięćdziesiątym trzecim.

- A wyrzucili go...

- W dziewięćdziesiątym drugim, kiedy robiłem maturę. Byłem kapitanem.

„Wyrzucili go”. Nikt tego nie skomentował i zapadła niezręczna cisza. Neely skończył już wtedy college i przez prawie pięć lat włóczył się po zachodniej Kanadzie. Z czasem doszły go wieści z domu, ale próbował sobie wmówić, że Eddie Rake nic go nie obchodzi.

- Przebiegłeś osiemdziesiąt trzy okrążenia?

- Tak, w roku dziewięćdziesiątym, w drugiej klasie.

- Wciąż niepobity rekord?

- Tak. A ty?

- Trzydzieści jeden, przed maturą. Osiemdziesiąt trzy okrążenia. Aż trudno uwierzyć.

- Miałem fart. Było chłodno i pochmurno.

- A ile zaliczył drugi?

- Chyba czterdzieści pięć.

W takim razie to nie był fart, brachu. Grałeś w college'u?

- Nie. Ważyłem pięćdziesiąt dziewięć kilo w hełmie i ochraniaczach.

- Przez dwa lata był najlepszy w stanie - wtrącił Paul. - I wciąż jest rekordzistą pod względem dystansu przebiegniętego z piłką. Mamusia nie mogła go po prostu utuczyć.

- Chcę cię o coś spytać - powiedział Neely. - Kiedy zaliczyłem trzydzieści jeden okrążeń i padłem na twarz, zdychając z bólu, Rake sklął mnie jak psa. Co powiedział po biegu tobie?

Paul chrząknął i wykrzywił usta, bo znał już tę opowieść. Jaeger uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Rake, jak to Rake - odrzekł. - Kiedy skończyłem, pod szedł do mnie i ryknął: „Myślałem, że przebiegniesz sto!” Oczywiście zrobił to pod publiczność. Potem, już w szatni, powiedział cicho, że mam jaja.

Dwóch biegaczy zeszło z bieżni, usiadło na ławce i zapatrzyło się w dal. Tuż po pięćdziesiątce, mocno opaleni, byli w kosztownych sportowych butach.

- Ten po prawej to Blanchard Teague - powiedział Paul, chcąc im udowodnić, że wszystkich tu zna.

- Nasz okulista optometra. A ten po lewej to John Couch, adwokat. Grali pod koniec lat sześćdziesiątych, podczas złotej serii.

- Nie przegrali ani jednego meczu?

- Ani jednego, bracie. W sześćdziesiątym ósmym nie stracili ani jednego punktu. Dwanaście spotkań, dwanaście zwycięstw. Ci dwaj tam wtedy byli.

- Niesamowite szepnął szczerze zadziwiony Jaeger.

- Nas nie było jeszcze na świecie - dodał Paul.

Sezon bez przegranej. Musieli to spokojnie przetrwać. Okulista i adwokat pograżyli się w rozmowie, najpewniej wspominając swoje wspaniałe osiągnięcia ze złotej serii.

- Kilka lat po tym, jak wyrzucili Rake'a - powiedział Paul

- w gazecie był o nim artykuł. To co zawsze, same statystyki, ale napisali też, że w ciągu swojej trzydziestoczteroletniej kariery wytrenował siedmuset czternastu zawodników. „Eddie Rake i siedmuset czternastu Spartan”. Taki dali tytuł.

- Tak, czytałem to - powiedział Jaeger.

- Ciekawe, ilu z nich przyjdzie na pogrzeb.

- Większość.

Okazało się, że „piwo” w pojęciu Silosa to dwie skrzynki piwa i dwóch facetów, którzy mieli pomóc je pić. Tak więc z pikapa wysiadło ich trzech, a na czele szedł Silos ze skrzynką budweisera na ramieniu i flaszką czegoś mocniejszego w ręku.

- O rany... - jęknął Paul.

- Kto to jest ten chudy? - spytał Neely.

- Chyba Hubcap.

- To on nie siedzi?

- Siedzi, wychodzi i znowu siedzi.

- Ten drugi to Amos Kelso - powiedział Jaeger. - Grałem z nim.

Amos dźwigał drugą skrzynkę i gdy weszli na trybuny, Silos zaprosił na piwo Orleya Shorta i jego kolegę - ci natychmiast zaproszenie przyjęli - a potem krzyknął do Teague'a i Coucha, którzy też przesiedli się do trzydziestego rzędu, gdzie siedzieli Neely, Randy Jaeger i on.

Gdy się sobie przedstawili i otworzyli butelki, Orley spytał:

- Co u Rake'a?

- Nie wiem, czekamy - odrzekł Paul.

- Byłem u niego po południu - powiedział ponuro Couch.

- To tylko kwestia czasu. - Widać było, że czuje się ważny, jak każdy prawnik, i Neely natychmiast go znieubił. Okulista Teague opowiedział im potem o postępach choroby Rake'a. Mówił długo i szczegółowo.

Zrobiło się prawie ciemno. Biegacze zniknęli. Z pogrążonej w mroku szatni wyszedł wysoki, niezdarny mężczyzna i ruszył powoli w kierunku słupa podtrzymującego tablicę wyników.

- To chyba nie Królik - rzucił Neely.

- Jasne, że Królik - odparł Paul. - On nigdy stąd nie odejdzie.

- Co teraz robi?

- Wszystko i nic.

- Uczył mnie historii - powiedział Teague.

- A mnie matematyki. - To Couch.

Królik uczył przez jedenaście lat, zanim odkryto, że nie skończył nawet dziewiątej klasy. Wyrzucono go ze szkoły w atmosferze skandalu, ale po interwencji Rake'a przydzielono mu funkcję zastępcy kierownika sportowego. Oznaczało to, że nie musi robić nic, z wyjątkiem wykonywania jego poleceń. Prowadził klubowy autobus, prał koszulki, konserwował sprzęt, a co najważniejsze, znosił

Rake'owi wszystkie plotki.

Reflektory zamontowano na czterech słupach, po dwa na północnym i południowym krańcu boiska.

Rozbłysły te na południowym, nad sektorem dla gości, dziesięć rzędów po dziesięć reflektorów w każdym. Na murawie legły długie cienie.

- Robi to od tygodnia - powiedział Paul. - Włącza je na noc. To jego wersja czuwania przy zmarłym.

Kiedy Rake umrze, światła zgasną.

Królik wrócił chwiejnym krokiem do szatni i zniknął.

- Ciągle tam mieszka? - spytał Neely.

- Tak. Ma pryczę na strychu nad siłownią. Nocny stróż, tak o sobie mówi. To wariat.

- Świetnie uczył matematyki - powiedział Couch.

- Ma szczęście, że w ogóle może chodzić - dodał Paul i wszyscy wybuchli śmiechem. W

osiemdziesiątym pierwszym Królik został prawie kaleką, albowiem z powodów, których ani on sam, ani nikt inny nie mógł do końca zrozumieć, wbiegł nagle na boisko i wpadł prosto na Błyskawicę Loyda, szybkiego, twardego running backa z Auburn, który tego wieczoru grał w drużynie hrabstwa Greene, i w dodatku grał świetnie. Była trzecia kwarta meczu, remis, i Loyd wyrwał się właśnie obrońcom, rozpoczynając długi bieg w kierunku strefy przyłożeń przeciwnika. Obie drużyny dawały z siebie wszystko. Gra była pełna napięcia i Królik najwyraźniej nie wytrzymał. Ku przerażeniu (i rozbawieniu) tysięcy wiernych kibiców z Messiny, chudy, kościsty i kruchy wpadł na murawę na wysokości trzydziestego piątego jarda i zderzył się z Błyskawicą. Zderzenie, dla Królika, który miał

wtedy co najmniej czterdzieści lat, niemal śmiertelne, nie wywarło na Loydzie najmniejszego wrażenia. Ot, mucha na przedniej szybie samochodu.

Królik był w brązowych spodniach, zielonej sportowej bluzie, czapeczce, która wystrzeliła w powietrze, by wylądować dziesięć metrów dalej, i w kowbojskich butach o spiczastych noskach, z których jeden zsunął się z nogi, gdy jego właściciel szybował w powietrzu. Ludzie siedzący w trzydziestym rzędzie przysięgali, że słyszeli trzask pękających kości.

Gdyby Błyskawica biegł dalej, sytuacja byłaby mniej kontrowersyjna. Ale zderzenie z Królikiem tak go zaskoczyło, że biedaczyna zerknął przez ramię, by sprawdzić, co lub kogo właśnie staranował, i zerkając, stracił równowagę. Upadł, a raczej padał przez piętnaście jardów i gdy wreszcie znieruchomiał na wysokości dwudziestego jarda, murawę pokryły żółte flagi*.

Podczas gdy pochyleni nad Królikiem asystenci trenera debatowali, czy wezwać karetkę pogotowia, czy księdza, sędziowie szybko przyznali sześć punktów drużynie z hrabstwa Green, z którą to decyzją Rake przez chwilę polemizował, by wreszcie ją uznać. Był wstrząśnięty jak wszyscy pozostali, poza tym bardzo martwił się o Królika, który od chwili upadku ani drgnął.

Minęło dwadzieścia minut, zanim zebrano go z ziemi, delikatnie ułożono na noszach i zniesiono z boiska. Gdy karetka odjeżdżała, dziesięć tysięcy kibiców z szacunkiem wstało i nagrodiło go oklaskami. Kibice z hrabstwa Green, nie wiedząc, czy też powinni klaskać, czy może gwizdać i

krzyczeń z niezadowolenia, siedzieli cicho, próbując przetrwać to, co przed chwilą widzieli.

Zaliczono im przyłożenie, ale ten biedny idiota chyba nie żył.

Rake, motor wszelkich poczynań drużyny, wykorzystał przerwę na podbudowanie ducha bojowego Spartan.

- Banda błaznów! - warknął. - Królik potrafi przygrzać mocniej niż wy! Skopmy im dupę! Za Królika!

W czwartej kwarcie Messina zaliczyła trzy przyłożenia i wybrała.

Królik przeżył. Miał złamany obojczyk i trzy pęknięte zębra. Wstrząs mózgu okazał się niegroźny i ci, którzy dobrze go znali, twierdzili, że umysłowo jest sprawny jak dawniej. Nie trzeba dodawać, że został miejscowym bohaterem. Na dorocznym bankiecie dla futbolistów Rake przyznał mu nagrodę za najlepszy atak roku. Zmierzch przeszedł w wieczór i światła stały się jaskrawsze. Wzrok powoli przystosowywał się do półmroku. Na przeciwległym końcu stadionu pojawiła się druga, nieco mniejsza grupa Spartan. Ich głosy były ledwo słyszalne.

Silos otworzył kolejną butelkę piwa i od razu wypił połowę.

- Kiedy ostatni raz widziałeś Rake'a? - spytał Neely'ego Blanchard Teague.

- Dwa dni po pierwszym zabiegu - odrzekł Neely i wszyscy znieruchomieli. Tej historii nikt w Messynie jeszcze nie słyszał. - W szpitalu. Jeden zabieg miałem z głowy, czekały mnie jeszcze trzy.

To była ohydna zagrywka - wymamrotał Couch, jakby Neely potrzebował otuchy.

- Wredna - potwierdził Amos Kelso.

- Neely widział ich oczami wyobraźni, jak siedząc w kawiarenkach przy Main Street, smutni i zasepieni, opowiadają sobie o faulu, który momentalnie zrujnował karierę jednego z najlepszych

* W przypadku przewinienia- w przepisach istnieje ponad sto różnych -sędziowie przerywają grę, rzucając na murawę żółtą chustę, tzw. flagę.

zawodników w kraju. Pielęgniarka powiedziała mu, że nigdy dotąd nie widziała tylu przejawów sympatii i współczucia: kartki pocztowe, kwiaty, czekoladki, baloniki, rysunki uczniów z podstawówki. A wszystko to z małej, oddalonej o trzy godziny jazdy Messyny. Oprócz rodziców i trenerów z college'u Neely nie przyjmował żadnych gości. Na osiem długich dni pogrążył się w rozpacz i żalu, pochłaniając przy tym olbrzymie ilości środków przeciwbólowych.

Pewnego wieczoru, długo po godzinach odwiedzin, do jego pokoju zakradł się Rake.

- Próbował mnie pocieszyć - powiedział Neely, pociągawszy łyk piwa. - Mówił, że kolano da się wyleczyć. On próbował mnie pocieszyć, ja próbowałam mu uwierzyć.

- Wspominał o mistrzostwach w osiemdziesiątym siódmym? - spytał Silos.

- Tak, gadaliśmy o tym.

Zapadła długa, niezręczna cisza. Wszyscy myśleli o tamtym meczu, o otaczających go tajemnicach.

Był to ostatni tytuł mistrzowski Messiny i już samo to stanowiło dobrą podstawę do wieloletnich analiz. Znakomita, o wiele lepsza od nich drużyna z East Pike dała im straszny wycisk. Po pierwszej połowie przegrywali trzydzieści jeden do zera i gdy po przerwie wyszli na boisko, gdzie czekało trzydzieści pięć tysięcy kibiców, okazało się, że Rake zniknął; wrócił dopiero pod koniec czwartej kwarty.

Prawdę o tym, co wtedy zaszło, pogrzebali na piętnaście lat i najwyraźniej ani Neely, ani Silos, ani Paul, ani Hubcap Taylor nie zamierzali jej teraz odgrzebywać.

W szpitalnej separacie Rake w końcu go przeprosił, ale Neely nikomu o tym nie powiedział.

Teague i Couch pożegnali się i potruczali w mrok.

- Potem już tu nie byłeś, tak? - spytał Jaeger.

- Nie, potem już nie - odrzekł Neely.

- Dlaczego?

- Nie chciałem.

Hubcap po cichu pracował nad flaszką czegoś mocniejszego niż piwo. Odzywał się rzadko, a gdy już się odzywał, mówił głosem ochrypłym i bełkotliwie.

- Podobno go nienawidziłeś.

- Nieprawda.

- A on nienawidził ciebie.

- Rake zawsze miał problemy z gwiazdoram - przerwał im Paul. - Wszyscy wiedzieli. Zdobyłeś za dużo nagród, pobiełeś za dużo rekordów i robił się zazdrosny. Proste i oczywiste. Chciał, żebyśmy byli najlepsi, i traktował nas jak psy, ale kiedy tacy jak Neely zaczęli zwracać na siebie uwagę, odbijało mu z zazdrości.

- Nie, nie wierzę - mruknął Orley Short.

- Tak było. Poza tym uwielbiał robić prezenty college'om, które aktualnie lubił. Chciał, żeby Neely poszedł na stanowy.

- A ja do wojska - dodał Silos.

- Masz szczęście, że nie poszedłeś do pudła - burknął Paul.

- Wszystko przede mną- odparł ze śmiechem Silos. Przed bramą zgasły światła kolejnego samochodu. Drzwiczki

pozostały zamknięte.

- Więzienie jest instytucją niedocenioną - wybełkotał Hubcap i wszyscy parsknęli śmiechem.

- Rake miał swoich ulubieńców - powiedział Neely. - Ja do nich nie należałem.

- To czemu przyjechałeś? - spytał Orley Short.

- Nie wiem. Pewnie z takich samych powodów jak wy. Już jako student pierwszego roku wrócił do Messyny na okolicznościowy mecz. W przerwie uroczystie zastrzeżono jego dziewiętnastkę i owacja na stojąco nie miała końca. Opóźniony wykop kosztował Spartan pięć jardów* i chociaż prowadzili dwadzieścia osiem do zera, Rake znowu zaczął wrzeszczeć.

Był to jedyny mecz, który Neely oglądał od wyjazdu z Messyny. Rok później trafił do szpitala.

- Kiedy postawili ten pomnik? - spytał.

- Dwa lata po tym, jak go zwolnili - odrzekł Jaeger. - Sponsorzy zebrali dziesięć tysięcy kawałków.

Na odsłonięcie zaprosili Rake'a, ale nie chciał przyjść.

- I już nigdy potem tu nie był?

- I tak, i nie. - Jaeger wskazał odległe wzgórze za szatnią. - Przyjeżdżał na Karr's Hill z Miss Lila i parkował na zwirowce. Siedzieli tam, patrzyli i słuchali Bucka Coffeya przez radio. Widzieć, mało widzieli, bo to za daleko, ale całe miasto wiedziało, że tam jest, że ich obserwuje. Podczas każdej przerwy po pierwszej połowie orkiestra odwracała się w tamtą stronę, grała naszą pieśń, a dziesięć tysięcy kibiców machało mu ręką.

- Było fajnie - powiedział Amos Kelso.

- Wiedział o wszystkim - dodał Paul. - Królik przychodził do niego dwa razy dziennie z najświeższymi plotkami.

- Odciął się od miasta? - spytał Neely.

Tak jakby - odparł Amos. - Przynajmniej przez pierwsze trzy, cztery lata. Krążyły pogłoski, że chce się wyprowadzić, ale pogłoski to w Messynie tylko pogłoski. Co rano bywał w kościele, ale mało kto go tam widział.

- Od kilku lat częściej wychodził z domu - powiedział Paul. Zaczął grać w golfa.

- Był rozgoryczony? Rozważali to przez chwilę.

- Tak - odrzekł w końcu Jaeger. - Był.

- Nie, chyba nie - mruknął Paul. - Uznał, że to jego wina.

- Podobno mają go pochować obok Scotty'ego - powiedział Amos.

Też tak słyszałem - szepnął pogrążony w zadumie Silos. Trzasnęły drzwiczki i ktoś wszedł na bieżnię. Rosły, masywnie zbudowany mężczyzna w mundurze. Okrążył boisko i ruszył w stronę trybun.

- Nadchodzą kłopoty - wymamrotał Amos.

- To Mal Brown - rzucił Silos.

- Nasz wspaniały szeryf- wyjaśnił Neely'emu Paul.

- Numer trzydzieści jeden?

- Otóż to.

Dziewiętnastkę Neely'ego zastrzeżono jako ostatnią. Trzydziestkęjedynekę jako pierwszą. Mal Brown grał w połowie lat sześćdziesiątych, podczas złotej serii. Trzydzieści sześć kilogramów i trzydzieści pięć lat temu był bezpardonowym graczem, który ustanowił niepokonywany dotąd rekord: podczas jednego meczu pięćdziesiąt cztery razy biegł z piłką. Poszedł do college'u, ożenił się, co zakończyło jego karierę, zanim się na dobre rozpoczęła, a jeszcze szybszy rozwód w sześćdziesiątym ósmym wysłał go do Wietnamu, dokąd trafił akurat na ofensywę Tet. Opowieści o Brownie Neely wysłuchiwał niemal przez całe dzieciństwo. Gdy był w pierwszej klasie ogólniaka, przed meczem zagadnął go Rake.

Chcąc mu dodać odwagi, szczegółowo opowiedział, jak to Mal Brown przebiegł kiedyś sto jardów w drugiej połowie meczu o mistrzostwo konferencji i zrobił to z pękniętą kostką u nogi!

Coach uwielbiał opowieści o graczach, którzy nie chcieli zejść z boiska z połamanymi kośćmi, zakrwawionymi twarzami i wszelkiego rodzaju paskudnymi urazami.

Wiele lat później okazało się, że Mal nie tyle złamał nogę, ile mocno ją nadwerężył, ale w miarę upływu czasu legenda rosła, przynajmniej w pamięci Rake'a.

* W odróżnieniu od koszykówki, gdzie drużyna posiadająca piłkę powinna zakończyć akcję rzutem, w futbolu amerykańskim formacja atakująca jest w posiadaniu piłki dopóty, dopóki jest w stanie zdobywać kolejne pierwsze próby, chociaż po każdej zakończonej akcji musi w ciągu czterdziestu sekund wznowić grę (w ciągu dwudziestu pięciu sekund, jeżeli gra została zatrzymana przez sędziego z przyczyn technicznych). Jeśli ofensywa nie zmieści się w tym limicie i spóźni z rozpoczęciem

kolejnego wznowienia, będzie ukarana przesunięciem linii tego samego wznowienia o pięć jardów do tyłu.

Szeryf szedł między ławkami, zagadując do siedzących tam Spartan i wreszcie, pokonawszy trzydzieści rzędów, zasapany dotarł do nich. Pozdrowił Paula, Amosa, Silosa, Orleya, Hub-capa i Randy'ego - znał wszystkich z imienia albo z przezwiska.

- Słyszałem, że przyjechałeś - powiedział do Neely'ego, ściskając mu rękę. - Dawno cię tu nie było.

- Fakt - odparł Neely. Cóż jeszcze mógł rzec? O ile dobrze pamiętał, nigdy dotąd się nie spotkali.

Gdy mieszkał w Messinie, Mal nie był jeszcze szeryfem. Znał legendę, nie człowieka.

Ale nie miało to żadnego znaczenia. Należeli do tego samego bractwa.

- Silos, ciemno już - powiedział Mal. - Czemu jeszcze nie kradniesz?

- Za wcześnie.

- Kiedyś przyłapię cię i skopię ci dupę. Wiesz?

- Mam adwokatów.

- Dajcie mi piwo. Jestem po służbie. - Silos podał mu butelkę i zagulgotało. - Właśnie wracam od Rake'a. - Brown głośno mlasnął, jakby od wielu dni nic nie pił. - Bez zmian. Czekaają, aż umrze.

Nikt tego nie skomentował.

- Gdzie się przez ten czas ukrywałeś?

- Nigdzie - odrzekł Neely.

- Łżesz. Nikt nie widział cię tu od dziesięciu lat, może nawet dłużej.

- Rodzice wyjechali na Florydę. Nie miałem po co wracać.

- Tu dorastałeś. Tu jest twój dom. To niedobry powód?

- Może dla ciebie.

- Akurat. Masz tu kupę przyjaciół. Nieładnie tak uciekać.

Weź sobie jeszcze jedno piwo, Mal - rzucił Paul. Silos szybko podał mu butelkę. Chwilę później Brown spytał:

- Masz dzieci?

- Nie.

- Jak twoje kolano?

- Beznadziejnie.

- To przykre. - Ponownie zagulgotało. - Wredna zagrywki. Byłeś za linią.

- Powinienem być zostać w kieszeni. - Neely poruszył się niespokojnie, chcąc szybko zmienić temat. Jak długo można gadać o faulu, który zniszczył mu karierę?

Mal pociągnął potężny łyk i szepnął:

- Rany, byłeś najlepszy z nas wszystkich...

- Pogadajmy o czymś innym - uciął Neely. Siedział tu od trzech godzin i nagle zapragnął odejść, chociaż nie miał pojęcia, dokąd mógłby pójść. Przed dwiema godzinami Paul wspomniał o kolacji, ale jak dotąd nie ponowił zaproszenia.

- Dobra, o czym?

- O Rake'u. Kiedy miał najgorszą drużynę? Wszystkie butelki natychmiast powędrowały do ust.

Musieli się zastanowić.

Jako pierwszy przemówił Mal.

- W siedemdziesiątym szóstym przegrał cztery mecze. Miss Lila przysięga, że nie wychodził z domu przez całą zimę, nawet do kościoła. Że w ogóle przestał się pokazywać. Potem dał chłopakom potworny wycisk. Harowali jak woły przez całe lato, w sierpniu trenowali trzy razy dziennie i w siedemdziesiątym siódmym była to już zupełnie inna ekipa. Mało brakowało i zdobyliby mistrzostwo stanu.

- Przegrali cztery mecze w sezonie? - spytał Neely. - Jakim cudem?

Mal odchylił się do tyłu i oparł o ławkę za nimi. Pociągnął łyk piwa. Był najstarszym Spartaninem, a ponieważ od trzydziestu lat nie przepuścił ani jednego meczu, miał niezaprzeczalne prawo zabrać głos.

- Po pierwsze, nie było wśród nich ani jednego naprawdę utalentowanego zawodnika. W

siedemdziesiątym szóstym roku podskoczyła cena drewna i wszyscy drwale rzucili futbol. Wiesz, jacy oni są. Potem quarterback złamał rękę i nie mieli kim go zastąpić. Graliśmy wtedy z Harrisburgiem i nie zaliczyliśmy ani jednego dobrego podania. Jeśli w każdej akcji bierze udział cała jedenastka, jest cholernie ciężko. To była prawdziwa klęska.

- Przegraliśmy z Harrisburgiem? - spytał z niedowierzaniem Neely.

- Tak, jeden jedyny raz w ciągu czterdziestu jeden lat. Powiem wam, co te sukinsyny zrobiły. Jest

końcówka meczu. Prowadzą, i to jak, trzydzieści sześć do zera, coś koło tego. Najgorszy piątek w historii miasta. Prowadzą i myślą sobie tak: karta się odwróciła, teraz im dokopiemy, i postanawiają podwyższyć wynik. Na dwie minuty przed końcem meczu quarterback posyła piłkę do skrzydłowego i zaliczają kolejne przyłożenie. Są podnieceni jak jasna cholera, wiecie, dają popalić Spartanom. Ale Rake zachował spokój. Zakonotował to sobie i pojechał szukać drwali. Rok później gramy z Harrisburgiem tutaj, u nas. Olbrzymi tłum, rozwścieczony tłum i w pierwszej połowie zaliczamy siedem przyłożeń.

- Tak, pamiętam - powiedział Paul. - Byłem wtedy w pierwszej klasie. Czterdzieści osiem do zera.

- Czterdzieści siedem - poprawił go z dumą Mal. - W trzeciej kwarcie mieliśmy cztery przyłożenia, ale Rake nie popuścił. Żadnych zmian, bo nie miał rezerwowych. Kazał im grać do oporu.

- No i...? - spytał Neely.

- No i rozgromili ich: dziewięćdziesiąt cztery do zera. Wciąż niepobity rekord. To był chyba jedyny raz, kiedy Eddie Rake grał na wynik.

Spartanie siedzący po drugiej stronie stadionu wybuchli śmiechem. Ktoś skończył pewnie opowiadać kolejną historyjkę, bez wątpienia o Rake'u. Silos, który w obecności stróża prawa bardzo przycichł, wyczaił odpowiedni moment i oznajmił:

Muszę lecieć. Curry, zadzwoń do mnie, jeśli dowiesz się czegoś nowego o Rake'u.

Dobra.

Do jutra. - Silos wstał, przeciągnął się i wziął jeszcze jedną flaszkę.

Podrzuci mnie ktoś? - spytał Hubcap.

Nadeszła ta pora, co? - rzucił szeryf. - Pora, kiedy wszyscy dobrzy złodzieje wyłażą z rynsztoka.

- Przez kilka dni nigdzie nie będę łąził - odparł Silos. - Z szacunku dla Rake'a.

Jakie to wzruszające. Skoro dzisiaj nie kradniesz, zadzwonię do tych z nocnej służby i odeślę ich do domu.

- Jasne, koniecznie.

Zagrzechotały metalowe stopnie. Silos, Hubcap i Amos Kel-so zeszli ciężko na dół.

Nie minie rok i trafi do pudła - prorokował Mal, patrząc, jak idą bieżnią za strefą przyłożeń. - Lepiej wyczyść swój bank, Curry.

- Spokojna głowa. Neely miał dość. Wstał.

- Też uciekam.

- Miałeś wpaść na kolację - powiedział Paul.

- Nie jestem głodny. Może jutro.

- Mona będzie zawiedziona.

- Powiedz jej, żeby zostawiła dla mnie resztki. Dobranoc, Mal. Cześć, Randy. Na pewno się jeszcze spotkamy.

Miał sztywne kolano i schodząc na dół, bardzo starał się nie kuleć, żeby nie pomyśleli, że jest kimś gorszym niż kiedyś. Już na bieżni, za ławką Spartan, za szybko skręcił i omal nie upadł.

Noga ugięła się, zadrżała i w kilkunastu miejscach naraz przeszył ją ostry ból. Ponieważ zdarzyło mu się to nie pierwszy raz, błyskawicznie przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i jakby nigdy nic poszedł dalej.

ŚRODA

W oknach wystawowych wszystkich sklepów na rynku, tych dużych i tych małych, wisiały wielkie zielone harmonogramy rozgrywek futbolowych, jakby klientom i mieszkańcom miasta trzeba było przypominać, że Spartanie grają w każdy piątek wieczorem. Na każdej latarni ulicznej przed sklepami i sklepikami powiewała zielono-biała flaga, którą wywieszano pod koniec sierpnia i zdejmowano, gdy kończył się sezon. Neely pamiętał te Hagi jeszcze z czasów, gdy jako mały chłopiec pedałowal chodnikiem na rowerze. Nic się nie zmieniło. Wielkie zielone harmonogramy co roku były takie same: wypisane tłustym drukiem nazwy drużyn, uśmiechnięte twarze zawodników, a na samym dole małe ogłoszenia miejscowych sponsorów, przedstawiciele dosłownie wszystkich branż, którym dane było zaistnieć w Messinie. Nie brakowało nikogo.

Gdy wszedł do Renfrow's Cafe krok za Paulem, wziął głęboki oddech i zmusił się do uśmiechu, do zachowania grzeczności - ostatecznie ludzie ci kiedyś go uwielbiali. Już w drzwiach uderzył go ostry zapach smażeniny, a zaraz potem usłyszał przytłumione pobrzękiwanie garnków. I zapachy, i odgłosy nie zmieniły się od chwili, gdy pewnego sobotniego ranka ojciec przyprowadził go tu na czekoladę i gdy po raz pierwszy zobaczył, jak miejscowi rozprawiają o najnowszym zwycięstwie Spartan.

W sezonie każdy futbolista mógł co najmniej raz tygodniowo zjeść tu za darmo; był to prosty i hojny gest właściciela, wystawionego na ciężką próbę zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego. Czy Renfrow nada ten sam przywilej Murzynom? Nada, nada - powiedział Eddie Rake i Renfrow's Cafe stała się pierwszą knajpą w stanie, która dobrowolnie się zintegrowała.

Paul zagadywał niemal do wszystkich siedzących przy kawie, ale konsekwentnie parł w stronę boksu przy oknie. Neely kiwał im głową i unikał kontaktu wzrokowego. Zanim dotarli na miejsce, tajemnica się wydała. Neely Crenshaw naprawdę wrócił.

Ściany były poobklejane starymi plakatami, pozawieszane oprawionymi w ramki artykułami z gazet, proporcami, podpisanymi koszulkami i setkami zdjęć - zdjęciami drużyn w porządku chronologicznym nad ladą, zdjęciami z meczów, które dostarczała redakcja miejscowej gazety, i

wielkimi fotografiami najślynniejszych Spartan. Zdjęcie Neely'ego wisiało nad kasą. Był wtedy w maturalnej klasie: długowłosa, skupiony, zadziorny i pewny siebie, stał z gotową do rzutu piłką. Bez hełmu, bez uśmiechu na ustach, z trzydniowym zarostem, a raczej młodzieńczym meszkiem na twarzy i z oczami wpatrzonymi w dal, bez wątpienia w pełną chwały przyszłość.

- Ładniutki byłeś - powiedział Paul.

- Wydaje się, że to było wczoraj. A zaraz potem, że to był tylko piękny sen.

Pośrodku najdłuższej ściany urządzono ołtarz poświęcony Rake'owi - wielka kolorowa fotografia Coacha stojącego przy bramce, a pod fotograficznego rekord: czterysta osiemnaście zwycięstw, sześćdziesiąt dwie porażki, trzynaście tytułów mistrza stanu.

Według najnowszych plotek, Rake kurczowo trzymał się życia. A całe miasto kurczowo trzymało się Rake'a. Rozmowy były przyciszone - żadnych tam śmiechów, żadnych żartów, napuszonych przechwałek wędkarskich, żadnych kłótni na temat polityki.

Niska kelnerka w zielono-białym fartuchu podała im kawę i przyjęła zamówienie. Paula znała, ale towarzyszącego mu faceta nie.

- Maggie jeszcze tu pracuje? - spytał Neely.

- Jest w domu starców - odrzekł Paul.

Maggie Renfrow serwowała gorącą kawę i tłustą jajecznicę przez dziesiątki lat. Bardzo interesowały ją również wszystkie plotki na temat drużyny futbolowej Spartan. Ponieważ wydawała im darmowe posiłki, udało jej się to, czego próbowali wszyscy mieszkańcy Messyny: zbliżyć się troszkę bardziej do chłopców i ich trenera.

Jakiś mężczyzna podszedł do nich i niezdarnie skinął głową Neely'owi.

- Chciałem się tylko przywitać - powiedział, wyciągając do niego rękę. - Cieszę się, że znowu cię widzę, po tylu latach. Byłeś kimś.

- Dzięki.

Uścisk ręki był krótki. Neely uciekł wzrokiem w bok. Mężczyzna zrozumiał to i odszedł. Potem mieli już spokój.

Owszem, niektórzy zerkali na niego ukradkiem, a nawet się gapili, ale większość dumiała przy kawie, kompletnie go ignorując. Ostatecznie on ignorował ich przez piętnaście lat. Miejscowi bohaterowie należeli do Messyny i oczekiwano, żeby za nią tęsknili.

- Kiedy ostatni raz widziałeś Krzykulę? - spytał Paul. Neely prychnął i spojrzał w okno.

- W college'u - odrzekł.

- I od tamtej pory nie?

- List. Jeden. Dawno, przed laty. Fikuśny papier, fikuśna koperta. Właśnie podbijam Hollywood, będę sławniejsza, niż myślałeś. Okropne. Nie odpisałem.

- Była na zjeździe absolwentów z okazji dziesiątej rocznicy matury - powiedział Paul. - Aktorka.

Blondyna. Same włosy i nogi. Kiecki, których nikt tu nigdy nie widział. Dała show, że hej. Rzuciła nazwiskami na lewo i prawo: ten producent, tamten reżyser, aktorzy, o których nigdy nie słyszałem.

Miałem wrażenie, że więcej czasu spędza w łóżku niż przed kamerą.

- Cała Krzykula.

- Ty ją znałeś.

- Jak wyglądała?

- Jak kobieta zmęczona życiem.

- Zagrała w jakimś filmie?

- Mówiła, że tak, ale tytuły zmieniały się z godziny na godzinę. Potem porównaliśmy notatki i okazało się, że nikt z nas tych filmów nie widział. Cały czas grała pod publiczność, na pokaz. Typowa Krzykula. Aha, już nie Krzykula. Teraz nazywa się Tessa. Tessa Canyon.

- Tessa Canyon?

- Tak.

- Jak gwiazda porno.

- Chyba w tym kierunku zmierza.

- Biedna dziewczyna.

- Biedna dziewczyna? - powtórzył Paul. - To żalosna, zapatrzona w siebie idiotka, sławna tylko dlatego, że była kiedyś dziewczyną Crenshawa.

- Tak, ale te nogi...

Uśmiechnęli się do siebie i długo się uśmiechali. Kelnerka przyniosła placki z kiełbaskami i dołała im kawy. Paul zalał talerz syropem klonowym i powiedział:

- Dwa lata temu w Vegas był zjazd bankierów, samych ważniaków. Pojechałem z Moną. Znudziła się i wróciła do pokoju. Ja też się nudziłem, więc późnym wieczorem poszedłem na Strip. Zajrzałem do jednego z tych starszych kasyn i kogo widzę?

- Tese Canyon.

- Roznosiła drinki w takiej obcisłej sukieneczce, wiesz, wielki dekolt z przodu, jeszcze większy z tyłu. Tlenione włosy, make-up aż kapie, dziesięć kilo nadwagi. Nie widziała mnie, więc trochę sobie popatrzyłem. Wyglądała na więcej niż trzydzieści lat. Ale najdziwniejsze było to, jak się zachowywała. Podchodziła do stolika i od razu ten uśmiech, od razu ten głosik, to kocie mruczenie:

„Zabierz mnie na górę, skarbie”, wiesz. Te gładkie teksty, to ocieranie się, to niby przypadkowe wpadanie na klienta. Bezwstydne flirtowanie z bandą pijaków. Ta kobieta po prostu chce być kochana.

- Robiłem, co mogłem.

- To beznadziejny przypadek.

- Dlatego ją rzuciłem. Myślisz, że przyjedzie na pogrzeb?

- Cholera jawie. Jak dojdzie do wniosku, że może na ciebie wpaść, to przyjedzie. Z drugiej strony, kiepsko wygląda, a dla Krzykuli wygląd to podstawa.

- Jej rodzice ciągle tu mieszkają?

- Tak.

Do stolika podszedł puciołowaty mężczyzna w czapce. Podszedł ostrożnie, niepewnie, jakby naruszał granice czyjejs posesji.

- Chciałem się tylko przywitać. - Mało brakowało i by się uklonił. - Tim Nunley z warsztatu Forda.

- Wyciągnął rękę, ale tak jakby się bał, że go zlekceważą. Neely uściśnął ją z uśmiechem. - Kiedyś naprawiałem samochód twego taty.

- Tak, pamiętam pana - zełgał Neely, ale warto było. Nunley uśmiechnął się jeszcze szerzej, jeszcze mocniej uściśnął mu rękę.

- Tak myślałem - powiedział, zerkając w stronę swojego stolika i szukając uznania w oczach kumpli. - Cieszę się, że wróciłeś. Byłeś znakomity.

- Dziękuję. - Neely zabrał rękę i sięgnął po widelec. Nunley wycofał się powoli, nadal gotów bić pokłony. Wziął płaszcz i wyszedł.

Rozmowy wciąż były przyciszone, jakby rozpoczęło się już czuwanie przy zmarłym. Paul przełknął to, co miał w ustach, i nachylił się ku Neely'emu.

- Cztery lata temu mieliśmy dobrą drużynę. Wygrali pierwsze dziewięć meczów. Ani jednej porażki.

Siedziałem tu tak jak teraz, jadłem dokładnie to samo. Był piątek, wieczorem mecz, i przysięgam ci, że gadali o złotej serii. Nie o tej starej, tylko o nowej. Ci faceci marzyli o nowej złotej serii. Zdobyć tytuł najlepszej drużyny sezonu? Tytuł mistrza konferencji czy nawet mistrza stanu? W cholere z tym, to betka. To miasto pragnie osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu, może nawet stu zwycięstw z rzędu.

Neely rozejrzył się szybko i znowu wbił wzrok w talerz.

- Nigdy tego nie rozumiałem - odrzekł. - To mili ludzie. Mechanicy, kierowcy ciężarówek, agenci ubezpieczeniowi, murarze. Może nawet jakiś adwokat albo bankier. Dobrzy, solidni obywatele małego miasteczka, choć niekoniecznie bogaci, bo nie ma tu chyba milionerów. Ale mają prawo żądać, żeby ich drużyna co roku wygrywała mistrzostwo stanu, tak?

- Właśnie.

- Nie rozumiem.

- Chcą się czymś pochwalić. A czym się pochwalą, jeśli nie tym?

- Nic dziwnego, że tak uwielbiają Rake'a. Dzięki niemu miasto zaistniało na mapie.

- Zjedz coś - powiedział Paul.

Podszedł do nich mężczyzna w brudnym fartuchu. W rękę ścisnął dużą żółtą kopertę. Przedstawił się jako brat Maggie Renfrow, obecnie szef kuchni, i otworzył kopertę. W środku było duże, kolorowe, oprawione w ramki zdjęcie Neely'ego z Tech.

- Maggie zawsze chciała, żebyś je podpisał.

Było piękne. Przedstawiało go w akcji, przycupniętego tuż za środkowym, gotowego do odebrania wysnapowanej piłki, lustrującego ustawienie obrony. W prawym dolnym rogu widać było fioletowy hełm: grali wtedy z A&M. Zdjęcie - nigdy go dotąd nie widział - zrobiono na kilka minut przed tą nieszczęsną kontuzją.

-

Jasne - odrzekł, biorąc od niego czarny mazak.

Podpisał się na górze i przez długą chwilę patrzył w oczy młodego, nieustraszonego quarterbacka, gwiazdora college'u, na którego czekała NFL. Słyszał ryk kibiców, siedemdziesięciu pięciu tysięcy krzepkich, żądnych zwycięstwa fanów, dumnych z niepokonanej drużyny, podekscytowanych tym, że pierwszy raz od wielu lat mają u siebie prawdziwego mistrza, najlepszego rozgrywającego w Stanach.

I nagle zatęsknił za tamtymi czasami.

- Ładne. - Zdołał powiedzieć tylko tyle. Szef kuchni wziął zdjęcie i natychmiast powiesił je na gwoździu pod tym, które wisiało już nad kasą.

- Chodźmy stąd. - Neely wstał, wytarł usta, położył na stole pieniądze i szybko ruszyli do drzwi.

Idąc, kłaniał się i uśmiechał grzecznie do stałych bywalców. Zdołali uciec stamtąd niezatrzymywani.

- Czym ty się tak denerwujesz? - spytał Paul, gdy wyszli na ulicę.

- Nie chcę gadać o futbolu, jasne? Nie chcę wysłuchiwać tych wszystkich pochwał.

Wjechali w labirynt uliczek wokół rynku, mijając po drodze kościół, w którym go ochrzczono i w którym Paul brał ślub, a potem ładny dom przy Dziesiątej, gdzie zamieszkał jako ośmiolatek i mieszkał aż do studiów. Rodzice sprzedali go pełnej krwi Jankesowi, którego ściągnięto do Messiny na stanowisko kierownika papierni pod miastem. Minęli dom Rake'a, powoli, niespiesznie, jakby jadąc, mogli podsłuchać, co się tam dzieje. Na podjeździe stało mnóstwo samochodów, większość spoza stanu; pewnie rodzina i przyjaciele. Minęli park, gdzie grali kiedyś w Małej Lidze i w Pop Warner.

I znowu wróciły wspomnienia, i znowu popłynęły opowieści. Jedna z nich, teraz już miejscowa legenda, dotyczyła oczywiście Rake'a. Neely, Paul i kilku innych chłopaków z podstawówki grało w piłkę na piachu, gdy wtem zauważyli mężczyznę, który stojąc przy ogrodzeniu boiska do koszykówki, uważnie ich obserwował. Gdy skończyli, podszedł do nich i się przedstawił: Eddie Rake. Chłopakom odebrało mowę.

-

Masz dobre ramię, synu - powiedział i Neely'ego kompletnie замуrowało. - Stopy też.

Wszyscy chłopcy spojrzeli na jego stopy.

- Czy twoja mama jest takiego samego wzrostu jak tata? - spytał Rake.

- Prawie - wykrztusił Neely.

- To dobrze. Będzie z ciebie dobry quarterback. - Rake uśmiechnął się do nich i odszedł.

Neely miał wtedy jedenaście lat. Wstąpili na cmentarz.

W roku 1992 nadchodzący sezon wzbudzał w Messinie wiele niepokoju. Rok wcześniej Spartanie przegrali trzy mecze i była to obywatelska klęska, po której mieszkańcy długo zrzedzili nad plackami u Renfrowa, nad gumowatymi kurczakami na rotariańskich lunchach i przy tanim piwie w wiejskich gospodach na zadupiu. W drużynie było za mało uczniów z ostatnich klas, a to zawsze zły znak. Ulżyło im trochę, gdy słabsi gracze zdali maturę i odeszli ze szkoły.

Jeśli nawet Rake odczuwał nacisk opinii publicznej, nie dał tego po sobie poznać. Trenował

Spartan od ponad trzydziestu lat i widział już chyba wszystko. Ostatni tytuł mistrza stanu zdobył w osiemdziesiątym siódmym, tak więc Messmę dotknęła trzyletnia posucha. Ale bywały gorsze.

Kibice byli rozpuszczeni i żądali stu zwycięstw z rzędu, lecz Rake, po tylu latach pracy z chłopakami, miał to gdzieś.

Drużyna z dziewięćdziesiątego drugiego nie miała dobrego narybku. Jedynym gwiazdorem był

Randy Jaeger, który grał na pozycji skrzydłowego i wylapywał wszystkie piłki, jakie quarterback mu rzucił, chociaż nie było ich zbyt wiele.

W mieście wielkości Messyny prawdziwe talenty pojawiały się cyklicznie. W cyklu dobrym, jak choćby w roku osiemdziesiątym siódmym, kiedy to grali Neely, Silos, Paul, Alonzo Taylor i czterech okrutnych drwali w obronie, wyniki były dobre. Jednakże wielkość Eddiego Rake'a polegała na tym, że potrafił wygrywać z graczami drobnymi i powolnymi. Brał takich do zespołu i wyniki bynajmniej się nie pogarszały. Tych szczupłych urabiał dłużej i intensywniej, jednak tylko kilka drużyn przeżyło to, co przeżyła drużyna Jaegera w sierpniu dziewięćdziesiątego drugiego.

Po niezbyt udanym treningu w sobotnie popołudnie Rake zwymyślał graczy i zarządził poranny trening niedzielny, co przedtem robił bardzo rzadko ze względu na protesty miejscowych duchownych. O ósmej, żeby chłopcy mieli czas pójść do kościoła, jeśli się tam dowłoką. Zawsze denerwował go brak kondycji fizycznej wśród zawodników, co było dobrym żartem, ponieważ każdy z nich musiał zaliczać sprint za sprintem.

Spodenki, naramienniki, zwykłe adidas i hełmy; bez kontaktu fizycznego, to tylko zaprawa. O

ósmej rano było prawie trzydzieści dwa stopnie w cieniu. Trzydzieści dwa stopnie, duża wilgotność i czystutkie niebo. Porozciągali się trochę i dla rozgrzewki zaliczyli półtora kilometra wokół boiska.

Wszyscy ociekali potem, ale Rake kazał im biec dalej.

Torturą numer dwa, zaraz po Spartańskim Maratonie, był atak na trybuny. Każdy z nich wiedział, co to znaczy, więc gdy Rake wrzasnął: „Trybuny!”, połowa drużyny chciała natychmiast zrezygnować.

Ustawiwszy się niechętnie za Randym Jaegerem, swoim kapitanem, utworzyli długi, pojedynczy rząd i rozpoczęli powolny bieg wokół boiska. Za ławką dla zawodników rezerwowych gości Jaeger skręcił, minął furtkę i wbiegł w przejście: dwudziesty rząd, znowu skręt, bieg wzdłuż barierki, przejście i dwadzieścia rzędów w dół, do sąsiedniego sektora. Osiem sektorów po drugiej stronie stadionu, z powrotem na bieżnię, wokół strefy przyłożeń przeciwnika, wreszcie wokół własnej.

Pięćdziesiąt rzędów w górę, bieg wzdłuż barierki i pięćdziesiąt rzędów w dół.

W górę i w dół, w górę i w dół, w górę i w dół w kolejnych ośmiu sektorach, i z powrotem na bieżnię na kolejne kółeczko. Po pierwszej wyczerpującej rundzie linemani zaczęli zostawać w tyle, a na czele stawki jak zwykle biegł Jaeger, który mógł tak bez końca. Rake chodził przy bieżni z gwizdkiem na szyi, powarkując i pokrzykując na maruderów. Uwielbiał odgłos, jaki wydawało pięćdziesięciu zawodników dudniących ciężko po metalowych schodach między ławkami.

- Jesteście bez formy - mówił na tyle głośno, żeby go słyszeli. - Powolniejszych w życiu nie miałem -

zrzedził teatralnym szeptem. Słyszał z tego zrzedzenia i zawsze było je słycać.

Po drugiej rundzie jeden z obrońców upadł na murawę i zaczął wymiotować. Ciężsi zawodnicy biegli coraz wolniej i wolniej.

Scotty Reardon, uczeń drugiej klasy, grał w specjal teamie. Ważył wtedy sześćdziesiąt cztery kilogramy, ale podczas sekcji zwłok już tylko pięćdziesiąt osiem. Gdy drużyna zaliczyła trzecią rundę, upadł między trzecim i czwartym rzędem po stronie gospodarzy i już nie odzyskał przytomności.

Ponieważ była niedziela i ponieważ gracze mieli tylko biegać, na polecenie Rake'a jego asystenci zostali w domu. Nie było też karetki pogotowia. Chłopcy mówili potem, że gdy czekali w nieskończoność, aż w oddali zawyje syrena, Coach ułożył sobie głowę Scotty'ego na kolanach. Ale Scotty umarł już tam, między ławkami, a gdy wreszcie zawieziono go do szpitala, nie żył na sto procent. Udar cieplny.

Paul opowiadał tę historię, gdy szli krętymi, cienistymi alejami cmentarza. W jego nowszej części, tej na zboczu stromego wzgórza, nagrobki były mniejsze, rzędy równiejsze i porządniejsze. Ruchem głowy wskazał jeden z nagrobków i Neely przyklęknął, żeby przeczytać napis: RANDALL SCOTT REARDON, 20 CZERWCA 1977-21 SIERPNIA 1992.

- I chcą go tu pochować? - spytał, wskazując puste miejsce tuż obok.

- Takie krążą plotki - odrzekł Paul.

- Tutaj zawsze krążą plotki.

Przeszli kilka kroków, usiedli na żelaznej ławce pod małym klonem i popatrzyli na nagrobek Scotty'ego.

- Kto miał odwagę go zwolnić? - spytał Neely.

- Zmarł nie ten chłopak. Jego rodzina miała trochę pieniędzy ze sprzedaży drewna. W

osiemdziesiątym dziewiątym jego wujek, John Reardon, został szefem stanowego departamentu szkolnictwa. Bardzo szanowany, bystry jak jasna cholera, wytrawny polityk i jedyna osoba władna wywalić Rake'a. No i go wywalił. Jak się pewnie domyślasz, miasto był wstrząśnięte śmiercią Scotty'ego, a kiedy wyszły na jaw wszystkie szczegóły, zaczęli narzekać na Coacha i jego metody.

- Mieliśmy szczęście, że nie pozabijał nas wszystkich.

- W poniedziałek zrobili sekcję zwłok. Klasyczny przypadek udaru cieplnego. Żadnych schorzeń.

Żadnych urazów. Idealnie zdrowy piętnastolatek wychodzi z domu o wpół do ósmej rano na dwugodzinne tortury i już nie wraca. Po raz pierwszy w historii miasta ludzie zadali mu pytanie:

„Właściwie po co każe pan im biegać w tym upale, aż zaczynają wymiotować?”

- I co odpowiedział?

- Nic. Milczał. Siedział w domu i próbował przeczekać burzę. Wielu ludzi, w tym byłych zawodników, myślało sobie tak: No i stało się. Rake w końcu kogoś zabił. Ale ci najtwardsi mówili:

„Bzdura. Pacan był mięczakiem, nie nadawał się do drużyny”. Miasto się podzieliło. Zrobiło się paskudnie.

- Podoba mi się ten Reardon.

- Prawdziwy twardziel. W poniedziałek wieczorem zadzwonił do Rake'a i go zwolnił. We wtorek wybuchła bomba. Rake, jak to Rake, nie mógł znieść porażki i usiadł przy telefonie, żeby podbuzować sponsorów.

- Nie miał wyrzutów sumienia?

- A kto to wie? Pogrzeb był koszmarny. Płaczące i mdlejące dzieci. Zawodnicy w zielonych koszulkach. Szkolna orkiestra. Wszyscy gapili się na Rake'a, a Rake wyglądał żałośnie.

- Był świetnym aktorem.

- Jasne, wiadomo. Wywalili go niecałe dwadzieścia cztery godziny przed pogrzebem, więc wszystko było jeszcze bardziej dramatyczne. Prawdziwe widowisko, nikt nie chciał tego przegapić.

- Szkoda, że mnie nie było.

- Co wtedy robiłeś?

- Latem dziewięćdziesiątego drugiego? Byłem gdzieś na zachodzie. Pewnie w Vancouver.

- W środę sponsorzy chcieli zwołać wiec w sali gimnastycznej. Ale Reardon powiedział: „Nie w szkole”. Poszli do VFW, do weteranów, i zorganizowali masówkę na cześć Rake'a. Ci w gorącej wodzie kąpani zagrozili, że obetną fundusze, że będą bojkotować mecze, że zorganizują pikietę przed biurem Reardona, a nawet otworzą nową szkołę, gdzie Rake'a na pewno uwielbiano by i czczono.

- On też tam był?

- Co ty. Przysłał Królika. Sam wolał zostać w domu i wisieć na telefonie. Naprawdę wierzył, że jak naciśnie odpowiednie guziki, przyjmą go z powrotem. Ale Reardon się zaparł. Zaproponował tę robotę Snake'owi Thomasowi, jego asystentowi. Snake odmówił. Reardon go zwolnił. Donnie Malone też odmówił. Reardon go zwolnił. Quick Upchurch odmówił, tak jak pozostali. Rearden zwolnił go, jak pozostałych.

- Ten facet coraz bardziej mi się podoba.

- W końcu bracia Griffin zgodzili się przejąć drużynę do czasu, aż szkoła znajdzie kogoś na stałe.

Grali u Rake'a pod koniec lat siedemdziesiątych...

- Tak, pamiętam. To ci z pekanowego sadu.

- Właśnie. Dobrzy gracze, mili faceci, a ponieważ Rake nigdy niczego nie zmieniał, znali cały system, wszystkie zagrywki i prawie wszystkich chłopaków. Nadszedł piątek, otwarcie sezonu.

Graliśmy z Porterville i obowiązywał bojkot. Sęk w tym, że nikt nie chciał przepuścić takiego meczu.

Zwolennicy Rake'a, których była pewnie większość, też nie, bo mieli nadzieję, że tamci rozniosą naszych w pył. Tylko prawdziwi kibice przyszli po to, po co zawsze przychodzą. Stadion nabity po brzegi, jak zwykle, rozwrzeszczany i podzielony jak nigdy przedtem. Zawodnicy nabuzowani jak jasna cholera. Dedykowali mecz Scotty'emu i wygrali czterema przyłożeniami. Cudowny wieczór.

Smutny ze względu na Scotty'ego, smutny, bo era Rake'a najwyraźniej dobiegła końca, ale cóż, najważniejsze jest zwycięstwo.

- Twarda ta ławka. - Neely wstał. - Chodźmy się przejść.

- Rake wziął adwokata i podał Reardona do sądu. Zrobiło się paskudnie. Reardon nie ustępował, a miasto, chociaż głęboko podzielone, co piątek zwierało szyki. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby chłopcy grali tak odważnie. Wiele lat później jeden z nich, mój znajomek, powiedział, że odczuwali wielką ulgę, grając nie ze strachu, ale dla samej przyjemności grania.

- To musi być wspaniałe uczucie.

- Myśmy go nie znali.

- Tak, to prawda.

- Wygrali pierwsze osiem meczów. Do zera. Samą dumą i odwagą. Mówiono już o tytule mistrza stanu. O nowej złotej serii. O tym, żeby zapłacić Griffonom kupę szmalu, żeby założyli nową dynastię. Takie tam pieprzenie.

- I wtedy przegrali.

- Jasne. To jest futbol. Dzieciaki zaczynają myśleć, że są dobrzy, i dostają w dupę.

- Od kogo?

- Przerżnęli z Hermantown.

- Gadasz! Przecież oni grają w kosza.

- Tu, na oczach dziesięciu tysięcy kibiców. Najgorszy mecz, jaki kiedykolwiek widziałem. Ani dumy,

ani odwagi, tylko pokażcie nam kolejny artykuł w prasie. Do diabła ze złotą serią. Do diabła z tytułem mistrza stanu. Wypieprzyć Griffinów. Oddajcie nam Rake'a. Kiedy wygrywali, było w miarę spokojnie, ale wystarczyła jedna porażka i miasto się na wiele lat podzieliło. Tydzień później też przegrali i nie zakwalifikowali się do play-offów. Griffinowie natychmiast zrezygnowali.

- I bardzo mądrze.

- Ci z nas, którzy grali u Rake'a, znaleźli się między młotem a kowadłem. Wszyscy pytali: „Po czyjej jesteś stronie?” Żadnej tam neutralności, brachu, musiałeś się wyraźnie zdeklarować, jesteś za Rakiem czy przeciwko niemu.

- I co zrobiłeś?

- Siedziałem na płocie między jednymi i drugimi i obrywałem z obu stron. Konflikt przerodził się w wojnę klas. Zawsze istniała mała grupka tych, którzy mieli za złe, że na futbol wydaje się więcej pieniędzy niż na matematykę i wszystkie przedmioty ściśle razem wzięte. Jeździliśmy wynajętymi autobusami, tymczasem tych z klubów i kółek zainteresowań musieli podrzucać rodzice. Przez wiele lat dziewczyny nie miały boiska do softbolu, a my mieliśmy niejedno, ale dwa boiska treningowe.

Łacinnicy zakwalifikowali się na jakieś eliminacje w Nowym Jorku, ale nie stać ich było na podróż; tego samego roku nasza drużyna pojechała pociągiem na Super Bowl do Nowego Orleanu. Lista nie miała końca. Kiedy zwolnili Rake'a, ludzie zaczęli narzekać jeszcze głośniejsze. Ci, którzy chcieli zmniejszyć znaczenie sportu jako takiego, dostrzegli swoją szansę. Maniacy stawiali zawzięty opór, chcieli powrotu Rake'a i kolejnej serii. Ci z nas, którzy poszli do college'u i których uważano za w miarę oświeconych, utknęli pośrodku.

- No i...?

- Kipiało i wrzało przez wiele miesięcy. Reardon twardo obstawał przy swoim. Znalazł jakąś zabłąkaną duszę w Oklahomie i zaangażował go jako następcę Rake'a. Jak na nieszczęście w dziewięćdziesiątym trzecim były wybory i cały ten burdel przekształcił się w wielką awanturę polityczną. Krążyły plotki, że przeciwko Reardonowi wystąpi sam Rake. Gdyby wygrał, namaściłby się jako główny trener i kazał światu się wypchać. Powiadano, że ojciec Scotty'ego jest gotów wyłożyć milion dolarów na kampanię Reardona. I tak dalej, i tak dalej. Wyścig jeszcze się nie rozpoczął, a już zrobiło się obrzydliwie, tak obrzydliwie, że zwolennicy Rake'a nie mogli znaleźć kandydata.

- No i kto wystartował?

- Dudley Bumpus.

- Dobre nazwisko.

- Ale tylko nazwisko. To krzykacz i rozrabiaka. Handluje nieruchomościami i na każdym spotkaniu sponsorów darł mordę. Ani doświadczenia politycznego, ani wykształcenia; ledwo skończył college.

Raz miał sprawę w sądzie, ale go nie skazali. Głupi palant, który omal nie wygrał.

- Wygrał Reardon?

- Sześćdziesięcioma głosami. Frekwencja była największa w historii hrabstwa, prawie dziewięćdziesiąt procent. Bić ich i nie brać jeńców, jak na wojnie. Kiedy ogłoszono wyniki, Rake zamknął się w domu i nie wychodził przez dwa lata.

Przystanęli przed rzędem nagrobków. Paul zrobił kilka kroków, jakby czegoś szukał.

-

To tutaj - powiedział. - David Lee Goff. Pierwszy Spartanin, który poległ w Wietnamie.

Neely spojrział na wpuszczone w kamień zdjęcie. Przedstawiało chłopaka wyglądającego na szesnaście lat. Pozował nie w wojskowym mundurze, tylko w zielonej koszulce Spartan z numerem dwadzieścia dwa na piersi. Urodzony w pięćdziesiątym roku, zginął w sześćdziesiątym ósmym.

- Znam jego najmłodszego brata - mówił Paul. - David Lee zrobił maturę w maju. W czerwcu był

już na obozie dla rekrutów, a w październiku wylądował w Wietnamie. Zabili go dzień po Święcie Dziękczynienia. Miał osiemnaście lat i dwa miesiące.

- Dwa lata przed naszymi narodzinami.

- Mniej więcej. Był jeszcze jeden, ale jak dotąd go nie znaleziono. Czarny chłopak, Marvin Rudd.

Zaginął w akcji w siedemdziesiątym roku.

- Pamiętam, jak Rake o nim opowiadał - odrzekł Neely.

- Rake go uwielbiał. Jego rodzice przychodzą na każdy mecz. Ciekawe, co wtedy czują.

- Mam dość śmierci. Chodźmy.

Neely nie pamiętał, żeby za jego czasów była w Messinie księgarnia albo sklep, gdzie można było napić się espresso i kupić kenijską kawę. Ale teraz w sklepiku Nata klient mógł załatwić to wszystko za jednym zamachem - mógł również kupić gazetę, cygara, płyty kompaktowe, pożółkłe pocztówki, podejrzanego pochodzenia herbatę, wegetariańskie kanapki i zupy, mógł też spotkać się tu z wędrownymi poetami, śpiewakami oraz z nielicznymi przedstawicielami miejscowej bohemy, a przynajmniej z tymi, którzy do takiego miana aspirowali. Sklep mieścił się przy rynku, cztery domy za bankiem Paula, w budynku, gdzie sprzedawano paszę dla bydła i nawozy sztuczne, gdy Neely był dzieckiem. Paul musiał załatwić jakieś kredyty, więc Neely poszedł tam sam.

Nat Sawyer był najgorszym punterem w historii spartańskiego futbolu. Ustanowił rekord najniższej średniej długości wykopu, poza tym spieprzył tyle wysnapiowanych piłek, że Rake często wołał

zaryzykować zdobycie brakujących jardów w ostatniej czwartej próbie, nawet przy ośmiu jardach do

zdobycia, bez względu na to, w którym punkcie boiska znajdowała się piłka*. Z Neelym jako quarterbackiem dobry punter nie był po prostu potrzebny.

Gdy byli w ostatniej klasie, Nat zdołał jakimś cudem w ogóle nie trafić nogą w piłkę, w dodatku aż dwa razy, dzięki czemu powstał jeden z najczęściej oglądanych filmów wideo w historii szkoły.

Drugie pudło - a właściwie dwa pudła w tym samym punkcie - zaowocowało komicznym dziewięćdziesięcioczworo-jardowym biegiem, który według licznika kamery trwał dokładnie siedemnaście i trzy dziesiąte sekundy. Stojąc we własnej strefie przyłożeń i bardzo się tym denerwując, Nat odebrał wysnapowaną piłkę, podrzucił ją, kopnął, chybił i w tym samym momencie został stratowany przez dwóch obrońców z Grove City. Gdy piłka zawirowała leniwie na ziemi o krok dalej, Nat zebrał się jakoś, wstał, podniósł ją i zaczął biec. Obrońcy zgłu-pieli i skonfundowani ruszyli w pościg, tymczasem on zdążył już kopnąć piłkę po raz drugi i po raz drugi chybić. Ku osłupieniu graczy i widzów, podniósł ją w biegu i popędził dalej. Pościg trwał. Widok tej ociężałej i śmiertelnie przerażonej gazeli galopującej niezdarnie po boisku sparaliżował zawodników obu drużyn. Silos Mooney wyznał potem, że śmiał się tak bardzo, że nie był w stanie nikogo przyblokować. Przysięgał, że śmiech dochodził również spod hełmów graczy z Grove City.

Na podstawie filmu trenerzy wyliczyli, że zawodnicy przeciwnika próbowali zatrzymać go dziesięć razy i dziesięć razy zawalili. Dotarłszy wreszcie na drugi koniec boiska, Nat przyłożył piłkę i mając gdzieś karę, zerwał z głowy hełm i podbiegł do trybun gospodarzy, żeby mogli podziwiać go z bliska.

Rake przyznał mu nagrodę za najbrzydsze przyłożenie roku.

W dziesiątej klasie Nat próbował grać na pozycji safety, ale słabo biegał i nie lubił się bić. W

jedenastej przeszedł na pozycję skrzydłowego, ale Neely przyłożył mu w dołek i Nat przez pięć minut nie mógł oddychać. Niewielu graczy Rake'a tak bardzo dotknęło przekleństwo beztalencia.

Żaden z jego graczy nie wyglądał gorzej w stroju futbolisty.

Okno wystawowe było zavalone książkami i paczkami kawy. Zaskrzypiały drzwi, zagrzechotał

dzwonek i przez chwilę Neely miał wrażenie, że cofnął się w czasie. Potem doszedł go zapach kadzidełek i już wiedział, że to naprawdę sklep Nata. Spomiędzy dwóch półek wyszedł sam właściciel, dźwigając stertę książek.

- Dzień dobry - rzucił z uśmiechem. - Szuka pan czegoś? Nagle zamarł i książki wypadły mu z rąk.

* Pierwsza próba, dziesięć jardów: oznacza to, że drużyna atakująca za chwilę wznowi grę swoją pierwszą próbą zdobycia dziesięciu jardów boiska. Załóżmy, że po pierwszej próbie atakowi udało się podprowadzić piłkę sześć jardów bliżej strefy przyłożeń przeciwnika. Wtedy dojdzie do drugiej próby zdobycia dziesięć jardów, ale zawodnicy będą mieli do pokonania tylko cztery jardy (sześć jardów zdobyli w pierwszej próbie). Pamiętajmy jednak, że drużyna broniąca też nie próżnuje i po drugiej próbie drużyna atakująca może stanąć przed próbą trzecią mając do zdobycia, na przykład, czternaście jardów. Oznacza to, że udana akcja obrońców w drugiej próbie pozwoliła im przesunąć

linię wznowienia gry o dziesięć jardów, skutkiem czego w trzecim wznowieniu atak ma do pokonania aż czternaście jardów. Jeżeli po trzech próbach ofensywie nie uda się zdobyć dziesięciu jardów wyznaczonych do zdobycia przed pierwszą próbą, a odległość od linii wznowienia do bramki jest za duża na wykonanie celnego kopnięcia (field goal), do wykonania ostatniej, czwartej, próby na boisko wchodzi special team i punter wykopuje piłkę, żeby przenieść akcję gry jak najdalej od swojej strefy przyłożeń. Wykop puntera odbiera zawodnik special teamu drużyny odbierającej (punt-retur *ner*), który może (podobnie jak kick-returner) podjąć bieg w celu wypracowania lepszej pozycji wyjściowej dla ataku, lub też przed złapaniem piłki może zasygnalizować sędziemu ręką tzw. fair catch, czyli rezygnację z biegu. W takim wypadku atak drużyny odbierającej punt wznowi grę z miejsca w którym punt-returner złapał piłkę.

Niekiedy (przeważnie pod koniec meczu) zdarza się, że drużyna atakująca usiłuje w ostatniej próbie zdobyć brakujące jardy bez wykopywania piłki, ryzykując - w razie niepowodzenia - oddanie piłki rywalom w miejscu rozpoczęcia czwartej próby, co będzie dla nich znakomitą pozycją wyjściową do przeprowadzenia kontrataku.

- Neely Crenshaw! - Rzucił się ku niemu z taką samą niezdarnością, z jaką kiedyś wykopywał

piłkę, objął go jak niedźwiedź i dał mu mocnego kuksańca w ramię. - Tak się cieszę! - wykrzyknął i przez chwilę miał wilgotne oczy.

- Ja też, Nat - odrzekł lekko zażenowany Neely. Na szczęście nikogo nie było w sklepie.

Nat cofnął się o krok.

- Patrzysz na moje kolczyki, co?

- Fakt. Piękna kolekcja. - W każdym uchu tkwiło ich co najmniej pięć. Srebrnych.

- Pierwsze męskie kolczyki w Messynie. Co ty na to? I pierwszy męski kucyk. I pierwszy gej, który otwarcie przyznał się do gejostwa. Nie jesteś ze mnie dumny? - Nat potrząsnął głową, żeby zademonstrować mu kucyk.

- Bardzo. Świetnie wyglądasz.

Nat otaksował go spojrzeniem od stóp do głowy. Oczy błyszczały mu tak bardzo, jakby wypił już dziesięć kaw.

- Jak twoje kolano? - spytał, rozglądając się ukradkiem, jakby kontuzja Neely'ego była tajemnicą.

- Do niczego. To już nie kolano.

- Sfaulował cię, sukinsyn. Widziałem to na własne oczy. - Nat uważał się za eksperta, bo stał wtedy tuż za linią boczną.

- To było dawno, wieki temu.

- Napijesz się kawy? Mam gwatemalską. Daje takiego kopa, że hej.

Meandrując między półkami, przeszli na tył sklepu, gdzie jak spod ziemi wyrosło przed nimi coś w rodzaju urzędzonej naprędcy kawiarenki. Nat prawie wbiegł za zawaloną szparą ładę i zaczął pobrzękiwać naczyniami. Neely obserwował go z wysokiego stołka. Nat ruszał się z wdziękiem niedźwiedzia.

- Podobno dają mu niecałe dwadzieścia cztery godziny -rzucił, podnosząc dzbanuszek.

- W tym mieście plotki zawsze były wiarygodne, zwłaszcza te na temat Rake'a.

- Nie, nie, wiem to od kogoś, kto tam był. - Największe wyzwanie w Messinie nie polegało na tym, żeby być na bieżąco ze wszystkimi plotkami, tylko na tym, żeby mieć najlepszego informatora. -

Chcesz cygaro? Kubańskie, z przemytu. Też daje kopa.

- Nie, dzięki. Nie palę.

Nat nalewał wodę do wielkiego włoskiego ekspresu.

- Czym się teraz zajmujesz? - spytał przez ramię.

- Handluję nieruchomościami.

- Rany. Oryginalne.

- Daje się z tego wyżyć. Masz ekstra sklep. Curry mówi, że świetnie ci idzie. Próbuję tchnąć w tę pustynię trochę kultury. Paul pożyczył mi trzydzieści tysięcy dolarów na rozruch, dasz wiarę?

Miałem tylko pomysł i osiem stów, no i zyranta, moją mamę.

- Co u niej?

- Wszystko dobrze, dzięki. Nie chce się zestarzeć. Ciągłe uczy trzecioklasistów.

Gdy w ekspresie porządnie zabulgotało, Nat oparł się o ścianę przy małym zlewie i pogłaskał sumiastego wąsa.

- Rake umiera. Niesamowite, co? Messina bez Rake'a. Zaczynał czterdzieści cztery lata temu.

Połowy mieszkańców hrabstwa nie było jeszcze na świecie.

- Widywałeś go?

- Często tu bywał, ale kiedy zachorował, zamknął się w domu, żeby umrzeć. Od pół roku nikt go nie widział.

Neely rozejrzał się wokoło.

- Przychodził tu?

- Był moim pierwszym klientem. To on zachęcał mnie do otwarcia sklepu. Gadał, namawiał, wiesz: nie bój się, Nat, pracuj więcej niż inni, nie poddawaj się. Jak w przerwie po pierwszej połowie meczu. Kiedy wreszcie otworzyłem interes, przychodził ukradkiem na poranną kawę.

Pewnie uznał, że jest bezpieczny, bo tłumów tu nie było. Ludzie myśleli, że jak przyjdą, to od razu złapią AIDS.

- Kiedy zacząłeś?

- Siedem i pół roku temu. Przez pierwsze dwa lata nie starczało mi szmalu na rachunki za światło, ale potem jakoś się rozkręciło. Poszła plotka, że to ulubiony sklep Rake'a, i ludzie się zainteresowali.

- Chyba już gotowa. - Neely wskazał ekspres. - Nigdy nie widziałem, żeby Rake czytał książkę.

Nat rozlał kawę do dwóch maleńkich filiżanek na spodeczkach i postawił je na ladzie.

- Ładnie pachnie - powiedział Neely. - Siekiera.

- Powinni ją wydawać na receptę. Rake poprosił mnie któregoś dnia, żebym polecił mu coś do czytania. Dałem mu Raymonda Chandlera. Wrócił następnego dnia i poprosił o kolejnego. Uwielbiał

Chandlera. Potem dałem mu Dashiella Hammetta. Jeszcze potem zwariował na punkcie Elmore'a Leonarda. Otwieram o ósmej rano, a tylko kilka księgarni otwiera tak wcześnie, więc dwa razy w tygodniu przychodził tu, siadaliśmy w kącie i gadaliśmy o książkach. Ani o futbolu, ani o polityce, ani o niczym innym. Tylko o książkach. Uwielbiał powieści detektywistyczne. Kiedy dzwonił

dzwonek u drzwi, wymykał się tylnym wyjściem i uciekał do domu.

- Dlaczego?

Nat wypił długi łyk kawy i mała filiżanka utonęła w jego bujnych, krzaczastych wąsach.

- Mało o tym rozmawialiśmy. Wstydził się, że tak go wyrzucili. Był bardzo dumny i zawsze nas uczył, że duma jest ważna. Ale czuł się też odpowiedzialny za śmierć Scotty'ego. Wielu ludzi go za to obwinia i zawsze będzie obwiniać. To bardzo wielki ciężar. Smakuje?

- Strasznie mocna. Brakuje ci go? Kolejny niespieszny łyk gorącej gwatemalki.

- Jak może mi go nie brakować, skoro kiedyś u niego grałem? Codziennie widzę jego twarz. Słyszę jego głos. Czuję zapach jego potu. Czuję, jak wali mnie pięścią w ramię, gdy jestem bez naramienników. Potrafię naśladować jego powarkiwanie, jego zrządzenie, psioczenie. Pamiętam jego

opowieści, przemowy, jego wskazówki. Pamiętam wszystkie czterdzieści meczów, w których grałem w zielonej koszulce. Mój ojciec zmarł cztery lata temu. Bardzo go kochałem i trudno mi o tym mówić, ale miał na mnie mniejszy wpływ niż Eddie Rake... - Przerwał w połowie myśli, żeby dolać im kawy. - Później, kiedy już miałem ten sklep i poznałem go nie jako legendę, tylko jako zwykłego człowieka, kiedy nie bałem się już, że mnie zwrzeszczy, zacząłem podziwiać tego starego pierdołę. Eddie nie jest miły, ale bardzo ludzki. Strasznie cierpiał po śmierci Scotty'ego i nie miał się do kogo zwrócić. Dużo się modlił, codziennie chodził do kościoła. Myślę, że książki mu pomagały, że to był taki nowy świat. Potrafił się w nich zagubić, a przeczytał setki, może nawet tysiące powieści. - Szybki łyk kawy. - Brakuje mi go. Wciąż widzę, jak tam siedzi, jak rozmawiamy o książkach i pisarzach, żeby nie musiał gadać o futbolu.

Cicho zadzwonił dzwonek u drzwi. Nat wzruszył ramionami.

- Znajdą nas - powiedział. - Chcesz bułeczkę albo coś?

- Nie, jadłem u Renfrowa. Nic się tam nie zmieniło. Ta sama smaženina, ten sam jadłospis, te same muchy.

- I te same dupki, które siedzą i psioczą, że drużyna znowu przegrała.

- Tak... Chodzisz na mecze?

- A gdzie tam. Kiedy jesteś jedynym facetem w mieście, który otwarcie przyznaje się do gejostwa, tłum cię raczej nie kusi. Ludzie gapią się, szepczą, przerażeni tulą dzieci i chociaż zdążyłem już do tego przywyknąć, wolę unikać takich scen. Poszedłbym sam, ale co to za frajda, a gdybym zabrał przyjaciela, tamci przestaliby z wrażenia grać. Wyobrażasz sobie, jak wchodzę na trybuny, trzymając się za rękę z jakimś ładniutkim chłopcem? Ukamienowaliby nas.

- I ujawniłeś się tutaj? W tym mieście? Tak powoli, po cichu czy jak?

Nat odstawił filiżankę i schował ręce głęboko do kieszeni wyprasowanych, sztywnych od krochmalu dżinsów.

-

Nie, nie tutaj. Kiedy zrobiliśmy maturę, wyjechałem do Waszyngtonu, gdzie bardzo szybko przekonałem się, kim jestem. Po cichu? Nie, brachu, wprost przeciwnie. Wy wrzeszczałem to wszem wobec. Dostałem pracę w księgarni i nauczyłem się fachu. Przez pięć lat żyłem na całego, hulałem i szalałem, ale miasto mnie w końcu zmęczyło. Szczerze mówiąc, zatęskniłem za domem.

Tata zaczął chorować i postanowiłem wrócić.

Długo rozmawiałem z Rakiem. Wyznałem mu prawdę. Eddie był pierwszym mieszkańcem Messyny, któremu się zwierzyłem.

- Jak zareagował?

- Powiedział, że nie zna się na gejach, ale jeśli wiem, kim jestem, to do diabła z ludźmi. Mówił:

„Żyj po swojemu, synu. Niektórzy będą cię nienawidzić, inni kochać, większość nie będzie miała zdania. Wszystko zależy od ciebie”.

- Cały Rake.

- Dodał mi odwagi. Namówił mnie do otwarcia sklepu, a kiedy już byłem pewien, że zrobiłem głupi błąd, zaczął tu przychodzić i wieść się rozeszła. Chwilkę, nie odchodź. - Nat pobiegł na przód sklepu, gdzie czekała starsza pani. Zagadał do niej po imieniu głosem słodszy od najśodszych i już niebawem pochłonęły ich poszukiwania książki.

Neely wszedł za ladę i dolał sobie kawy. Nat wkrótce wrócił.

- To była pani Underwood. Kiedyś miała pralnię.

- Tak, pamiętam.

- Ma sto dziesięć lat i przepada za erotycznymi westernami. Nieźle, co? Jak prowadzisz księgarnię, dowiadujesz się ciekawych rzeczy. Pomyślała na pewno, że może tu przychodzić, bo ja też mam swoje sekrety. Poza tym stuknęło jej sto dziesięć lat i pewnie ma to wszystko gdzieś.

Położył na talerz wielką jagodziankę i postawił talerz na ladzie.

- Spróbuj - powiedział, rozłamując ją na pół. Neely wziął mały kawałek.

- Sam pieczesz?

- Co rano. Kupuję zamrożone i wkładam do duchówki. Jak dotąd nikt się nie kapnął.

- Nieźła. Widujesz czasem Cameron?

Nat przestał jeść i spojrzał na niego podejrzliwie.

- Dlaczego o to pytasz?

- Byliście przyjaciółmi. Po prostu pytam.

- Mam nadzieję, że wciąż gryzie cię sumienie.

- Gryzie.

- To dobrze. I mam nadzieję, że boleśnie.

- Może. Czasami.

- Pisujemy do siebie. Ma się dobrze, mieszka w Chicago. Wyszła za mąż, ma dwie córeczki. No więc? Czemu pytasz?

- Nie można już spytać o szkolną koleżankę?
 - Maturę robiło nas prawie dwustu. Dlaczego zacząłeś akurat od niej?
 - Przepraszam. Wybacz.
 - Nie, nie, chcę wiedzieć. Dlaczego spytałeś o Cameron? Neely włożył do ust kilka okruszków bułki. Długo nie odpowiadał. Wreszcie uśmiechnął się i wzruszył ramionami.
 - No dobra. Myślę o niej.
 - Myślisz o Cameron?
 - Jak mógłbym o niej zapomnieć?
 - Rzuciłeś ją dla tej durnej cipki. Szybka nagroda, ale na dłuższą metę kiepski wybór, co?
 - Zgoda, byłem młody i głupi. Ale nieźle się bawiłem.
 - Byłeś najlepszy w Stanach, mogłeś mieć każdą dziewczynę w szkole. Rzuciłeś Cameron, bo Krzykula miała na ciebie chłopcę. Znienawidziłem cię za to.
 - Co ty? Poważnie?
 - Za twoją bezczelność. Cameron była moją przyjaciółką, zanim tu jeszcze przyjechałeś, bo znaliśmy się aż z przedszkola. Wiedziała, że jestem inny, i zawsze mnie chroniła. Ja próbowałem chronić ją, ale zakochała się w tobie i to był olbrzymi błąd. Krzykula postanowiła, że jej chłopakiem będzie najlepszy futbolista w Stanach. Spódniczki robiły się coraz krótsze, bluzki coraz obciśniejsze, no i wpadłeś. Moja ukochana Cameron poszła na bok.
 - Przepraszam, że w ogóle to wyciągnąłem.
 - Tak, lepiej pogadajmy o czymś innym. Przez długą chwilę nie mieli o czym.
 - Zaczekaj tylko, aż ją zobaczysz - powiedział w końcu Nat.
 - Ładna jest?
 - Krzykula wygląda jak podstarzała dziwka na telefon i pewnie nie tylko wygląda. A Cameron to kobieta z klasą.
 - Myślisz, że przyjedzie?
 - Pewnie tak. Miss Lila przez wiele lat uczyła ją gry na fortepianie.
- Neely nie miał dokąd iść, mimo to spojrzał na zegarek.
- Muszę uciekać. Dzięki za kawę.

- Dzięki, że wpadłeś. Zrobiłeś mi wielką frajdę. Zygzakując między półkami, doszli do drzwi. Tam Neely przystanął.

- Słuchaj - powiedział. - Paru chłopaków przychodzi dzisiaj na stadion. Na coś w rodzaju czuwania.

Wiesz, piwo i wojenne opowieści. Wpadniesz?

- Chętnie. Dzięki.

Neely otworzył drzwi, ale Nat chwycił go za rękę.

- Zaczekaj. Kłamałem. To nieprawda, że cię nienawidziłem.

- A powinieneś.

- Nikt cię nie nienawidził. Byłeś naszym mistrzem.

- Tamte czasy już się skończyły, Nat.

- Jeszcze nie. Rake wciąż żyje.

- Powiedz Cameron, że chciałbym się z nią zobaczyć. I coś jej powiedzieć.

Sekretarka uśmiechnęła się z wprawą i przesunęła po ladzie deskę z klipsem. Neely wpisał na listę swoje nazwisko, datę i godzinę przybycia. Jako cel wizyty podał odwiedzinę dawnego trenera szkolnych koszykarek, Binga Albrittona. Sekretarka popatrzyła na listę i nie rozpoznawszy ani jego nazwiska, ani twarzy, powiedziała:

- Pewnie jest w sali. Druga sekretarka zerknęła na niego znad papierów i też go nie poznała.

Tym lepiej.

W korytarzach ogólniaka panowała cisza, wszystkie drzwi były pozamykane. Te same szafki. Ten sam kolor farby. Ta sama podłoga utwardzona warstwami błyszczącego wosku. Ten sam lepki zapach środków dezynfekujących w pobliżu toalet. Nelly wiedział, że gdyby tam wszedł, usłyszałby to samo kapanie wody, poczuł ten sam zapach dymu z zakazanego papierosa, zobaczył rzędy zbrązowiałych pisuarów, może nawet byłby świadkiem bijatyki między dwoma smarkaczami.

Mijając pracownię matematyczną panny Arnetty, zajrzał ukradkiem przez wąskie okienko w drzwiach i dostrzegł swoją byłą nauczycielkę, oczywiście teraz o piętnaście lat starszą: siedziała w rogu przy tym samym biurku i uczyła tych samych wzorów.

Naprawdę upłynęło aż piętnaście lat? Nie wiedzieć czemu, przez chwilę czuł się znowu jak osiemnastolatek, jak młody szczeniak, który nie znosi algebry i angielskiego, i ma w nosie te wszystkie mądre nauki, bo i tak zamierza zrobić karierę na futbolowym boisku. Gwałtowny upływ czasu, ta lawina lat przyprawiła go na sekundę o zawrót głowy.

Mijał go woźny, stareńki jegomość, który sprzątał tu, odkąd zbudowano szkołę. Zdawało się, że go rozpoznaje, ale wrażenie trwało tylko ułamek sekundy. Woźny uciekł wzrokiem w bok i cicho mruknął:

- Dzień dobry.

Główny korytarz przechodził w wielkie, nowoczesne atrium, które zbudowano, gdy Neely był w drugiej klasie. Atrium łączyło dwa składające się na szkołę starsze budynki i prowadziło do gimnazjum. Ściany były obwieszane zdjęciami absolwentów; te najwcześniejsze pochodziły jeszcze z lat dwudziestych.

Koszykówka szła w Messinie daleko po futbolu, ale ponieważ Spartanie przyzwyczaili mieszkańców do ciągłych triumfów, ci ostatni oczekiwali od każdej drużyny dynastycznej wprost i zwycięskiej ciągłości. Pod koniec lat siedemdziesiątych Rake oświadczył, że szkoła musi mieć nową salę gimnastyczną. Sprawa przeszła w radzie miejskiej dziewięćdziesięcioma procentami głosów i Messina z dumą zbudowała najpiękniejszą halę do koszykówki w stanie. Jej główny hol nie był niczym innym jak panteonem futbolowych sław.

Pośrodku stała masywna i bardzo kosztowna gablota, w której Rake starannie rozmieścił trzynaście małych pomników: trzynaście tytułów mistrza stanu z lat 1961-1987. Za każdym pomniczkiem stało wielkie zdjęcie drużyny z listą wyników oraz kolażem z powiększonych nagłówek gazet. Były tam również podpisane piłki futbolowe, koszulki najsłynniejszych zawodników, łącznie z koszulką numer dziewiętnaście. I mnóstwo zdjęć Rake'a: Rake z Johnym Unitasem na jakiejś posezonowej imprezie, Rake z gubernatorem tu, Rake z gubernatorem tam, Rake z Romanem Armsteadem tuż po meczu z Packersami.

Neely oglądał te eksponaty przez dobre kilka minut, chociaż widział je wiele razy. Były wspaniałym hołdem wspaniałemu trenerowi oraz jego wiernym graczom i zarazem smutnym przypomnieniem tego, co już minęło. Kiedyś słyszał, jak ktoś mówi, że hol sali gimnastycznej jest sercem i duszą Messiny. Był raczej świątynią Eddiego Rake'a, ołtarzem, na którym kibice mogli go czcić.

Pozostałe gabloty wisiały na ścianach w korytarzu prowadzącym do sali. Znowu podpisane piłki futbolowe, te z mniej udanych lat. Mniej ważne trofea mniej słynnych drużyn. Po raz pierwszy i -

taką przynajmniej miał nadzieję - po raz ostatni zrobiło mu się żal chłopców, którzy trenowali, odnosili sukcesy i przeminęli niezauważenie tylko dlatego, że uprawiali gorszy sport.

W Messinie zawsze królował futbol i tak już miało pozostać. Przynosił chwałę, przynosił pieniądze.

I tyle.

Słyszając przeraźliwy dźwięk jakże znajomego dzwonka, poczuł się jak intruz, który trafił tu piętnaście lat za późno. Zawrócił do atrium tylko po to, żeby pochłonął go rozedrgany, niepohamowany tłum.

Korytarze wypełniły się uczniami, którzy przepychali się, wrzeszczeli i trzaskali drzwiczkami szafek, dając upust tłumionym przez pięćdziesiąt minut hormonom i testosteronowi. Nikt go nie rozpoznał.

Omiał nie wpadł na niego rosły osiłek o grubej szyi. Miał na sobie zielono-białą kurtkę Spartan, symbol najwyższego w Messinie statusu. Szedł tak, jakby cały korytarz należał wyłącznie do niego, i rzeczywiście tak było, nieważne, że tylko na krótko. Wzbudzał respekt. Oczekiwał, że wszyscy będą go podziwiać. Uśmiechały się do niego dziewczyny. Chłopcy schodzili mu z drogi.

Przyjdź tu za piętnaście lat, ważniaku, i nikt nie przypomni sobie, jak się nazywałeś, pomyślał Neely.

Twoja wspaniała kariera skarleje do krótkiej wzmianki w szkolnej kronice. Te wszystkie ładniutkie dziewczyny będą już matkami. Zielona koszulka wciąż będzie źródłem wielkiej dumy, ale już jej nie włożysz. To tylko szkolna zabawa. Szczeniackie wygłupy.

Więc dlaczego było to takie ważne? Wtedy, przed laty.

Nagle poczuł się jak starzec. Przebił się przez tłum i wyszedł ze szkoły.

Późnym popołudniem jechał powoli wąską zwirowką opasującą Karr's Hill. Gdy droga zrobiła się szersza, skręcił na pobocze i zaparkował. Poniżej, dwieście metrów dalej, była szatnia Spartan, a jeszcze dalej, po prawej stronie, dwa boiska. Na jednym trenowała reprezentacja seniorów, na drugim juniorów. Trenerzy wrzeszczeli i gwizdali.

Po nieskazitelnej murawie boiska na stadionie Rake'a jechał powoli Królik zielono-żółtą kosiarką; jeździł tak codziennie, od marca do grudnia. Na bieżni za ławką dla zawodników rezerwowych Spartan pomponetki malowały znaki wojenne na piątkową bitwę i od czasu do czasu ćwiczyły nowe układy taneczne. Za strefą przyłożeń gości zbierała się orkiestra na szybką próbę.

Niewiele się tu zmieniło. Inni trenerzy, inni gracze, inne cheerleaderki, inny skład orkiestry, mimo to wciąż byli to Spartanie na stadionie Rake'a, mimo to wciąż był to ten sam Królik na kosiarce, ta sama nerwowość przed piątkowym meczem. Wiedział, że gdyby przyjechał tu za dziesięć lat, stadion i ludzie wyglądałoby dokładnie tak samo.

Kolejny rok, kolejna drużyna, kolejny sezon.

Trudno było uwierzyć, że Rake'a zdegradowano do tego stopnia, iż musiał siedzieć na tym wzgórzu i oglądać mecze z tak dużej odległości, że bez radia nie zrozumiałby, co się dzieje. Kibicował

Spartanom? Czy w głębi serca życzył im, żeby przegrywali mecz za meczem, ot tak, na przekór wszystkiemu? Potrafił być mściwy i nosić urazę przez wiele lat.

Neely nie przegrał tu ani razu. Reprezentacja pierwszych klas nie doznała ani jednej porażki, czego oczywiście w Messinie oczekiwano. Pierwszaki grały w czwartek wieczorem i przyciągały na stadion więcej kibiców niż drużyna seniorów. Jedyne dwa mecze, które wtedy przegrali - obydwie w finałach mistrzostw stanu - rozegrano na stadionie A&M. W ósmej klasie zremisowali z Porterville.

Tu, na stadionie Rake'a, drużyna Neely'ego nigdy nie wypadła gorzej.

Po remisie do szatni wpadł Rake i wygłosił im surowy wykład na temat znaczenia dumy Spartan.

Sterroryzowawszy grupę trzynastolatków, zmienił im trenera.

Wspomnienia nieustannie powracały. Nie mając na nie ochoty, Neely odjechał.

Posłaniec, który przywiózł do domu Rake'a kosz owoców, słyszał, o czym tam poszeptywano, i już wkrótce całe miasto wiedziało, że Coach odpłynął tak daleko, iż na powrót nie było szans.

O zmierzchu plotka dotarła na trybuny, gdzie na czuwaniu zebrały się grupki zawodników z różnych drużyn i lat. Kilku siedziało samotnie, oddając się wspomnieniom o Rake'u i dawno minionej chwale.

Przyszedł Paul Curry w dzinsach i bluzie; przyniósł pizzę, którą zrobiła Mona, żeby chłopcy mogli przez tę noc być dawnymi chłopcami. Silos Mooney przydzwigał turystyczną lodówkę pełną piwa.

Hubcapa nie było, czemu nikt się nie dziwił. Byli za to bliźniacy Utleyowie, Ronnie i Donnie.

Mieszkali daleko za miastem i dowiedzieli się jakoś o przyjeździe Neely'ego. Przed piętnastu laty byli identycznymi, siedemdziesięciotrzykilowymi linebackerami i mogli powalić na ziemię rosły dąb.

Gdy zapadła ciemność, Królik podszedł do tablicy wyników i zapalił reflektory w południowo-zachodniej części stadionu. Rake wciąż żył, choć ledwo. Na murawę padły długie cienie. Zawodnicy czekali. Biegacze odeszli i na stadionie zaległa stężala cisza. Od czasu do czasu, gdy ktoś opowiadał

kolejną historyjkę z zamierzchłej przeszłości, przerywał ją gromki wybuch śmiechu dobiegający z grupiek rozrzuconych na trybunach dla kibiców gospodarzy. Ale nie licząc tego, rozmawiano po cichu. Rake był nieprzytomny, zbliżał się koniec.

Znalazł ich Nat Sawyer. Przyszedł z dużą walizką.

- Masz tam prochy? - spytał Silos.

- Nie. Kubańskie cygara.

Silos zapalił pierwszy, potem Nat i Paul, wreszcie Neely. Bliźniacy nie palili ani nie pili.

- Nie zgadniecie, co znalazłem - powiedział Nat.

- Dziewczyne? - rzucił Silos.

- Zamknij się. - Nat otworzył walizeczkę i wyjął magnetofon kasetowy z dużym głośnikiem.

- Super - mruknął Silos. - Właśnie miałem ochotę na jazz. Nat pokazał im kasetę i oznajmił:

- Sprawozdanie radiowe Bucka Coffeya. Mecz o mistrzostwo stanu. Rok osiemdziesiąty siódmy.

- Nie wierzę - powiedział Paul.

- Zaraz uwierzysz. Słuchałem tego wczoraj wieczorem, pierwszy raz od piętnastu lat.

- Nie wiedziałem, że to nagrywają-przyznał Silos.

- Ty w ogóle mało wiesz - odparował Nat. Włożył kasetę do magnetofonu i zaczął majstrować przy przyciskach. – Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pominiemy pierwszą połowę.

Roześmiał się nawet Neely. W pierwszej połowie miał tylko cztery celne podania i schrzanił jedną piłkę. Spartanie przegrywali trzydzieści jeden do zera z nieprawdopodobnie utalentowaną drużyną z East Pike.

Ruszyła taśma i zalegającą na trybunach ciszę zburzył powolny, chrapliwy głos Bucka Coffeya.

Mówi Buck Coffey ze stadionu na kampusie A&M. Jesteśmy po pierwszej połowie widowiska, które miało być równym, zażartym meczem między dwiema niepokonanymi drużynami. Miało, ale nie było. East Pike prowadzi we wszystkich kategoriach, z wyjątkiem liczby kar i niespodziewanych strat piłki. Jest trzydzieści jeden do zera. Relacjonuję mecze Spartan od dwudziestu dwóch lat, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek przegrywali tak wysoko.

- Gdzie on teraz jest?-spytał Neely.

- Buck? Odszedł, kiedy wyrzucili Rake'a - odrzekł Paul. Nat przesunął potencjometr i głos Bucka poniósł się jeszcze

dalej. Podziałał jak magnes na zawodników z innych lat. Podeszedł do nich Randy Jaeger z dwoma kolegami z dziewięćdziesiątego drugiego. Podeszli do nich adwokat John Couch i okulista Blanchard Teague. Znowu byli w sportowych butach i przyprowadzili ze sobą czterech kumpli ze złotej serii. Za nimi podeszło kilkunastu innych.

Drużyny są już na boisku, ale najpierw kilka słów od naszych sponsorów...

- Wyciąłem to gówno - powiedział Nat.

- Świetnie - powiedział Paul.

- Mądry chłopiec - dodał Silos.

Patrzę na linię boczną Messyny, ale nie widzę tam Coacha Rake'a. Ani Eddiego Rake'a, ani żadnego innego trenera. Za chwilę wykop, który rozpocznie drugą połowę meczu. Drużyny już się ustawiły, a trenerów Spartan jak nie ma, tak nie ma. To bardzo dziwne, nawet więcej niż d z i w n e . . .

- Gdzie oni byli? - spytał ktoś z tłumu. Silos tylko wzruszył ramionami.

Pytanie to zadawano w Messynie od piętnastu lat i przez piętnaście lat nikt nie potrafił na nie odpowiedzieć. Było oczywiste, że trenerzy zbojkotowali drugą połowę meczu, ale dlaczego?

East Pike wykopuje piłkę w kierunku pola punktowego Spartan. Wykop jest krótki. Returner Marcus Mabry przechwytuje ją na osiemnastym jardzie. Ma trochę luzu, pędzi skosem i zostaje powalony na trzydziestym jardzie, skąd po raz pierwszy w tym meczu Spartanie spróbują przeprowadzić zorganizowany atak*. W pierwszej połowie Neely Crenshaw miał

piętnaście podań, z których zaliczył ledwie trzy. Zawodnicy East Pike przechwycili ich więcej niż Spartanie.

- Dupek - burknął ktoś z tłumu.

- Myślałem, że był po naszej stronie.

- Bo był, ale lubił nas bardziej, kiedy wygrywaliśmy.

- Czekaście - powiedział Nat.

Wciąż ani śladu Eddiego Rake'a i pozostałych trenerów. To bardzo dziwne. Spartanie naradzają się w kupie i... Tak, Crenshaw już ustawia atak. Curry na wysuniętym prawym skrzydle, Mabry ubezpiecza go z tyłu. East Pike ustawiło ośmiu obrońców z przodu, prowokując rozgrywającego Spartan do dalekiego rzutu. Snap, wyjście w prawo. Crenshaw markuje podanie, biegnie skosem w lewo, dostrzega przejście, wpada w komin, odpycha

* Drużyna atakująca wznawia grę z ustalonej przez sędziego linii zakończenia poprzedniej akcji przez kick-returnera.

Zadaniem drużyny atakującej, dowodzonej przez quarterbacka, będzie teraz zdobycie przyłożenia lub zdobycie trzech punktów z celnego kopnięcia piłki do bramki (field goal) przez kopacza zwanego placekickerem. Formacja atakująca ma cztery próby na pokonanie z piłką odległości dziesięciu jardów. W momencie zdobycia dziesięciojardowego minimum (nieważne w której próbie) atak otrzymuje następne cztery próby na pokonanie kolejnych dziesięciu jardów i wznawia grę od pierwszej próby w miejscu zakończenia akcji. Jeżeli formacji atakującej nie uda się pokonać odległości dziesięciu jardów w czterech próbach, musi oddać piłkę drużynie broniącej.

wolną ręką, obraca się, uwalnia od tacklera i pędzi dalej. Czterdziesty jard. Czterdziesty piąty, pięćdziesiąty. Crenshaw wypada za linię boczną na czterdziestym pierwszym jardzie połowy drużyny East Pike*. Pięknie! Zaliczył dwadzieścia dziewięć jardów. To jak dotąd najlepsza akcja ofensywy Spartan. Może wreszcie ożyją.

- Jezu, ci to potrafili przypieprzyć - powiedział cicho Silos.

- Ściągnęli do siebie pięciu z Pierwszej Dywizji** - odrzekł Paul, wspominając koszmar pierwszej połowy meczu. - W tym czterech obrońców.

Nie musisz mi o tym przypominać - powiedział Neely.

Spartanie w końcu się ocknęli. Pokrzykują na siebie w kupie***, stojący przy bocznej linii rezerwowi nie wytrzymują napięcia. Wznowienie gry. Crenshaw wskazuje w lewo i Curry wychodzi na skrzydło. Mabry w szczelinie za Crenshawem, już biegnie. Snap. Szybkie podanie do Mabry'ego, który przedziera się na lewą flankę, zaliczając sześć, może nawet siedem jardów.

Spartanie są nabuzowani. Pokrzykują na siebie, poklepują się po hełmach. Silos Mooney znowu wyzywa graczy East Pike. To dobry znak.

- Co im mówiłeś, Silos?

- Że zaraz skopimy im dupę.

- Przegrywaliście ponad trzydziestoma punktami.

- To prawda - odrzekł Paul. - Słyszeliśmy, jak kłął. Po drugiej zagrywce zaczął bluzgać.

Druga próba, trzy jardy do zdobycia. Crenshaw na pozycji. Snap i szybkie podanie do Mabry'ego. Mabry mocno uderza, okręca się i pędzi przed siebie. Trzydziesty jard. Dwudziesty.

Tak jest! Wypada za linię boczną na szesnastym jardzie przeciwnika! Pięćdziesiąt cztery jardy w trzech zagraniach! Linia ofensywna Spartan znakomicie blokuje obrońców, dając Crenshawowi dużo czasu na podjęcie decyzji. Pierwsza próba; w pierwszej połowie mieli ich tylko pięć i zaliczyli jedynie czterdzieści sześć jardów z biegu. Grą dyryguje teraz Crenshaw, egzekwując swoje schematy zagrań, bo za linię boczną Spartan wciąż nie ma ani jednego trenera. W lewo z Currym na skrzydło i Mabrym w osłonie. Chenault biegnie w prawo. Zwód i nieoczekiwane podanie do Mabry'ego. Mabry atakowany przy linii bocznej, a l e . . . Uwalnia się! Tak jest, uwalnia się, potyka i upada na dziesiątce. Sekundnik zegara pędzi do przodu, dziesięć minut do końca trzeciej kwarty. Od przyłożenia dzieli Messinę ledwie dziesięć jardów, ale tysiąc kilometrów dzieli ją od zdobycia tytułu mistrza stanu.

Pierwsza próba. Crenshaw do tyłu, do Mabry'ego. Mabry ostro atakowany, ale uwalnia się, pędzi łukiem w prawo i... I nikogo tam nie ma! Tak jest, zdobędzie sześć punktów! Marcus Mabry wpada na strefę przyłożeń! Jest, proszę państwa! Jest pierwsze przyłożenie dla Spartan! Rozpoczyna się wielki powrót!

- Pamiętam, pomyślałem wtedy tak: Ładnie, ale nie ma mowy, nie damy rady z nimi wygrać - powiedział John Couch. - Byli za dobrzy.

Nat ściszył magnetofon.

* Gdy zawodnik posiadający piłkę dotyka dowolną częścią ciała lini bocznej boiska, wypada z pola gry. Sędzia przerywa akcję. Piłka zostaje ustawiona na środku linii wznowienia, wyznaczonej w miejscu, w którym zawodnik wypadł z pola gry.

** Zrzeszenie zespołów akademickich, z których najlepsi zawodnicy trafiają później do NFL.

*** Przed wznowieniem gry formacja atakująca często tworzy tzw. kupę. Zawodnicy ustawiają się w kręgu, pochylając tułów do przodu, a quarterback przekazuje im ustalony wcześniej kod zagrywki. Tego rodzaju ustawienie zmniejsza dobiegający z trybun hałas oraz redukuje szanse podsłuchania przez obronę rywali. Zdarza się, że drużyna planuje akcję bez tworzenia kupy, dając w ten sposób defensywie przeciwników mniej czasu na przygotowanie obrony.

- Spieprzyli odebranie wykopu, tak?

Donnie: - Tak. Hindus przechwycił kopaną do nich piłkę na piętnastym jardzie, gdzie kłębiliśmy się jak rój szerszeni. Złapał ją i wypuścił. Piłka odbijała się i odbijała, w końcu wyszła za linię na dwudziestce.

Ronnie: - Próbowali z prawej i nic, ani jednego jarda. Z lewej też nic. W trzeciej próbie, gdy do zdobycia mieli aż jedenaście jardów, ich quarterback odskoczył do tyłu, próbując dalekiego podania, ale Silos go dopadł i powalił.

Donnie: - Tak, na szóstce, i na nieszczęście wbił go w ziemię głową naprzód. Niesportowe zachowanie, piętnaście jardów kary, pierwsza próba dla East Pike.

Silos: - Sędziowie przesadzili.

Paul: - Przesadzili? Chciałeś skrócić mu kark.

Silos: - Nie, drogi bankierze, chciałem go zabić.

Ronnie: - Kompletnie nam odbiło. Silos ryczał jak ranny niedźwiedź. Hindus płakał, przysięgam, że płakał. Silos po każdym wznowieniu próbował blitzować w ich strefie, żeby tylko komuś przypieprzyć.

Donnie: - Powstrzymalibyśmy nawet Kowbojów z Dallas.

Blanchard: - Kto ustawiał obronę?

Silos: - Ja. Sprawa była prosta: dokładne krycie skrzydłowych, polowanie na bocznych, ośmiu w linii. Każdy ma być agresywny, każdy ma komuś przyłożyć, czysto, nieczysto, wszystko jedno. To już

nie była gra. To była wojna.

Donnie: - W trzeciej próbie mieli do zdobycia osiem jardów. Higgins, ten zadziorny skrzydłowy, ten co wylądował później w Clemson, poszedł skosem w górę. Podanie było wysokie. Hindus wyczuł je bezbłędnie, przyatakował i staranował faceta jak pociąg towarowy. Faul na skrzydłowym bez piłki.

Przesunięcie linii wznowienia i pierwsza próba dla East Pike.

Paul: - Jego hełm wyleciał na sześć metrów w górę.

Couch: - Siedzieliśmy w trzydziestym rzędzie i huknęło tak, jakby zderzyły się dwie ciężarówki.

Silos: - Cieszyliśmy się jak dzieci. O jednego mniej. Sędzia rzucił nam za to żółtą flagę.

Ronnie: - Dwie flagi, trzydzieści jardów kary, mieliśmy to gdzieś. Postanowiliśmy nie oddać im ani jednego punktu, wszystko jedno gdzie będzie piłka.

Blanchard: - Byliście aż tak pewni siebie?

Silos: - W drugiej połowie nie oddalibyśmy punktu żadnej drużynie. Kiedy w końcu znieśli Higginsa z boiska, piłka była na trzydzieście naszej połowy. Próbowali obejść nas łukiem i stracili sześć jardów.

Próbowali podawać do runningbacka i stracili cztery, a kiedy ich mały quarterback odskoczył do tyłu, żeby rzucić dalekie podanie, dosłownie ich zmiażdżyliśmy.

Nat: - Ale ich punter posłał piłkę na nasz trzeci jard.

Silos: - Tak, puntera mieli dobrego. No ale my mieliśmy ciebie.

Nat podkreślił głośność.

Spartanie mają do pokonania dziewięćdziesiąt siedem jardów, do końca trzeciej kwarty pozostało niecałe osiem minut. Wciąż ani śladu Eddiego Rake'a, ani śladu asystentów. Kiedy w posiadaniu piłki byli zawodnicy East Pike, obserwowałem Crenshawa. Przez cały czas trzymał prawą rękę w kubelku z lodem i ani na chwilę nie zdjął hełmu. Z ręki do ręki w lewo, do Mabry'ego, który nie może nic zdziałać. Za dużo obrońców stłoczonych z przodu. W tym meczu obydwie defensywy nie zostawiają nikogo w odwodzie, otwierając rozgrywającym drogę do egzekwowania podań do przodu.

Silos: - Ale nie z naszego trzeciego jarda, głupku. Paul: - Coffey zawsze chciał być trenerem.

Krótkie podanie na prawo. Mabry chwyta piłkę i pędzi skosem do linii bocznej. Ma trochę swobody. Biegnie, biegnie i wypada za linię boczną na dziesiątym jardzie.

Couch: - Tak z ciekawości. Pamiętasz, co zrobiłeś potem?

Neely: - Jasne. Graliśmy na prawe skrzydło. Zamarkowałem podanie do Chenaulta, zamarkowałem krótki pitch do Hubcapa i pobiegłem skosem w lewo. Zaliczyłem jedenaście jardów, bo nasza linia ofensywna rozrywała tamtych na strzępy.

Spartanie w kupie. Pierwsza próba na dziesięć jardów. Zawodnicy biegną na linię wznowienia. To zupełnie inna drużyna.

Paul: -Nie wiem, po co on to komentował. Nikt go nie słuchał. Całe miasto było na stadionie.

Randy: - Nieprawda. W drugiej połowie wszyscy go słuchali. Chcieliśmy się dowiedzieć, gdzie przepadł Rake, kibice też, dlatego siedzieli z radiem przy uchu.

Chenault odbiera wręczoną przez quarterbacka piłkę i przebija się na wprost, zdobywając trzy, cztery jardy. Opuścił głowę i pędzi za Mooneyem, którego blokuje dwóch obrońców East Pike.

Silos: - Tylko dwóch! Byłem urażony. Ten drugi to taki mały, krępy sukinsyn o paskudnej gębie. Ważył

ponad osiemdziesiąt kilo, więc uznałem, że jest groźny. Wszedł na boisko, bluzgając na prawo i lewo.

Ale zaraz zejdzie.

Krótkie podanie do Mabry'ego, który ma wolną prawą stronę. Biegnie szerokim łukiem, wpada na trzydziesty jard i przekracza linię boczną. Któryś z chłopców East Pike obrywa od Mooneya...

Silos: - To on.

Blanchard: - Co mu zrobiłeś?

Silos: - Grali prawym skrzydłem, daleko od nas. Przyblokowałem go, powaliłem i wbiłem mu kolano w brzuch. Kwiczał jak prosię. Wytrzymał trzy wznowienia i już nie wrócił.

Paul: - W tym meczu sędziowie mogli karać nas za zbyt ostrą grę prawie w każdej zagrywce, i w ataku, i w obronie.

Neely: -Tamci znoszą faceta z boiska, a Chenault mówi mi, że ich lewy tackler* ma kłopoty z nogą.

Coś mu się stało, pewnie ją sobie skrzył w kostce. Widać, że go boli, ale za nic nie chce zejść. No więc tratujemy go pięć razy z rzędu taką samą zagrywką i za każdym razem zdobywamy sześć, siedem jardów. Marcus przywarował i tylko się rozgląda, komu by tu przyłożyć. Ja rozdaję piłkę za piłką i patrzę, jak nasi mordują tamtych. To była rzeź.

Silos: - Daj głośniej, Nat.

Pierwsza próba i dziesięć jardów do zdobycia. Trzydziesty ósmy jard połowy East Pike. Spartanie są w posiadaniu piłki, ale tracą bardzo dużo czasu na grę biegową. W

drugiej połowie nie mieli ani jednego podania do przodu. Sześć minut do końca.

Curry w lewo. Snap. Piłka na prawo, podanie do Mabry'ego, który pędzi przy bocznej linii! Jest już na dwudziestcepiątce! Na osiemnastce! Spartanie pukają do drzwi strefy przyłożeń przeciwnika!

Neely: - Po każdej zagrywce Mabry wpadał do kupy i wrzeszczał: „Podajcie mi, podajcie mi!” No to mu podawaliśmy.

* Gracz przechwytyjący piłkę przeciwnika. W rezultacie udanego tackle (przechwycenia) zawodnik ataku będący w posiadaniu piłki dotyka murawy jakakolwiek częścią ciała, z wyjątkiem rąk. W futbolu zawodowym NFL zawodnik z piłką może przypadkowo poślizgnąć się, upaść, wstać i kontynuować akcję, pod warunkiem że nie zostanie dotknięty przez obrońcę w chwili, gdy leży na murawie. W futbolu akademickim w takiej sytuacji sędzia przerywa akcję. Przed rozpoczęciem kolejnej próby sędzia ustawia piłkę na środku linii wznowienia gry w miejscu, w którym zawodnik trzymał ją w chwili dotknięcia ciałem murawy.

Paul: -A kiedy Neely kończył dyktować kod zagrania, Silos warczał: „Spieprzysz to i skręcę ci kark”.

Silos: - Wcale nie żartowałem.

Blanchard: - Wiedzieliście, ile zostało wam czasu?

Neely: - Tak, ale mieliśmy to gdzieś. Byliśmy pewni, że i tak wygramy.

W drugiej połowie Mabry otrzymywał piłkę aż dwanaście razy i zdobył w sumie siedemdziesiąt osiem jardów z biegu. Szybki snap. Znowu w prawo, ale nie przebił się zbyt daleko. Spartanie próbują rozbić obronę East Pike na ich lewym skrzydle. Mabry biegnie za Durstonem i Vatrano, no i oczywiście za Mooneyem, który zawsze jest tam, gdzie najgęściej.

Silos: - Uwielbiałem Bucka Coffeya. Neely: - Nie chodziłeś czasem z jego najmłodszą córką? Silos: - Nie nazwałbym tego chodzeniem, ale Buck o tym nie wiedział.

Druga próba, osiem jardów do zdobycia. Piłka jest na szesnastym jardzie od strefy przyłożeń. Znowu Mabry. Trzy, może cztery jardy w prawo. Proszę państwa, cóż to za walka! Bronią się jak żołnierze w okopach!

Silos: - Na boisku zawsze jest walka, Buck. Do tego służy boisko.

Bractwa przybywało. W półmroku podchodzili do nich po cichu lub zsuwali się po ławkach, żeby posłuchać sprawozdania.

Trzecia próba i cztery jardy. Curry daleko na skrzydło, za Currym wsparcie. Crenshaw nie rzuca. Przetrzymuje piłkę i zaatakowany, pada dwa jardy dalej. Devon Bond solidnie go przygwoździł.

Neely: - Bond przygrzał mi tyle razy, że czułem się jak worek treningowy.

Silos: - To był jedyny gracz, z którym nie mogłem sobie poradzić. Oddaję piłkę i już mam go na celowniku, a facet nagle znika. Albo ładuje mnie w przedramię tak mocno, że grzechoczą mi zęby.

Wredny był.

Donnie: - Załapał się gdzieś?

Paul: - Do Steelersów, na dwa lata. Potem miał kontuzję i wrócił do East Pike.

Czwarta próba i dwa jardy. To wielki mecz, proszę państwa, wspaniały mecz. Spartanie muszą zdobyć teraz punkty, bo mają ich do zdobycia jeszcze bez liku. Zegar tyka coraz szybciej. Trzy minuty i czterdzieści sekund. Idą pełnym składem. Chenault odbija w lewo.

Crenshaw długo odlicza przed snapem. Ruszyli! Zawodnik East Pike nieprawidłowo przekracza linię wznowienia! Kara i pierwsza próba dla Spartan na linii pięciu jardów!

Crenshaw zastosował stary zwód głową i tamci to kupili.

Silos: - Zwód głową, akurat.

Paul: - Wszystko było ustalone w odliczaniu przed snapem.

Blanchard: - Pamiętam, że ich trener wpadł w szal, wbiegł na boisko...

Neely: - Dostali za to żółtą flagę i karę pół dystansu.

Silos: - To był psychol. Im więcej zdobywaliśmy punktów, tym głośniej wrzeszczał.

Pierwsza próba, dwa i pół jarda do strefy przyłożeń. Opcja w lewo i wręczenie piłki.

Marcus Mabry atakowany, przedziera się jednak, biegnie dalej i upada na strefę przyłożeń East Pike! Przyłożenie dla Spartan! Przyłożenie dla Spartan!

W nocnej ciszy głos Bucka niósł się coraz dalej. W pewnym momencie usłyszał go Królik i ukradkiem podszedł bliżej, żeby sprawdzić, co to za hałas. Zobaczył tłum ludzi siedzących i półleżących pokotem na ławkach. Zobaczył butelki piwa, poczuł zapach dymu z cygar. W dawnych czasach wzięłby sprawę w swoje ręce i kazałby wszystkim wyjść ze stadionu. Ale to byli najlepsi chłopcy Rake'a, kilkudziesięciu wybrańców. Czekali, aż zgasną światła.

Gdyby podszedł bliżej, mógłby zwrócić się do każdego po imieniu i po numerze, mógłby powiedzieć, którą mieli szafkę w szatni.

Prześlizgnął się między metalowymi wspornikami trybun, przycupnął pod ławkami i wyteżył słuch.

Silos: - Czasu było mało, więc Neely zarządził onside kick* i prawie nam się udało. Piłka spadła, odbiła się chyba od wszystkich graczy na boisku i wreszcie złapał ją facet nie w tej koszulce, cholera.

Ronnie: - Dwa razy zaliczyli z biegu dwa jardy, potem spróbowali podania, ale Hindus pokrzyżował im szyki. Przy okazji wypchnął za linię ich receivera i zrównał go z ziemią. Kara za niepotrzebną brutalność. Pierwsza próba dla East Pike.

Donnie: - Fatalna decyzja.

Blanchard: - Szaleliśmy z wściekłości.

Randy: - Mój ojciec chciał rzucić w nich radiem.

Silos: - Mieliśmy to gdzieś. Ani punktu więcej: to było najważniejsze.

Ronnie: - Zaliczyli trzy jardy i znowu wyszli za linię.

Couch: - Czy to nie wtedy był ten wykop z powietrza i return?

Nat: - W pierwszym zagranu czwartej kwarty. Podkręcił głośność jeszcze bardziej.

Punter East Pike szykuje się do wykopu piłki z czterdziestego pierwszego jarda Messiny. Snap i silny niski wykop. Piłkę wyłapuje na piątce Paul Curry. Szerokim łukiem w prawo, na dziesiąty jard, szybki zwrot i... Ma z boku mur! Idealny mur!

Dwudziesty jard. Trzydziesty, czterdziesty jard! Przecina środek boiska. Marcus Mabry blokuje. Curry pędzi do linii bocznej i błyskawicznie skręca. Czterdziesty jard! Teraz już trzydziesty! Spartanie osłaniają go, blokując ze wszystkich stron!

Dziesiąty jard! Piąty, czwarty, drugi i... przyłożenie! Tak jest, przyłożenie dla Spartan! Curry! Cóż to był za bieg! Dziewięćdziesiąt pięć jardów po przechwyceniu piłki i zwróceniu jej returnem!

Nat ściszył magnetofon, żeby mogli rozkoszować się jedną z najwspanialszych chwil w historii spartańskiego futbolu. Akcja została przeprowadzona z podręcznikową wprost precyzją, bo każdy blok, każdy ruch był starannie zaplanowany, wyreżyserowany i wyćwiczony podczas niekończących się treningów z Rakiem. Gdy Paul Curry wpadł na strefę przyłożeń, by odtańczyć tam taniec zwycięstwa, eskortowało go sześciu graczy w zielonych koszulkach, dokładnie tak, jak kazał im Coach. „Wszyscy spotykamy się w strefie!” - wrzeszczał bez końca. „Wszyscy spotykamy się w strefie!”

Dwóch graczy East Pike leżało na murawie. Byli ofiarami brutalnych, lecz regulaminowych bloków, których Rake nauczył ich jeszcze w dziewiątej klasie. „Zwrócenie piłki returnem po puncie to idealny sposób na zabicie przeciwnika” - powtarzał w nieskończoność.

Paul: - Posłuchajmy tego jeszcze raz.

Silos: - Raz wystarczy. Tak samo się skończy.

Po wykopie Spartan drużyna z East Pike rozpoczęła marsz i utrzymywała się przy piłce przez sześć

minut. Po raz pierwszy w drugiej połowie meczu zawodnicy wykorzystali swój wspaniały talent i zdobyli sześćdziesiąt jardów, chociaż Spartanie zaciekle bronili każdego skrawka murawy. Gracze East Pike biegali chwiejnie i niepewnie, i nie przypominali już bezbłędnych futbolistów z pierwszych dwóch kwart. Waliło się na nich niebo. Groziła im sromotna klęska i nie byli w stanie jej zapobiec.

Każde przekazanie piłki z ręki do ręki prowokowało zaciekły atak wszystkich jedenastu obrońców.

Każde krótkie podanie kończyło się zmiążdżeniem odbierającego. Na długie nie było czasu - Silos

* Krótki wykop stosowany z nadzieją błyskawicznego odzyskania piłki.

szalał. W czwartej próbie, mając dwadzieścia osiem jardów do strefy przyłożeń Spartan i dwa jardy do kolejnej pierwszej próby, East Pike zamiast kopać field goala na bramkę, zaryzykowali zdobycie pierwszej próby. Co za głupota. Quarterback zamarkował podanie w lewo i poszedł w prawo, szukając skrzydłowego. Ale skrzydłowy został już stratowany na linii bocznej przez Donniego Utleya, którego brat bliźniak Ronnie rzucił się na quarterbacka jak wściekły pies. Chwycił go od tyłu, wyłuskał piłkę tak, jak go uczono, powalił faceta na ziemię i akcję rozpoczęli Spartanie. Było trzydzieści jeden do dwudziestu jeden. Do końca meczu pozostało pięć minut i trzydzieści pięć sekund.

Z prawą ręką Neely'ego jest coś nie tak. W drugiej połowie meczu ani razu nie zdecydował się na długie podanie. Kiedy do akcji przystępują obrońcy, trzyma rękę w kubelku z lodem. Zawodnicy East Pike widzą to i zmieniają taktykę: ścisłe krycie skrzydłowych, cała reszta wzmacnia linię defensywną.

Jaeger: - Złamałeś ją?

Paul: - Złamał.

Neely tylko kiwnął głową.

Jaeger: -Ale jak?

Silos: - Incydent w szatni.

Neely milczał.

Pierwsza próba na trzydziestodwójardowej linii połowy Spartan. Curry, ustawiony na prawym skrzydle, przebiega przed wznowieniem w lewo. Snap i krótkie podanie do Marcusa Mabry'ego, który z wielkim trudem zdobywa cztery, może pięć jardów. Devon Bond szaleje po całym boisku. Nie martwić się kryciem skrzydłowych, tylko czyhać na piłkę: to marzenie każdego linebackera. Spartanie szybko naradzają się w kupie i biegną na linię wznowienia gry. Zegar tyka coraz głośniej. Błyskawiczne snap i z ręki do ręki do Chenaulta. Chenault już biegnie, już pędzi za Mooneyem, który robi rzeź na środkowej linii boiska.

Silos: - Rzeź. To mi się podoba.

Donnie: - Buck był bardzo delikatny. Frank nie zablokował skrzydłowego i przygrzałeś mu w kupie.

Neely: - Nie, on go tylko klepnął. Sędzia już miał rzucić flagę, ale nie był pewien, czy można ukarać zawodnika, który uderzył kolegę z drużyny.

Silos: - Frank powinien był zablokować, i tyle.

Trzecia próba i jeden jard, z czterdziestkiósemki. Cztery minuty dwadzieścia sekund do końca. Spartanie na linii wznowienia gry. Szybcy są, drużyna East Pike nie zdążyła się jeszcze ustawić. Snap. Neely roluje w prawo. Markuje podanie, przecina linię pięćdziesięciu jardów i wypada za boisko na czterdziestcepiątce, żeby zatrzymać czas.

Będzie kolejna pierwsza próba. Spartanom brakuje jeszcze dwóch przyłożeń. Będą musieli używać linii bocznych, żeby zatrzymać zegar.

Silos: - Śmiało, Buck. Poustawiaj nam wszystkie zagrywki.

Donnie: - Na pewno je znał.

Randy: - Wszyscy je znali. Nie zmieniły się od trzydziestu lat.

Couch: - Graliśmy dokładnie tak samo jak wy z East Pike.

Mabry uwalnia się od tacklera i zalicza cztery jardy. Dopada go Devon Bond i Armando Butler grający na safety, prawdziwy łowca głów. Wiedzą już, że Spartanie nie zdecydują się na długie podanie, więc atakują biegaczy pełną parą. Wzmocnione skrzydło. Chenault biegnie w prawo, opcja w lewo, snap i podanie do Mabry'ego.

Mabry obraca się, pędzi przed siebie i jakimś cudem zdobywa trzy jardy. Trzecia próba. Kolejne trzy jardy do zdobycia i czeka nas kolejna wspaniała akcja, ale teraz wszystkie są wspaniałe. Zegar tyka, niecałe cztery minuty do końca. Piłka na trzydziestym ósmym jardzie połowy East Pike. Curry ustawił się po lewej stronie, na daleko wysuniętym skrzydle. Neely przesunięty do tyłu, co oznacza, że będzie podawał piłkę shotgunem*, daleko do przodu. Szybki snap i roluje w prawo. Rozgląda się, rozgląda, i już na niego pędzą. Ucieka, ale dopada go Devon Bond. Hełm w hełm, paskudne zderzenie. Neely powoli wstaje.

Neely: - Nic nie widziałem. Nigdy tak mocno nie oberwałem. Na pół minuty dosłownie ośleplem.

Paul: - Nie chcieliśmy brać czasu, więc podnieśliśmy go, postawiliśmy na nogi i zaciągnęliśmy do kupy.

Silos: - Jemu też przyłożyłem i chyba pomogło.

Neely: - Tego nie pamiętam.

Paul: - Czwarta próba i jeden jard. Neely zupełnie odpłynął, więc to ja dyktowałem zagrywki. Cóż, nie na darmo jestem geniuszem.

Czwarta próba i tylko jeden jard. Spartanie powoli podchodzą do linii wznowienia gry. Crenshaw jest osłabiony, wyraźnie się chwieje. To będzie kluczowe zagranie, rozstrzygająca akcja. Decydują się losy meczu. East Pike wysyła na linię dziewięciu obrońców. Spartanie zagrają bez skrzydłowych, z podwójnie wzmocnioną osłoną. Crenshaw ustawia się za środkowym. Długi snap, krótkie podanie do Mabry'ego, który przystaje, wyskakuje w powietrze i posyła piłkę na środek boiska do Heatha Dorceka, k t ó r e g o . . . Tak, którego nikt nie kryje! Dorcek biegnie! Trzydziesty jard! Dwudziesty! Atakują go na dziesiątym. Dorcek potyka się i pada na linii trzeciego jarda! Pierwsza próba dla Spartan tuż przed strefą przyłożeń!

Paul: - To było najgorsze podanie w historii zorganizowanego futbolu. Piłka koziółkowała w powietrzu jak postrzelona kaczka. Jezu, to było piękne!

Silos: - Cudne. Dorcek nie złapałby nawet grypy, dlatego Neely nigdy mu nie podawał.

Nat: - W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak wolno biegł. Wyglądał jak truchtający bawół.

Silos: - Ciebie na pewno by prześcignął.

Neely: - To zagranie kosztowało nas bardzo dużo czasu i kiedy Heath wrócił do kupy, miał łzy w oczach.

Paul: - Spojrzałem na Neely'ego, a on mówi: „Dyktuj”. Pamiętam, zerknąłem na zegar, trzy minuty czterdzieści sekund do końca, a musieliśmy zdobyć jeszcze dwa przyłożenia. „Zróbmy to teraz, a nie w trzeciej próbie” - mówię. A Silos na to: „Walcie za mną, pójdę przodem”.

Tylko trzy jardy dzielą Spartan od ziemi obiecanej i oto oni. Ustawiają się. Szybkie wysnapowanie piłki, Crenshaw markuje podanie i... spokojnie wchodzi na strefę przyłożeń!

Tak jest, proszę państwa! Mooney i Vatrano roznieśli cały środek obrony East Pike!

Przyłożenie dla Spartan! Przyłożenie dla Spartan! Czyste zagranie! Trzydzieści jeden do dwudziestu siedmiu! Niewiarygodne!

Blanchard: - Pamiętam, że przed wykopem stanęliście w kupie całą drużyną. Omal nie przekroczyliście limitu czasu na wznowienie.

Zapadła długa cisza. W końcu odezwał się Silos.

Silos: - Mieliśmy coś do obgadania. Parę tajemnic do ukrycia.

Couch: - Chodziło o Rake'a?

Silos: - Tak.

Couch: - Ciągle go nie było?

* Formacja, w której quarterback ustawia się kilkanaście jardów za linią wznowienia gry.

Paul: -Nie patrzyliśmy w tamtą stronę, ale niedługo po naszym wykopie ktoś powiedział, że wrócił. Stał

na skraju strefy. Po prostu stał, on i czterech asystentów. Zielone bluzy, ręce w kieszeniach. Patrzył na nas tak nonszalancko, jakbyśmy byli śmieciarzami, kimś takim. Rzygać nam się chciało na ich widok.

Nat: - Oni albo my, tylko o to nam chodziło. Tych z East Pike mieliśmy gdzieś.

Blanchard: - Nigdy tego nie zapomnę: Rake z asystentami na skraju boiska. Wyglądali jak kurwy w kościele. Nie wiedzieliśmy, dlaczego tam sterczą. Teraz też nie wiemy.

Paul: - Kazano im trzymać się z daleka od naszej linii bocznej.

Blanchard: - Kto im kazał?

Paul: - Drużyna.

Blanchard: - Ale dlaczego?

Nat podkreślił głośność. Podekscytowanemu Buckowi Coffeyowi zaczynał łamać się głos. Był coraz słabszy, coraz bardziej bełkotliwy i żeby to zrekompensować, Buck mówił coraz głośniejsze. Gdy zawodnicy East Pike ustawiali się do pierwszej próby, praktycznie krzyczał do mikrofonu.

Piłka na osiemnastym jardzie. Do końca wciąż trzy minuty i dwadzieścia pięć sekund. W

drugiej połowie gracze East Pike zdobyli tylko trzy pierwsze próby i sześćdziesiąt jeden jardów w ofensywie. Natchnieni duchem bojowym Spartanie wepchnęli im z powrotem do gardła wszystko to, czego tamci próbowali. Role się odwróciły. To przepiękne, to cudowne!

Komentuję mecze Spartan od dwudziestu dwóch lat, ale nigdy dotąd nie widziałem, żeby grali tak odważnie.

Silos: - Tak trzymać, Buck.

Piłka z ręki do ręki na prawo. Jard, może dwa jardy. East Pike nie wie, co robić. Chcieliby zagrać na czas, ale muszą też zdobyć kilka pierwszych prób. Trzy minuty i dziesięć sekund. Wskazówki zegara suną coraz szybciej. Spartanie ani razu nie poprosili o czas*. Mogą to zrobić trzy razy, bo inaczej nie zatrzymają zegara. Zawodnicy East Pike wloką się teraz nogą za nogą. Schodzą się powoli do kupy, niespiesznie się naradzają, powoli się rozchodzą i jeszcze wolniej ustawiają. Cztery, trzy, dwa, jeden, i snap. Podanie na prawo do Barnaby, który ścina narożnik i zdobywa pięć, może sześć jardów. Trzecia próba, ważna próba. Trzy jardy do zdobycia na dwudziestcepiątce. A zegar wciąż tyka.

Przed bramą zatrzymał się samochód. Biały, z jakimś napisem na drzwiach.

- To chyba Mal - powiedział ktoś z tłumu.

Szeryf wysiadał powoli. Wysiadł, przeciągnął się, popatrzył na boisko i na trybuny. Potem zapalił papierosa. Siedzieli na wysokości środkowej linii, w trzydziestym rzędzie, mimo to widzieli stamtąd ogień zapalniczki.

Silos: - Przywiozłem za mało piwa.

Spartanie okopują się. Obrońcy kryją dokładnie skrzydłowych. Ustawienie ataku z cofniętym rozgrywającym sugeruje, że będą rzucać piłkę daleko do przodu. Snap. Waddell odbiera, zwód w prawo i rzut w lewo. Piłka odebrana na trzydziestym drugim jardzie przez Gaddy'ego, którego powala na ziemię Hindu Aiken. East Pike zdobyło kolejną pierwszą

* Każda z drużyn może wziąć po trzy czasy podczas każdej połowy meczu. Czas można wziąć po zakończeniu akcji, czyli tylko wtedy, gdy piłka jest „martwa”. Obydwie drużyny schodzą z boiska i udają się na naradę do stojącego za boczną linią trenera. Długość czasu wynosi sto dziesięć sekund, z wyjątkiem ostatnich dwóch minut pierwszej i drugiej połowy meczu - czas wynosi wtedy tylko czterdzieści sekund. Czasy niewykorzystane w pierwszej połowie nie mogą być wykorzystane w drugiej.

próbę i teraz zawodnicy na pewno się sprężą. Dwie minuty i czterdzieści sekund do końca meczu. Spartanie potrzebują kogoś na linii bocznej, kogoś, kto podpowiedziałyby im, co robić, kto podjąłby jakąś decyzję. Wciąż grają bez trenerów.

Blanchard: - Kto decydował?

Paul: - My. Po ich pierwszej próbie postanowiliśmy z Neelym spalić jeden czas.

Silos: - Kiedy zebrałem obrońców przy linii bocznej, podeszła do nas cała drużyna. Wszyscy wrzeszczeli jak opętani. Jak o tym myślę, dostaję gęsiej skórki.

Neely: - Daj głośniej, Nat, bo Silos zaraz się rozplacze.

Pierwsza próba na trzydziestym drugim jardzie. Zawodnicy East Pike się nie spieszą, powoli zajmują pozycje. Zagrają skrzydłowymi i wysuniętym atakiem. Snap. Waddell odbiera, odskakuje do tyłu, roluje, patrzy w prawo, rzuca. Piłkę wyłapuje skrzydłowy na trzydziestym ósmym jardzie swojej połowy. Przy odbiorze nie wypadł za linię boczną i wskazówki zegara suną dalej. Dwie minuty i dwadzieścia osiem sekund do końca. Dwie dwadzieścia siedem..

Stojący przy bramie Mal Brown palił papierosa, przyglądając się grupie Spartan pólężących na trybunach. Słyszał, że gra radio, i rozpoznał głos Bucka Coffeya, chociaż nie potrafił powiedzieć, co to za mecz. Nie potrafił, ale się domyślał. Wypuścił kłęb dymu i poszukał wzrokiem Królika.

Zawodnicy East Pike na linii wznowienia gry. Druga próba, cztery jardy do zdobycia kolejnego cyklu czterech prób i dwie minuty i czternaście sekund do końca meczu.

Szybkie podanie do Barnaby, ale Barnaby jest uziemiony! Dopadają go Utlejowie, bliźniacy Utlejowie, Ronnie i Donnie, którzy przeciskają się dosłownie przez każdą szczelinę! Barnaby na

ziemi! Na Barnabym bliźniacy i wszyscy Spartanie! Spartanie szaleją, ale powinni uważać. Ten atak to był prawie faul.

Silos: - Faul, niepotrzebna brutalność, sto przewinień osobistych: wybieraj, Buck. Mogli nas oflagować po każdej akcji. Ronnie: - Silos ich gryzł.

Trzecia próba, cztery jardy i niecałe dwie minuty do końca. East Pike zwleka, gra na czas. Na linii wznowienia czeka jedenastu Spartan. Biec i dać się zmiażdżyć, czy podać i dać się stratować? Oto przed jakim wyborem stoją. Nie mogą przepchnąć piłki do przodu! Waddell wraca, rzuca piłkę przed murem i Donnie Utley.. . zbija ją na murawę! Czas zatrzymany. Czwarta próba i cztery jardy! Zawodnicy East Pike będą musieli oddać piłkę, wykopując ją puntem!

Minuta pięćdziesiąt sekund do końca spotkania i Spartanie czekają na piłkę!

Mał szedł powoli bieżnią, paląc kolejnego papierosa. Patrzyli, jak się do nich zbliża.

Paul: - Po ostatnim puncie return nam wyszedł, więc postanowiliśmy spróbować jeszcze raz.

Niski wykop, szczur *na* czterdziesty jard połowy Spartan. Piłka odbija się wysoko raz i drugi.

Alonzo Taylor chwyta ją na trzydziestym piątym i... nie ma dokąd pójść! Na murawie wszędzie żółte flagi sygnalizujące przewinienie! Czyżby ktoś kogoś podciął?

Paul: - Podciął? Hindus wbił go w ziemię. To był najwredniejszy faul, jaki kiedykolwiek widziałem.

Silos: - Chciałem mu za to skrócić kark.

Neely: - Powstrzymałem cię, pamiętasz? Biedak schodził z boiska płacząc.

Silos: - Biedak. Gdybym go teraz zobaczył, też bym mu to wytknął.

A więc jest tak: po otrzymaniu piętnastu jardów kary Spartanie są przy piłce na dziewiętnastym jardzie swojej połowy. Mają do pokonania osiemdziesiąt jeden jardów, a od końca meczu dzieli nas tylko jedna minuta i czterdzieści sekund. Jest trzydzieści jeden do dwudziestu ośmiu. Crenshaw ma do wykorzystania dwa czasy i nie może podawać, rzucając do przodu.

Paul: - A jak miał rzucać ze złamaną ręką?

Wszyscy Spartanie w kupie przy linii bocznej. Wygląda to tak, jakby się modlili...

Mał wchodził na schody. Wchodził powoli, bez zwykłej sobie hardości i zadziorności. Nat wyłączył magnetofon. Na trybunach zaległa cisza.

- Chłopcy - powiedział cicho szeryf. - Rake nie żyje.

Królik wychynął z mroku i długimi susami popędził bieżnią przed siebie. Zniknął za tablicą wyników

i kilka sekund później zgasły światła.

Stadion Rake'a pogrążył się w ciemności.

Większość Spartan siedzących w milczeniu na trybunach nie pamiętała Messiny bez Eddiego Rake'a.

Jeśli natomiast chodzi o tych starszych, którzy byli młodzieńcami, gdy przyjechał tu jako nikomu nieznany i niesprawdzony dwudziestoosmioletni trener, jego wpływ na miasto był tak wielki, że po pewnym czasie uznali, iż mieszkał tu od zawsze. Ostatecznie przedtem Messina się nie liczyła. Nie było jej na mapie.

Czuwanie dobiegło końca. Światła zgasły.

Chociaż czekali na jego nieuchronną śmierć, przekazana przez Mała wiadomość poraziła ich jak grom. Wszyscy pogrążyli się na chwilę we własnych wspomnieniach. Silos odstawił butelkę i zaczął

postukiwać palcami w skronie. Paul Curry podparł się łokciami i wbił wzrok w boisko, w linię pięćdziesięciu jardów, gdzie podczas zawziętej, wyrównanej gry szalał Rake, kipiąc jak wulkan i nie dopuszczając nikogo do siebie. Neely widział go w szpitalu, gdy z zieloną czapką w ręku rozmawiał

po cichu ze swoim eksmistrzem, martwiąc się o jego kolano i przyszłość. Gdy próbował go przeprosić.

Nat Sawyer zagryzł wargę. Zwilgotniały mu oczy. Eddie Rake znaczył dla niego dużo więcej po tym, gdy wyrzucono go z pracy. Dzięki Bogu, że jest ciemno, pomyślał. Ale wiedział, że inni też płaczą.

Od strony leżącego w małej dolinie miasta dobiegło ciche dzwonienie kościelnych dzwonów. Do Messiny dotarła wieść, której bano się najbardziej.

Jako pierwszy odezwał się Blanchard Teague:

- Chciałbym posłuchać tego do końca. Czekałem na to piętnaście lat.

Paul: - Poszliśmy ławą w prawo. Alonzo zdobył sześć, siedem jardów i wybiegł za linię.

Silos: - Zdobylibyśmy punkty, ale Vatrano nie przyblokował linebackera. Powiedziałem mu, że jak odpuści sobie jeszcze raz, to po meczu go wykastruję.

Paul: - Ustawili się na linii całą paką. Ciągle pytałem Neely'ego, czy może rzucić. Coś, cokolwiek, choćby krótką piłkę na wyskok na środek boiska, żeby odciągnąć ich wsparcie.

Neely: - Ledwo mogłem utrzymać ją w ręku.

Paul: - Druga próba. Poszliśmy w lewo...

Neely: - Nie, w drugiej próbie wysłaliśmy trzech na skrzydło, głęboko w ich strefę obrony.

Odskokczyłem do tyłu, tak jakbym chciał rzucić dalekie podanie, zamarkowałem rzut i pobiegłem.

Zdobyłem szesnaście jardów, ale nie udało mi się wybiec za linię boczną i zegar szedł dalej. Devon Bond znowu mi przygrzał. Myślałem, że już po mnie.

Couch: - Tak, pamiętam. Ale on też powoli wstawał.

Neely: - O niego się nie martwiłem.

Paul: - Piłka była na czterdziestym jardzie naszej połowy, około minuty do końca meczu. To wtedy poszliśmy skrzydłem?

Nat: - Tak, w lewo. Omal nie zdobyliśmy pierwszej próby. Alonzo wybiegł za linię boczną dokładnie naprzeciwko naszej ławki.

Neely: - Wtedy spróbowaliśmy awaryjnej opcji rzucania podań na wypadek kontuzji rozgrywającego. Ćwiczyliśmy ją na treningach z Alonzem. Alonzo rzucił i omal nie straciliśmy piłki.

Nat: - Straciliśmy, ale ich safety jedną nogą przekroczył linię.

Silos: - Wtedy powiedziałem: koniec z podaniami do Alonza.

Couch: - Jak było w kupie?

Silos: - Koszmarne, ale kiedy Neely kazał nam się zamknąć, to się zamknęliśmy. Powtarzał, że dajemy im popalić, że wciśniemy im piłkę do gardła, że wygramy. No i uwierzyliśmy.

Nat: - Piłka była na pięćdziesiątce, do końca zostało pięćdziesiąt sekund.

Neely: - W kupie zapowiedziałem screen pass, krótkie podanie ochraniane: dwaj linemeni pobiegli na skrzydło, blokując i tworząc komin dla Alonza. Rzuciłem mu piłkę lewą ręką i ruszył jak szalony.

Poszło jak z płatką.

Nat: - To było piękne. Zaatakowali go, uwolnił się, ale zaraz potem wpadł na kolejny mur.

Silos: - Wtedy dorwałem tego sukinsyna Bonda. Szarpał się z którymś z naszych i nie patrzył.

Zaprawiłem do z byka w lewy bok i znieśli go z boiska.

Neely: - Prawdopodobnie dzięki temu wygraliśmy.

Blanchard: -Na trybunach panowało kompletne szaleństwo. Trzydzieści pięć tysięcy ludzi darło się jak banda kretynów, ale i tak słyszeliśmy ten trzask.

Silos: - Zagrałem czysto. Wolałbym sfaulować, ale to był zły moment na karę.

Paul: - Alonzo zdobył dwadzieścia jardów. Zatrzymano zegar, bo znosili Bonda, więc mieliśmy trochę czasu. Neely rozbił to na trzy akcje.

Neely: - Nie chciałem ryzykować przejścia albo straty. Jedyнным sposobem na rozciągnięcie ich obrony było wypuszczenie skrzydłowych i mój odskok do tyłu. Chciałem, żeby pomyśleli, że będę podawał daleko do przodu. W pierwszej próbie zdobyłem dziesięć jardów...

Nat: - Jedenaście. Kolejna pierwsza próba z dwudziestego pierwszego jarda ich połowy i trzydzieści sekund do końca.

Neelu: - Bonda już nie było i czułem, że mi się uda. Wyliczyłem sobie, że jeszcze dwa takie sprinty i powinniśmy dotrzeć do strefy przyłożeń. W kupie powiedziałem chłopakom, żeby koniecznie kogoś rozłożyli...

Silos: - A ja kazałem im kogoś zabić.

Neely: - Wysłali na mnie blitzem aż trzech linebackerów i uziemili mnie na linii wznowienia.

Musieliśmy wziąć ostatni czas.

Amos: - Nie myśleliście o field goalu?

Neely: - Tak, ale Scobie miał słabą nogę, celną, ale słabą.

Paul: - Poza tym od roku nie kopał.

Silos: -Nigdy nie mieliśmy dobrych kopaczy.

Nat: - Dzięki, Silos. Wiedziałem, że zawsze mogę na ciebie liczyć.

Ostatnia zagrywka tego cudownego marszu do strefy przyłożeń była chyba najslynniejsza w chwalebnej historii spartańskiego futbolu. Nie mogąc już wziąć czasu i mając do pokonania dwadzieścia jardów w ledwie osiemnaście sekund, Neely wysłał dwóch zawodników głęboko na skrzydło, stanął daleko za środkowym, sugerując obronie shotgun, i po snapie nieoczekiwanie przekazał piłkę Marcusowi Mabry'emu. Mabry cofnął się trzy kroki, gwałtownie przystanął i błyskawicznie oddał piłkę Neely'emu, który popędził w prawo, udając, że mimo wszystko szykuje się do rzutu. Gdy skręcił na środek boiska, cała linia ofensywna Spartan pognęła do przodu, blokując obrońców i tworząc korytarz. Dziesięć jardów przed strefą przyłożeń pędzący jak wariat Neely opuścił głowę i w zderzeniu, które zabiłoby zwykłego śmiertelnika, staranował linebackera i zawodnika grającego na safety. Oszołomiony i półprzytomny, lecz wolny pobiegł dalej i oberwał ponownie na linii pięciu, a potem trzech jardów, gdzie wreszcie osaczyła go defensywa East Pike.

Kwarta już się prawie skończyła, skończył się i mecz, gdy wtem wpadli na nich chroniący Neely'ego Silos Mooney i Barry Vatrano. Wpadli i całe to kłębowisko ciał runęło na strefę przyłożeń. Wciąż ściskając piłkę, Neely zerwał się na równe nogi i spojrział na Eddiego Rake'a, który stał sześć metrów dalej, nieruchomo i obojętnie.

Neely: - Przez ułamek sekundy miałem ochotę przy grzać mu piłką ale Silos powalił mnie na ziemię i wszyscy na mnie wskoczyli.

Nat: - Cała drużyna, wszystkie cheerleaderki, asystenci i połowa orkiestry. Powinniśmy dostać piętnaście jardów kary za „nadmierne okazywanie radości”.

Couch: - Ale nikogo to nie obchodziło. Pamiętam, patrzyłem na Rake'a i trenerów. Ani drgnęli. To było cholernie dziwne.

Neely: - Leżałem pod stosem ciał i powtarzałem sobie, że dokonaliśmy niemożliwego.

Randy: - Miałem wtedy dwanaście lat i pamiętam, że wszyscy kibice Messiny nagle znieruchomieli.

Byli oszołomieni, wyczerpani, wielu płakało.

Blanchard: - Kibice East Pike też płakali.

Randy: -Zdążyli zaliczyć jeszcze jedną akcję. Po wykopie, tak?

Paul: - Tak. Donnie poszedł jak taran i skasował ich quarterbacka. Było po meczu.

Randy: - I nagle wszyscy gracze w zielonych koszulkach zbiegli z boiska. Żadnych uścisków rąk, żadnej kupy, po prostu jak szaleni popędzili do szatni. Cała drużyna zniknęła.

Mal: -Myśleliśmy, że zwariowaliście. Czekaliśmy, bo mieliśmy nadzieję, że zaraz wrócicie po puchar.

Paul: - Nie, nikt nie zamierzał wracać. Kogoś po nas przysłali, ale zamknęliśmy się w szatni.

Couch: - Ci biedacy z East Pike odebrali puchar za wicemistrzostwo. Próbowali się uśmiechać, ale wciąż byli w szoku.

Blanchard: - Rake też zniknął. Puchar odebrał Królik, bo ktoś wypchnął go na boisko. To było przedziwne, ale byliśmy zbyt podekscytowani, żeby się nad tym zastanawiać.

Mal podszedł do lodówki Silosa i wyjął butelkę piwa.

- Śmiało, szeryfie - mruknął Silos. - Niech się pan częstuje.

- Jestem po służbie. - Mal pociągnął długi łyk i ruszył schodami w dół. - Uroczystość żałobna jest w piątek. W południe.

- Gdzie?

- A gdzie ma być? Tutaj.

CZWARTEK

Neely i Paul spotkali się rano na tyłach księgarni, gdzie Nat zaparzył dzbanek wysoce uzależniającej i zapewne przemyconej gwatemalskiej kawy. Potem poszedł do klientki, ponurej, bladej jak kreda kobiety o kruczoczarnych włosach, która czekała w na wpół ukrytym dziale okultystycznym.

-

To nasza wiedźma - powiedział z niejaką dumą Paul, tak jakby wiedźma była nieodzowna w każdym mieście i jakby mogła rzucić na nich urok.

Szeryf przyjechał kilka minut po ósmej. Choć w mundurze i uzbrojony po zęby, robił wrażenie nieco zagubionego. Znalazł się w jedynej księgarni w mieście, w dodatku księgarni prowadzonej przez homoseksualistę. Gdyby Nat nie był Spartaninem, pewnie uznaliby, że to podejrzany typ, i kazałby go obserwować.

-

Gotowi? - warknął; widać było, że chce stąd jak najszybciej wyjść.

Z Neelym na przednim i Natem na tylnym siedzeniu przejechali szybko przez centrum długim białym fordem, na którego drzwiczkach widniał napis informujący, że jest to własność miejscowego szeryfa. Na autostradzie Mal wcisnął pedał gazu i włączył koguta. Syrenę sobie odpuścił.

Załatwiwszy, co trzeba, usiadł wygodniej, wziął wysoki styropianowy kubek z kawą, a wolną rękę oparł luźno na kierownicy. Jechali sto sześćdziesiąt na godzinę.

- Byłem w Wietnamie - zaczął, ustalając temat rozmowy z miną, która mówiła, że gotów jest gadać non stop przez dwie godziny. Paul zapadł się w fotel jak przestępca w drodze do sądu. Neely patrzył na pędzące auta, pewien, że zaraz zginą w makabrycznym karambolu na obu pasach jezdni.

- Patrolowaliśmy rzekę Bassac. - Głośnie siorbnięcie; miejsce akcji zostało ustalone. - Było nas sześciu. Sześciu na tej głupiej małej łodzi wielkości dwóch kontrabasów. Mieliśmy pływać w górę i w dół, i rozrabiać, ile wlezie. Strzelaliśmy do wszystkiego, co się tylko ruszało. Ot, idioci. Do brzegu podchodzi krowa, walimy do krowy. Ciekawski chłop podnosi głowę znad swego poletka, walimy do chłopca i patrzymy, jak ryje mordą błoto. Nasze zadanie nie miało żadnego znaczenia taktycznego, więc całymi dniami chlaliśmy piwsko, ćmiliśmy trawkę, rznąliśmy w karty i namawialiśmy miejscowe laski na rejs kryptę.

- Czuję, że jednak do czegoś zmierzasz - rzucił z tyłu Paul.

- Zamknij się i słuchaj. Pewnego dnia byliśmy trochę ospali. Jest gorąco. Opalamy się, drzemiemy jak stado żółwi na kłodzie drewna, gdy wtem rozpętuje się piekło. Prują do nas z obu brzegów rzeki.

Prują ostro. Zasadzka. Dwóch naszych jest na dole. Ja jestem na pokładzie z trzema innymi i tych trzech z mety obrywa. Trzy trupy. Nie zdążyli nawet sięgnąć po broń. Bryzgają strugi krwi. Wszyscy wrzeszczą. Leżę płasko na brzuchu i nie mogę się ruszyć, gdy nagle kula trafia w beczkę z paliwem.

To kurewstwo nie powinno stać na pokładzie, ale kogo to obchodziło? Byliśmy niezwycześni, bo mieliśmy osiemnaście lat i fiu-bździu we łbie. Beczka wybucha. Zdażyłem wskoczyć do wody i nawet mnie nie poparzyło. Podpływam do burty i przytrzymuję się siatki maskującej, która tam zwisa.

Słyszę, jak dwóch moich kumpli wrzeszczy pod pokładem. Utknęli w pułapce, wszędzie ogień i dym, nie ma wyjścia. Zanurzam się i siedzę pod wodą, dopóki starcza mi powietrza. Kiedy tylko wystawiam głowę, żółtki walą do mnie ze wszystkich stron, i to ostro. Wiedzą, że wstrzymuję oddech. Trwa to i trwa, wreszcie łódź, cała w płomieniach, zaczyna dryfować. Pod pokładem już nikt nie krzyczy ani nie kaszle. Wykończyli się. Wszyscy oprócz mnie. Żółtki wyszły na otwartą przestrzeń. Idą brzegiem jak na niedzielnej przechadzce. Świetnie się bawią. Żyję tylko ja i czekają, aż popełnię jakiś błąd. Daję nurka, przepływam pod łodzią na drugą stronę i nabieram powietrza.

Grad kul. Płynę do rufy, przytrzymuję się steru, znowu nabieram powietrza i słyszę, jak żółtki rechoczą, jak strzelają do mnie i ryczą ze śmiechu. W rzece jest pełno węży, tych małych, krótkich, koszmarnie jadowitych szkaradztw. Mam trzy wyjścia: utopić się, dać się zastrzelić albo czekać, aż załatwią mnie węże.

Mal wstawił kubek do trzymadła na desce rozdzielczej i zapalił papierosa. Na szczęście uchylił okno. Neely uchylił swoje. Byli już na wsi. Pędzili przez falujące wzgórza, śmigając obok traktorów i starych pikapów.

- No i co? - spytał Neely, gdy stało się oczywiste, że Mal czeka na zachętę.

- Wiecie, co mnie uratowało?

- Wal.

- Rake. Eddie Rake. Kiedy walczyłem o życie pod tą łodzią, nie myślałem ani o matce, ani o ojcu, ani o mojej dziewczynie. Myślałem o Rake'u. Słyszałem, jak powarkuje na nas pod koniec treningu, kiedy zaliczaliśmy sprinty. Przypomniały mi się jego przemowy w szatni. Nie poddawajcie się, nigdy się nie poddawajcie. Wygrywacie, bo jesteście silniejsi od nich psychicznie, a silniejsi psychicznie jesteście dlatego, że przewyższacie ich wyszkoleniem. Jeśli wygrywacie, nie wolno wam sobie odpuścić. Jeśli przegrywacie, tym bardziej. Jeśli złapaliście kontuzję, grajcie dalej, do samego końca.

Paul i Neely trawili tę przypowieść, a Mal zaciągnął się dymem. Kierowcy zjeżdżali na pobocze i dawali po hamulcach, żeby zwolnić pas dla pędzącego na sygnale stróża prawa.

- W końcu oberwałem. W nogę. Wiecie, że kulą można oberwać nawet pod wodą?

- Nigdy o tym nie myślałem - przyznał Neely.

- Można, i to jak, cholera. Dostałem w ścięgno podkolanowe. W życiu tak nie bolało, jakby ktoś kroił mnie gorącym nożem. Omal nie zemdlałem i cały czas brakowało mi powietrza. Rake kazał

nam grać nawet z kontuzją, więc wmówiłem sobie, że na mnie patrzy. Że stoi gdzieś na tym brzegu i

sprawdza, jak to wszystko znoszę.

Znowu długie, rakowate zaciągnięcie się dymem, znowu nieudana próba wydmuchania dymu przez szczelinę w oknie. Szeryf milczał. Pewnie na nowo przeżywał swój koszmar. Minęła minuta.

- Ale chyba z tego wyszedłeś, nie? - rzucił Paul, żeby Mal wreszcie skończył.

- Miałem szczęście. Tamtych pięciu wróciło do domu w trumnie. Krypa paliła się i paliła. Kadłub był tak gorący, że ledwo się go trzymałem. Potem eksplodowały akumulatory. Brzmiało to tak, jakby tamci strzelali z moździerza, i łódź zaczęła tonąć. Słyszałem ich śmiech. Słyszałem też głos Rake'a w czwartej kwarcie. „Pora wziąć się w garść i dać z siebie wszystko. To jest ten moment: albo wygramy, albo przegramy. To sprawdzian odwagi, chłopcy, to sprawdzian odwagi”.

- Tak, też go słyszę - powiedział Neely.

- I nagle tamci przestali strzelać. Po chwili usłyszałem warkot śmigłowców. Dwóch pilotów dostrzegło dym i postanowiło sprawdzić co zaszło. Maszyny zniżyły lot, rozpedziły żółtków, jeden spuścił linę. Gdy wciągnęli mnie na górę, spojrzałem na rzekę i zobaczyłem płonącą łódź. Na pokładzie leżały spalone na węgiel zwłoki moich dwóch kolegów. Byłem w szoku i w końcu straciłem przytomność. Potem powiedziano mi, że gdy spytali mnie o nazwisko, wychrypiałem:

„Eddie Rake”.

Neely zerknął na niego i Mal odwrócił głowę. Załamał mu się głos, szybko wytarł oczy. Przez parę sekund radiowóz prowadził się sam.

- I wróciłeś do domu? - spytał Paul.

- Tak, to było najlepsze. Wróciłem z Wietnamu. Jesteście głodni?

- Nie.

- Nie.

Mal najwyraźniej był. Wcisnął hamulec i skręcili na wyzwirowany podjazd przed starą wiejską gospodą. Kopnął pedał hamulca jeszcze raz i tył radiowozu mocno zarzucił. Stanęli.

- Majątku najlepsze biskwity w tej części stanu. – Otworzył drzwiczki i zniknął w tumanie pyłu.

Rozchwierutany siatkowymi drzwiami weszli za nim do małej zadymionej kuchni. Przy czterech ustawionych blisko siebie stolikach siedzieli chłopcy, pałaszując szynkę i biskwity. Na szczęście -

przynajmniej dla Mala, który widocznie umierał z głodu - przy zawalonej naczyniami ladzie były trzy wolne stołki.

- Biskwity - warknął do niskiej staruszki przy piecu. Jadłospis nie był tu chyba potrzebny.

Z zadziwiającą szybkością podała im kawę i biskwity ociekające masłem i syropem z sorga. Mal wbił zęby w pierwszy gruby, brązowy placek, co najmniej półkilogramową mieszankę smalcu i mąki. Siedzący po lewej stronie Neely i siedzący po prawej Paul poszli w jego ślady.

- Słyszałem, jak gadaliście wczoraj na trybunach – rzekł Mal, przechodząc od Wietnamu do futbolu. Odgryzł wielki kawał placka i zaczął go zawzięcie żuć. - O mistrzostwach z osiemdziesiątego siódmego. Też tam byłem, jak wszyscy. Domyślaliśmy się, że podczas przerwy po pierwszej połowie doszło do czegoś w szatni, do jakiejś sprzeczki między wami i Rakiem. Jak było naprawdę, nie wiem, bo nie chcieliście o tym mówić.

- Można nazwać to sprzeczką - powiedział Neely, wciąż przygotowując się do konsumpcji swego pierwszego i jedyne biskwitu.

- Nigdy o tym nie gadaliśmy - dodał Paul.

- Więc co się tam stało?

- Była sprzeczka.

- Jasne. Rake już nie żyje.

- To co?

- To że minęło piętnaście lat i chcę poznać prawdę - odparł Mal, jakby przesłuchiwał w areszcie podejrzanego o morderstwo.

Neely odłożył biskwit i wbił wzrok w talerz. Potem zerknął na Paula, który lekko skinął głową. Wal.

Możesz mu w końcu powiedzieć.

Neely wypił łyk kawy, zapominając o jedzeniu. Popatrzył na ladę i wrócił do wspomnień.

- Przegrywaliśmy trzydzieści jeden do zera - zaczął - i tamci ładowali w nas, jak chcieli.

- Fakt, byłem tam - mruknął Mal, nie przestając żuć.

- Podczas przerwy poszliśmy do szatni i czekaliśmy na Rake'a. Czekaliśmy i czekaliśmy, wiedząc, że pożre nas żywcem. W końcu przyszedł, on i asystenci. On był wściekły, my przerażeni. Od razu podszedł do mnie. Nie wiedziałem, czego się spodziewać. „Ty nędzna namiastko futbolisty” -

powiedział z czystą nienawiścią w oczach. „Dzięki, panie trenerze” - odparłem. Jeszcze nie zdążyłem zamknąć ust, gdy chlasnął mnie na odlew w twarz.

- Jakby ktoś grzmotnął piłkę kijem baseballowym, tak to zabrzmiało. - Paul też stracił

zainteresowanie jedzeniem.

- To wtedy złamał ci nos? - W przeciwieństwie do nich, Mał najwyraźniej chciał dokończyć śniadanie.

- Tak.

- I co zrobiłeś?

- Odruchowo mu oddałem. Nie wiedziałem, czy chce przylać mi jeszcze raz, czy nie, i nie zamierzałem tego sprawdzać. Walnąłem go prawym hakiem, z całej siły. Trafiłem idealnie, prosto w szczękę.

- To nie był hak, to była prawdziwa torpeda - powiedział Paul. - Głowa odskoczyła mu do tyłu, jakby ktoś wygarnął do niego ze spluwy. Runął na podłogę jak worek cementu.

- Znokautowałeś go?

- Czyściutko, stracił przytomność. Trener Upchurch rzucił się na mnie, wrzeszcząc i klnąc, jakby chciał mnie wykończyć. Nic nie widziałem, bo twarz miałem całą we krwi.

- Wtedy Silos chwycił Upchurcha za gardło, obiema rękami - wtrącił Paul. - Podniósł go, rzucił na ścianę i powiedział, że jak się poruszy, to go zabije. Rake leżał tam jak trup. Przykucnęli przy nim Snake Thomas, Królik i pozostali trenerzy. Przez kilka sekund panował chaos, a potem Silos powalił

Upchurcha na podłogę i kazał im wynosić się z szatni. Thomas coś mruknął i Silos kopnął go w dupę. Kiedy wywlekli Rake'a, zamknęliśmy drzwi na klucz.

- Nie wiem dlaczego, ale się rozplakałem - powiedział Neely. - Nie mogłem przestać płakać.

Szczęki Mała znieruchomiały. Wszyscy trzej patrzyli przed siebie, na niską staruszkę przy piecu.

- Znaleźliśmy trochę lodu - ciągnął Paul. - Neely powiedział, że złamał sobie rękę. Był

półprzytomny. Nos krwawił mu jak jasna cholera. Silos wrzeszczał na drużynę. Koszmar, prawdziwy koszmar.

Głośno siorbiąc, Mał wypił łyk kawy, po czym oderwał kawałek biskwitu i przejechał nim po talerzu, jakby zastanawiał się, zjeść go czy nie.

- Neely leżał na podłodze. Lód na nosie, lód na ręce, krew ściekała mu na uszy. Nienawidziliśmy Rake'a jak nikogo na świecie. Mieliśmy ochotę zatłuc kogoś na śmierć, a najbliższymi byli ci biedacy z East Pike.

Neely długo milczał. Wreszcie powiedział:

- Silos ukląkł przy mnie i wrzasnął: „Rusz dupę, panie mistrzu! Musimy zdobyć pięć przyłożeń!”

- Kiedy Neely wstał - mówił dalej Paul - wypadliśmy jak burza z szatni. Królik wystawił głowę zza

drzwi i usłyszałem jeszcze, jak Silos krzyczy: „Nie dopuszczaj tych skurwysynów do linii!”

- Hindus rzucił w niego zakrwawionym ręcznikiem - dodał cicho Neely.

- Pod koniec czwartej kwarty Neely i Silos ściągnęli nas do ławki i powiedzieli, że po meczu wszyscy biegniemy do szatni, zamykamy drzwi i wychodzimy dopiero wtedy, gdy na stadionie będzie pusto.

- I tak zrobiliśmy - dodał Neely. - Czekaliśmy długo. Minęła godzina, zanim się uspokoiiliśmy.

Otworzyły się drzwi. Jedna grupa miejscowych wyszła, druga weszła.

- I nikomu o tym nie mówiliście? - spytał Mali.

- Nikomu - odrzekł Neely. - Tak postanowiliśmy.

- Do teraz?

- Tak. Rake nie żyje, to już chyba bez znaczenia.

- Dlaczego to była aż taka tajemnica?

- Baliśmy się, że będą kłopoty - odrzekł Paul. - Nienawidziliśmy go, ale z Rakiem nigdy nic nie wiadomo. Uderzył zawodnika, i to nie byle jakiego. Mecz się skończył, a Neely'emu wciąż krwawił nos.

- Rozkleiliśmy się - powiedział Neely. - Siedzieliśmy tam i płakaliśmy. Dokonaliśmy cudu, wbrew wszystkiemu. Bez trenerów, bez nikogo. Samą odwagą. Banda dzieciaków, którzy wytrzymali potworny stres. Postanowiliśmy, że będzie to nasza tajemnica. Silos chodził po szatni, patrzył każdemu w oczy i kazał przysięgać, że nikt się o tym nigdy nie dowie.

- Groził, że jak ktoś puści farbę, to go zabije – zachichotał Paul.

Mał wprawnym gestem polał syropem kolejnego biskwita.

- Dobrze. Tak myślałem.

- Najdziwniejsze jest to, że trenerzy też nikomu nic nie powiedzieli. Królik trzymał gębę na kłódkę.

Prawdziwa zmowa milczenia.

Mlask, mlask, mlask, i wreszcie:

- Czegoś się tam domyślaliśmy. Wiedzieliśmy, że podczas przerwy stało się coś złego. Neely nie mógł rzucać, a potem był przeciek, że przez cały tydzień nosił rękę w gipsie. A więc pewnie komuś przylał. Pewnie Rake'owi. Z biegiem lat powstało masę plotek, ale jak sami wiecie, w Messinie

zawsze ich pełno.

- Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś o tym gadał - powiedział Paul.

Łyk kawy. To Mal. Neely i Paul ani nie jedli, ani nie pili.

- Pamiętacie tego Tugdale'a spod Black Rock? Był od was młodszy, rok, może dwa lata.

- Andy Tugdale, tak - odrzekł Neely. - Strażnik. Sześćdziesiąt osiem kilo, złośliwy jak pies na łańcuchu.

- Właśnie. Wiele lat temu aresztowaliśmy go za pobicie żony i kilka tygodni spędził w areszcie.

Grałem z nim w karty, bo z chłopakami Rake'a zawsze gram w karty. Daję im specjalną celę, lepsze żarcie, przepustki...

- Nie ma to jak bractwo - mruknął Paul. - Same korzyści.

- Powiedzmy. Docenisz je, kiedy cię przymknę, bankierzyku.

- No i co?

- No i to, że któregoś dnia gadamy sobie i gadamy, w końcu pytam go, co się stało w przerwie po pierwszej połowie meczu o mistrzostwo stanu w osiemdziesiątym siódmym. Facet zamknął się w sobie, zacisnął usta i ani mru-mru. Mówię, wiem, że ktoś się tam pobił. Ani słowa. Odczekałem kilka dni i pytam znowu. W końcu powiedział, że Silos wypędził z szatni trenerów i kazał im trzymać się z daleka od linii bocznej. Że doszło do poważnego nieporozumienia między Rakiem i Neelym. Pytam się, w co Neely tak mocno uderzył, że aż złamał sobie rękę. W ścianę? W szafkę? W

tablicę? Nie, ani w to, ani w to, ani w to. Przyładował komuś? Bingo. Ale nie chciał powiedzieć komu.

- Świetna robota, Mal - powiedział Paul. - Dobry z ciebie policjant. Jeszcze pomyślę, ale może na ciebie zagłosuję.

- Możemy już iść? - rzucił Neely. - Nie lubię tej historii.

Jechali w milczeniu przez pół godziny, wciąż z kogutem na dachu. Mal zdawał się chwilami drzemać, trawiąc obfite śniadanie.

- Daj, poprowadzę - zaproponował Neely, gdy radiowóz zjechał na pobocze i gdy przez kilkaset metrów pędzili przed siebie, wyrzucając spod kół fontanny żwiru.

- Nie mogę, to niezgodne z prawem - mruknął Mal, który nagle się zbudził.

Pięć minut później przysnął ponownie. Neely doszedł do wniosku, że uratować ich może tylko rozmowa.

- To ty przymknąłeś Jesse'a? - spytał, mocniej zaciągając pas bezpieczeństwa.

- A skąd. Stanowi go dopadli. - Mal usiadł wygodniej i sięgnął po papierosa. Znowu mógł coś opowiedzieć, więc ożył. - Wyrzucili go z drużyny w Miami, wyrzucili go ze studiów. Mało brakowało i trafiłby do pudła, ale wywinął się i wrócił tutaj. Biedak był cholernie uzależniony, za nic nie mógł

odstawić prochów. Jego rodzina próbowała wszystkiego: otwarty ośrodek odwykowy, zamknięty ośrodek odwykowy, terapeuci, cały ten szajs. Doprowadzili się do ruiny. Ojciec umarł ze zgrzyoty.

Kiedyś mieli tysiąc hektarów najlepszej ziemi ornej w okolicy, teraz nie mają nic. Jego matka mieszka w tym wielkim domu z zapadającym się dachem.

- No i co? - ponaglił go z tyłu Paul.

- No i to, że zaczął handlować prochami, ale oczywiście na wielką skalę, jak to Jesse. Miał znajomków w hrabstwie Dade: od słowa do słowa i rozkręcił wielki interes. Miał swój gang, wielkie ambicje...

- Czy kogoś tam wtedy nie zabili? - spytał Paul.

- Właśnie do tego zmierzam - warknął do lusterka Mal.

- Chciałem ci tylko pomóc.

- Zawsze marzyłem, żeby pewnego dnia przejechać się do aresztu z bankierem, z prawdziwym urzędnikiem.

- A ja, żeby zająć obciążoną nieruchomość szeryfa.

- Zawieszenie broni, panowie - wtrącił się Neely. - Teraz będzie najciekawsze.

Mal poruszył się w fotelu i jego wielki brzuch naparł na kierownicę. Jeszcze jedno surowe zerknięcie w lusterko i:

- Powoli podkradli się do niego ci ze stanówki, ci od zwalczania handlu narkotykami. Oni zawsze tak. Zgarnęli jakąś płotkę, zagrozili facetowi trzydziestoma latami pierdla i gwałtem, namówili go, żeby zagrał w ich drużynie. Facet ustawił się na odbiór towaru, a między drzewami i skałami czekali nasi. Coś poszło nie tak, ktoś chwycił za broń, ktoś wystrzelił. Jeden ze stanowych dostał prosto w ucho i zginął na miejscu. Ten, co ich wystawił, też oberwał, ale przeżył. Jesse'a tam nie było, ale szło o jego ludzi. Stanowi wzięli go na muszkę i nie minął rok, jak stanął przed wysokim sądem. Dostał dwadzieścia osiem lat bez możliwości zwolnienia warunkowego.

- Dwadzieścia osiem lat - powtórzył Neely.

- Tak. Pojechałem na rozprawę i nawet było mi tego skurwiela żal. Facet miał warunki, żeby grać w NFL. Wzrost, masę, szybkość, no i Rake maglował go przez, Bóg wie, ile lat. Zawsze mówił, że gdyby Jesse poszedł do A&M, nie skończyłby, jak skończył. On też był na rozprawie.

- Długo już siedzi? - spytał Neely.

- Dziewięć, może dziesięć lat. Nie liczę. Jesteście głodni?

- Przed chwilą jedliśmy.

- Znowu jesteś głodny? - rzucił Paul. - Niemożliwe.

- Nie, ale tu zaraz jest taka mała knajpka, gdzie pani Armstrong robi świetny sos orzechowy.

Zawsze tam wpadam i...

- Jedźmy, Mal - przerwał mu Neel. - Po prostu powiedz sobie „nie”.

- Jutro też jest dzień - dodał z tyłu Paul.

Zakład penitencjarny w Buford był usytuowany na płaskim, bezdrzewnym terenie, na końcu samotnej asfaltówki, wzdłuż której przez wiele kilometrów ciągnęła się wysoka siatka. Przygnębienie dopadło Neely'ego na długo przed tym, gdy zobaczyli jakikolwiek budynek.

Mal uprzedził kogo trzeba telefonicznie, więc szybko przeszli przez kontrolę przy bramie głównej i wjechali w głąb kompleksu. Na kolejnym punkcie kontrolnym zmienili środek lokomocji i z przestronnego policyjnego radiowozu przesiedli się na wąskie ławeczki wózka golfowego. Mal jechał z przodu i gadał non stop z kierowcą, strażnikiem, który miał na sobie tyle amunicji i przeróżnych gadżetów co on. Neely i Paul siedzieli z tyłu, tyłem do kierunku jazdy, lecz ilekroć spojrzeli w bok, znowu widzieli wysoką siatkę i drut kolczasty. Gdy rozklekotany wózek mijał blok A, długi, ponury budynek z pustaków, gapili się na nich wylegujący się na schodach więźniowie.

Tuż obok trwał mecz koszykówki. Wszyscy gracze byli czarni. Po drugiej stronie budynku biali grali w siatkówkę. Bloki B, C i D były równie posępne. Jak tu można żyć? - pomyślał Neely.

Na skrzyżowaniu skręcili, by zaraz potem minąć nieco nowszy blok E. Przy bloku F stanęli i przeszli pięćdziesiąt metrów do miejsca, gdzie ogrodzenie skręcało pod kątem prostym. Strażnik wymamrotał coś do radia, wyciągnął rękę i powiedział:

-

To tam. Idźcie wzdłuż ogrodzenia do tego białego słupa. On zaraz przyjdzie.

Neely i Paul ruszyli po świeżo ściętej trawie. Mal ze strażnikiem zostali i natychmiast przestali się nimi interesować.

Za budynkiem, tuż obok boiska do koszykówki, był wylany betonem placzyk, a na placyku stały

ławeczki do wyciskania, walały się sztangi i przeróżne ciężary. W porannym słońcu czarni i biali zawzięcie pompowali żelazo. Ich nagie piersi lśniły od potu. Pewnie zasuwali tak przez dziesięć godzin dziennie.

- Jest - powiedział: Paul. - Tam, po lewej. Wstaje z ławki.

- Tak, to on - odrzekł Neely, zafascynowany widokiem, który niewielu dane było oglądać.

Do ławeczki podszedł klawisz. Powiedział coś i Jesse gwałtownie poderwał głowę. Powiódł

wzrokiem wzdłuż ogrodzenia, zobaczył ich, rzucił ręcznik na ławkę i dumnym, powolnym, typowo spartańskim krokiem przeciął puste boisko do koszykówki i wszedł na trawnik biegnący wzdłuż siatki wokół bloku F.

Z odległości czterdziestu metrów wyglądał jak olbrzym, lecz gdy podszedł bliżej, jego pierś, kark i ramiona urosły do wprost przerażających rozmiarów. Grali z nim jeden sezon - on był w klasie maturalnej, oni w pierwszej - i widzieli go nagiego w szatni. Widzieli, co potrafił zrobić ze sztangą w siłowni. Widzieli, jak bił wszystkie szkolne rekordy w podnoszeniu ciężarów.

Teraz robił wrażenie dwa razy większego. Szyję miał grubą jak dębowy pniak, bary szerokie jak drzwi. Jego bicepsy i tricepsy były kilka razy większe od normalnych. Brzuch wyglądał jak brukowana ulica.

Włosy miał krótko ostrzyżone i jego kwadratowa głowa była teraz jeszcze bardziej symetryczna.

Przystanął i spojrzał na nich z góry.

- Cześć, chłopcy — rzucił z uśmiechem, wciąż zasapany po ostatniej serii na ławeczce.

- Cześć, Jesse - odrzekł Paul.

- Jak się masz? - spytał Neely.

- Nieźle, nie narzekam. Cieszę się, że was widzę. Mało kto mnie odwiedza.

- Jesse - powiedział Paul. - Mamy złe wiadomości.

- Tak myślałem.

- Rake nie żyje. Umarł dziś w nocy.

Jesse spuścił głowę, aż podbródkiem dotknął masywnej piersi. Od pasa w górę jakby się nagle skurczył.

- Mama pisała mi, że jest chory - wyszeptał z zamkniętymi oczami.

- Rak. Wykryli go rok temu, ale umarł szybko.

- Jezu, o Jezu... Myślałem, że będzie żył wiecznie.

- Wszyscy tak myśleliśmy - odrzekł Neely.

Jesse spędził w więzieniu dziesięć lat i nauczył się panować nad emocjami. Głośno przełknął ślinę i otworzył oczy.

- Dzięki, że przyjechaliście. Nie musieliście.

- Chcieliśmy cię zobaczyć - powiedział Neely. - Ciągle o tobie myślę.

- Słynny Neely Crenshaw.

- To było wieki temu, Jesse.

- Czemu nie napiszesz? Posiedzę tu jeszcze osiemnaście lat.

- Napiszę, słowo.

- Dzięki.

Paul kopnął trawę.

- Posłuchaj, jutro na stadionie jest uroczystość żałobna. Przyjdą chłopcy, wiesz, pożegnać się i tak dalej. Mal mógłby pociągnąć za sznurki i załatwić ci przepustkę.

- Nie, odpada, stary.

- Masz tam wielu przyjaciół, Jesse.

- Byłych przyjaciół, ludzi, których zawiodłem. Będą wytykać mnie palcem i mówić: „Patrzcie, to Jesse Trapp. Mógł być wielki i sławny, ale zaczął handlować prochami. Zmarnował sobie życie.

Niechaj będzie to dla was przestrogą, dzieci. Trzymajcie się z dala od złego". Nie, dzięki. Nie chcę świecić oczami.

- Przyjedź - namawiał Neely. - Rake by tego chciał. Podbródek ponownie opadł, oczy ponownie się zamknęły.

Minęło kilka sekund.

- Kochałem go jak nikogo w życiu. Przyszedł na ogłoszenie wyroku. Zmarnowałem sobie życie i czułem się jak ostatni śmieć. Dobilem rodziców i rzygać mi się chciało, gdy patrzyłem na siebie w lustrze. Ale najbardziej bolało mnie to, że zawiodłem jego. I wciąż mnie boli. Pochowajcie go beze mnie.

- Twoja wola - mruknął Paul.

Zapadło długie milczenie. Stali tam, kiwali głowami i gapili się na trawę.

- Raz w tygodniu widuję twoją mamę - odezwał się w końcu Paul. - Dobrze sobie radzi.

- Dzięki. Regularnie mnie odwiedza, w trzecią niedzielę miesiąca. Wpadnij kiedyś. Bardzo tu jestem samotny.

- Wpadnę.

- Słowo?

- Słowo. I pomyśl o jutrzejszym pogrzebie.

- Już pomyślałem. Ja zmówię za niego pacierz, wy go pochowacie.

- Jak chcesz.

Jesse spojrział w prawo.

- To Mal?

- Tak. Przywiózł nas.

- Powiedzcie mu, żeby pocałował mnie w dupę.

- Dobra, z przyjemnością- odrzekł Paul.

- Dzięki, chłopcy. - Jesse odwrócił się i odszedł.

Około czwartej po południu rozstał się tłum i przed bramę stadionu Rake'a zajechał karawan.

Otworzyły się tylne drzwiczki, ośmiu żałobników utworzyło dwa czteroosobowe rzędy i wyciągnęło trumnę. Żaden z nich nie należał do Spartan. Eddie Rake dokładnie wszystko przemyślał i postanowił nie wykorzystywać swoich pupili. Żałobników wybrał spośród asystentów.

Procesja sunęła bieżnią. Tuż za trumną szła wdowa, Lila Rake, jej trzy córki, ich mężowie i pokaźna gromada wnuków. Potem ksiądz. Za księdzem członkowie sekcji bębnowej orkiestry Spartan. Gdy znaleźli się przed trybunami dla gospodarzy, cicho zawarzały werble.

Na czterdziestym jardzie przy linii bocznej Spartan stał wielki biały namiot, którego słupy zakotwiczone workami z piaskiem, żeby oszczędzić świętą murawę stadionu Rake'a. Żałobnicy zatrzymali się na linii pięćdziesięciu jardów, w miejscu, z którego przez tyle lat Coach tak wspaniale dyrygował grą. Trumnę ustawiono na antycznym irlandzkim katafalku, należącym do najlepszej przyjaciółki Miss Lili, i szybko otoczono kwiatami. Potem wokół trumny zebrała się rodzina.

Odmówiwszy krótką modlitwę, zaczęli przyjmować kondolencje.

Ludzie ustawili się na bieżni, koniec kolejki ginał aż za bramą. Droga prowadzącą na stadion zderzak w zderzak ciągnął sznur samochodów.

Przejechał przed domem trzy razy, zanim w końcu zebrał się na odwagę. Na podjeździe stał

wynajęty samochód. Cameron wróciła. Długo po kolacji zapukał do drzwi, równie zdenerwowany jak za pierwszym razem. Wtedy, jako piętnastoletni chłopak - nowe prawo jazdy, wóz rodziców, dwadzieścia dolców w kieszeni, starannie ogolony młodzieńczy puszek - przyjechał zabrać ją na pierwszą prawdziwą randkę.

Przed stu laty.

Drzwi jak zwykle otworzyła pani Lane, ale tym razem go nie poznała.

- Dobry wieczór - powiedziała cicho. Wciąż była piękna i uprzejma, wciąż wyglądała młodo.

- Dobry wieczór. To ja, Neely Crenshaw. Dopiero wtedy go rozpoznała.

- Neely! Ależ oczywiście! Jak się masz?

Domyślał się, że rodzice Cameron długo obrzucali go błotem, i nie wiedział, jak go przyjmą. Ale Lane'owie byli ludźmi kulturalnymi, trochę bardziej wykształconymi i zamożniejszymi niż pozostali mieszkańcy Messiny. Jeśli więc mieli do niego żal, a na pewno mieli, nigdy by tego nie okazali.

Przynajmniej rodzice.

- Dobrze.

- Wejdiesz? - Otworzyła drzwi. Zapraszała go, choć raczej bez przekonania.

- Dziękuję. - W korytarzu rozejrzał się i powiedział: - Pięknie tu jak dawniej.

- Dziękuję. Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję. Szukam Cameron. Czy jest w domu?

- Tak.

- Chciałbym się z nią przywitać.

- Bardzo mi przykro z powodu Rake'a. Wiem, że dużo dla was znaczył.

- Tak, to prawda. - Neely zerkał wokoło, nad słuchując głosów z głębi domu.

- Pójdę po nią - powiedziała pani Lane i zniknęła. Czekał i czekał, w końcu podszedł do drzwi i przez owalne okienko wyjrzał na tonącą w mroku ulicę. Kroki i znajomy głos.

- Cześć.

Odwrócił głowę i spotkali się wzrokiem. Na chwilę zabrakło mu słów. Potem wzruszył ramionami i wypalił:

- Przejeżdżałem i pomyślałem sobie, że wpadnę się przywitać. Minęło sporo lat.

- To prawda.

Dopiero wtedy z całą mocą dotarło do niego, jak wielki popełnił błąd.

Cameron była znacznie piękniejsza niż w szkole. Miała bujne kasztanowe, ściągnięte w kucyk włosy. I ciemnoniebieskie oczy, jeszcze ładniejsze niż wtedy, bo ozdobione modnymi, eleganckimi okularami. Była w luźnym swetrze i obcisłych wytartych dżinsach, co jednoznacznie mówiło, że bardzo dba o figurę.

- Świetnie wyglądasz - powiedział.

- Ty też.

- Możemy pogadać?

- O czym?

- O życiu, o miłości, o futbolu. Pewnie już nigdy się nie spotkamy, a mam ci coś do powiedzenia.

Otworzyła drzwi. Wyszli na szeroki ganek i usiedli na schodach. Oczywiście ona usiadła jak najdalej od niego. Przez pięć minut milczeli.

- Widziałem Nata - rzucił. - Powiedział, że mieszkasz w Chicago. Że jesteś szczęśliwą mężatką i masz dwie córeczki.

- To prawda.

- Za kogo wyszłaś?

- Za Jacka.

- Za jakiego Jacka?

- Jacka Seawrighta.

- Skąd go wytrzasnęłaś?

- Poznaliśmy się w Waszyngtonie. Po college'u pojechałam tam do pracy.

- Ile mają lat?

- Moje córki? Pięć i trzy.

- Co robi mąż?
- Bajgle.
- Bajgle?
- Takie małe, okrągłe, do jedzenia. Tu ich nie było.
- Ma sklep?
- Sklepy.
- Kilka?
- Sto czterdzieści sześć.
- To chyba nieźle wam się powodzi.
- Jego firma jest warta osiem milionów dolarów.
- Ups! Moja dwanaście tysięcy, i to dobrego dnia.
- Chciałeś mi coś powiedzieć. - Ani myślała mięknać. Nie wykazywała żadnego zainteresowania jego życiem.

Zza drzwi dobiegły czyjeś ciche kroki. To na pewno pani Lane. Próbowwała ich podsłuchać. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Dmuchał lekki wiatr i na ceglany chodniku zaszeleściły dębowe liście. Neely potarł ręką o rękę.

- Dobra, już mówię. Dawno temu zrobiłem coś złego, coś, czego wstydziałem się przez wiele lat.

Mój błąd. Byłem głupi, podły, wredny i samolubny. Skrzywdziłem cię i im jestem starszy, tym bardziej tego żałuję. Przepraszam, Cameron, i proszę o wybaczenie.

- Już ci wybaczyłam. Daj temu spokój.

- Nie mogę. I nie bądź dla mnie taka miła.

- Neely, byliśmy wtedy dziećmi. Mieliśmy szesnaście lat. To było wieki temu.

- Byliśmy w sobie zakochani. Uwielbiałem cię, odkąd skończyliśmy dziesięć lat i trzymaliśmy się za ręce za salą gimnastyczną, żeby chłopcy mnie nie widzieli.

- Nie chcę tego słuchać.

- Dobrze, ale czy mogę to z siebie wyrzucić? I powiedz wreszcie coś takiego, żeby naprawdę mnie zabolalo.

- Ja mam już to za sobą, Neely.
 - Ale może ja nie.
 - Przestań! Gdzie ty żyjesz? Dorośnij wreszcie. Już nie jesteś słynnym futbolistą.
 - I o to chodzi. Właśnie to chciałem usłyszeć. Wal do mnie z obu łuf.
 - Przyszedłeś tu się kłócić?
 - Nie, przeprosić.
 - Już przeprosiłeś i lepiej już idź. Zagryzł język i odczekał kilka sekund.
 - Dlaczego chcesz, żebym poszedł?
 - Bo cię nie lubię.
 - I słusznie.
 - Dziesięć lat minęło, zanim wymazałam cię z pamięci. Kiedy zakochałam się w Jacku, nareszcie mogłam o tobie zapomnieć. Miałam nadzieję, że już nigdy się nie spotkamy.
 - Myślisz czasem o mnie?
 - Nie.
 - Nigdy?
 - Może raz w roku, w chwili słabości. Kiedyś Jack oglądał mecz w telewizji. Quarterback uległ kontuzji i znieśli go na noszach z boiska. Wtedy o tobie pomyślałam.
 - Z sympatią?
 - Powiedzmy.
 - Ja myślę o tobie cały czas.
- Głośno westchnęła. Łód pękł, choć tylko trochę. Pochyliła się do przodu i podparła łokciami.
- Otworzyły się drzwi i wyszła pani Lane z tacą.
- Pomyślałam, że może napijecie się gorącej czekolady -powiedziała, stawiając ją między nimi.
 - Dziękujemy - odrzekł Neely.
 - Będzie wam cieplej. Cameron, powinnaś włożyć skarpetki.

- Tak, mammo.

Drzwi się zamknęły. Na czekoladę nawet nie spojrzeli. Neely chciałby pogadać, tak długo, od serca, żeby zamknąć wiele spraw z wielu lat. Kiedyś bardzo go kochała i pragnęła, żeby to teraz potwierdziła. Żeby się rozplakała, wybuchła gniewem, żeby ostro się posprzecwali. Pragnęła też, żeby szczerze mu wybaczyła.

- Oglądałaś mecz? - spytał.

- Nie. Jack oglądał. Ja tylko przechodziłam przez pokój.

- Jack lubi futbol?

- Nie. Gdyby lubił, nie wyszłabym za niego za mąż.

- A ty? Wciąż nie znosisz?

- Powiedzmy. Żeby uniknąć futbolu, poszłam do Hollins, bo to żeński college. Moja córka niedawno zaczęła szkołę. Chodzi do prywatnej. Bez futbolu.

- W takim razie, dlaczego tu przyjechałaś?

- Dla Miss Lili. Przez dwanaście lat uczyła mnie gry na pianinie.

- No tak.

- Na pewno nie przyjechałam tu, żeby uczcić Eddiego Rake'a. - Cameron podniosła kubek i ujęła go obiema rękami. Neely też.

Gdy stało się oczywiste, że nie zamierza szybko odchodzić, trochę się otworzyła.

- W college'u miałam koleżankę, której brat grał w reprezentacji uniwerku. Kiedyś, na drugim roku, weszłam do jej pokoju, kiedy oglądała mecz. Patrzę na ekran, a tam słynny Neely Crenshaw dyryguje drużyną Tech. Kibice szaleją, komentator unosi się z zachwytu nad młodym, wspaniałym quarterbackiem. Pomyślałam: Cóż, bardzo dobrze, zawsze tego chciał. Prawdziwy heros. Tłumy wielbicieli. Tłumy dziewczyn, które ścigają go po całym kampusie i padają mu w ramiona.

Przedmiot nieustannego uwielbienia. Najlepszy quarterback w Stanach, bohater mas. Cały Neely.

- Dwa tygodnie później wylądowałam w szpitalu. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiedziałam. Nie śledziłam twojej wspaniałej kariery.

- Kto ci powiedział?

- Wróciłam do domu na święta Bożego Narodzenia i poszłam z Natem na lunch. Powiedział, że już nigdy nie będziesz grał. To taki głupi sport. Chłopcy i młodzi mężczyźni zostają kalekami na całe

życie.

- To prawda.

- No więc powiedz mi, Neely, gdzie są teraz te wszystkie dziewczęta, te małe dziweczki i dupofanki? Co się z nimi dzieje, gdy bohater przestaje być bohaterem?

- Znikają.

- To cię pewnie dobiło.

Dużo lepiej, pomyślał Neely, robimy postępy. Niech uleje trochę jadu.

- W tej kontuzji nie było nic miłego.

- I co? I stałeś się zwykłym człowiekiem, takim jak my wszyscy?

- Chyba tak, ale człowiekiem z ciężkim bagażem doświadczeń. Niełatwo być zapomnianym bohaterem.

- I jeszcze się nie przystosowałeś, co?

- Kiedy jesteś sławny, mając osiemnaście lat, przez resztę życia powoli gaśniesz. Śnisz o dniach chwały, ale wiesz, że już nigdy nie wrócą. Żałuję, że w ogóle spojrzałem na piłkę.

- Akurat.

- Byłbym zwykłym facetem. Miałbym zdrowe nogi i nie straciłbym ciebie.

- Przestań, nie rozklejaj się. Mieliśmy tylko szesnaście lat. Znowu zapadło długie milczenie.

Pili czekoladę i szykowali

się do drugiej kwarty meczu. Planował to spotkanie od wielu tygodni. Cameron nie spodziewała się, że go zobaczy. Mimo to wiedział, że element zaskoczenia mu nie pomoże. Że Cameron odeprze każdy atak.

- Nic nie mówisz - rzekł.

- Bo nie mam nic do powiedzenia.

- Przestań. Możesz się na mnie wyżyć, wygarnąć do mnie jak z armaty.

- Po co? Chcesz, żebym wróciła do złych wspomnień, które odpędzałam od siebie przez wiele lat?

Niby po co? Żeby znowu się sparzyć? Już się z tym uporałam, ale ty najwyraźniej nie.

- Opowiedzieć ci o Krzykuli?

- Wypchaj się. Pracuje jako kelnerka w tanim kasynie w Las Vegas. Paul Curry ją widział. Jest gruba i brzydka. Ma trzydzieści dwa lata i wygląda na pięćdziesiąt. Wyjechała do Hollywood.

Sypiała z każdym, kto mógł załatwić jej rolę, ale wygryzło ją milion innych dziewczyn z małych miasteczek, które przyjechały tam po to samo.

- I nic dziwnego.

- Paul mówi, że jest zmęczona życiem.

- W to wierzę. Była zmęczona już w szkole.

- Nie czujesz się przez to lepiej?

- Czułam się świetnie, dopóki nie przyszedłeś. Nie obchodzisz mnie ani ty, ani twoja była pani.

- Przestań, bądź szczerą. Przecież musisz mieć jakąś satysfakcję. Ona się stacza, a ty jesteś szczęśliwa. Wygrałaś.

- Ja z nianie rywalizowałam. Nic mnie to nie obchodzi.

- Wtedy obchodziło.

Odstawiła kubek i znowu pochyliła się do przodu.

- Czego ty chcesz, Neely? Żebym powiedziała ci coś oczywistego? Jako nastolatka kochałam się w tobie na zabój. To żadna niespodzianka, bo codziennie ci to powtarzałam. Ty mówiłeś to samo mnie.

Spędzaliśmy razem każdą wolną chwilę, siedzieliśmy razem na wszystkich zajęciach, wszędzie razem chodziliśmy. Ale potem zostałeś bohaterem i wszyscy chcieli uszczknąć z ciebie chociaż kawałeczek. Zwłaszcza Krzykula. Nosila krótkie spódniczki, miała długie nogi, ładny tyłek, jasne włosy i wielki biust, i w końcu zaciągnęła cię na tylne siedzenie samochodu. Doszedłeś do wniosku, że to fajne, że chcesz więcej. A ja byłam przyzwoita i słono za to zapłaciłam. Złamałeś mi serce, poniżyłeś mnie na oczach wszystkich znajomych, na długo zniszczyłeś mi życie. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie stąd wyjadę.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem.

- Ale zrobiłeś. - Była podenerwowana, łamał jej się głos. Zaciśnęła zęby, żeby nie pokazać mu, co czuje. Nie, nie będzie przez niego płakała, nie po tylu latach.

- Przepraszam. - Neely wstał, powoli i ostrożnie, żeby nie obciążać lewego kolana. Dotknął jej ramienia. - Dzięki, że pozwoliłaś mi to powiedzieć.

- Nie ma za co.

- Do widzenia.

Lekko kulejąc, wyszedł przez furtkę na chodnik. Był już przy samochodzie, gdy zwołała:

- Neely, zaczekaj!

Przeżywszy ognisty romans z Branda Skimmel, alias Krzykulą, nielicznym znaną również jako Tessa Canyon, znał wszystkie boczne alejki i opustoszałe uliczki Messiny. Okrążył Karr's Hill, gdzie na chwilę przystanęli, żeby popatrzeć na stadion. Kolejka żałobników wciąż wiała się na bieżni i wychodziła aż za bramę. Nad trybunami gospodarzy płonęły reflektory. Na parkingu roiło się od wjeżdżających i wyjeżdżających samochodów.

- Podobno Rake przyjeżdżał tu, żeby oglądać mecze. Po tym, jak go zwolnili.

- Powinni byli wsadzić go do więzienia. - Odezwała się pierwszy raz, odkąd wsiadła do samochodu.

Zaparkowali przed boiskiem treningowym i weszli bramą na trybuny dla gości. Wspięli się na samą górę i usiedli, wciąż daleko od siebie, choć bliżej niż na ganku. Przez długi czas patrzyli na drugą stronę płyty boiska.

Biały namiot wyglądał jak mała piramida. Trumna tonęła w kwiatkach. Wokół niej stał tłum, jak to na czuwaniu. Miss Lili i jej rodziny już nie było. Wokół namiotu i wzdłuż linii bocznej boiska wyrosły góry kwiatów. Bieżnią przesuwawała się powoli kolejka pogrążonych w milczeniu ludzi, którzy cierpliwie czekali, żeby wpisać do księgi kondolencje, spojrzeć na trumnę, może uronić łzę i pożegnać człowieka-legendę. Na trybunach dla gospodarzy siedziały grupki zawodników. Byli w różnym wieku. Jedni rozmawiali, inni się śmiali, ale większość po prostu patrzyła na boisko, na namiot i trumnę.

Na trybunach dla kibiców gości siedziało tylko dwoje ludzi. Nikt ich nie zauważył.

Cameron odezwała się pierwsza.

- Co to za ludzie? - spytała cicho. - Ci po drugiej stronie.

- Zawodnicy. Wczoraj i przedwczoraj czekałem tam, aż Rake umrze.

- Przyjechali? Wszyscy?

- Większość. Ty też przyjechałaś.

- Oczywiście. To pogrzeb naszego najsłynniejszego mieszkańca.

- Nie lubiłaś go, prawda?

- Nie byłam jego fanką. Miss Lila jest silna, ale też nie zdołała stawić mu czoła. Był zamordystą na boisku i nie potrafił sobie odpuścić, gdy wracał do domu. Nie, nic mnie nie obchodził.

- Znienawidziłaś futbol.

- Znienawidziałam ciebie, a przez ciebie futbol.

- Zuch dziewczyna.

- To było głupie. Dorośli mężczyźni płaczący po porażce jak dzieci. Miasto, które umiera z niepokoju przed każdym meczem. W każdy piątek rano modlitwy przy śniadaniu, jakby Boga obchodziło, kto wygra mecz dwóch drużyn z ogólniaka. Więcej pieniędzy na futbol niż na wszystkie inne dyscypliny sportowe razem wzięte. Nabożne czczenie siedemnastoletnich chłopców, którzy szybko nabierają przekonania, że naprawdę warto ich czcić. Ta dwulicowość: futbolista zrzuca na klasówce i wszyscy go kryją. Zrzuca ktoś inny i go zawieszają. Te głupie siksy, które tylko czekają, żeby wskoczyć do łóżka Spartaninowi. Wszystko dla dobra drużyny. Messina żąda, żeby młode dziewczice poświęciły cnotę na futbolowym ołtarzu. Aha, omal nie zapomniałam. Te wasze tancerczki! Każdy gracz dostaje w prezencie małą niewolnicę, która w środę piecze mu ciasteczka, w czwartek maluje tajemne znaki na jego podwórze, bo to przynosi szczęście, w piątek czyści mu hełm, a w sobotę? Co robiły w sobotę? Dawały wam dupci?

- Tylko jeśli chcieliśmy.

- To smutne. Dzięki, że mi tego oszczędziłaś. Rzeczywiście smutne, zwłaszcza z perspektywy piętnastu lat.

- Ale na mecze przychodziłaś.

- Byłam tylko na kilku. Masz pojęcie, jak tu jest w piątek wieczorem, kiedy całe miasto siedzi na stadionie? Nigdzie żywego ducha. Phoebe Cox i ja wślizgiwałyśmy się ukradkiem na trybuny dla gości. Zawsze życzyłyśmy wam przegranej, ale nie przegraliście, przynajmniej nie tutaj. Nabijałyśmy się z orkiestry, z cheerleaderek, tancerek i z całej reszty, bo byłyśmy poza.

Nie mogłam się doczekać, kiedy wyjadę do college'u.

- Wiedziałem, że tu jesteś.

- Nieprawda, nie wiedziałeś.

- Przysięgam, wiedziałem.

Z trybun naprzeciwko dobiegł cichy śmiech - pointa kolejnej opowieści o Rake'u. Neely dostrzegł ledwo widoczne sylwetki Silosa i Paula w grupie dziesięciu innych graczy pod budką dla prasy. Piwo lało się strumieniami.

- Po tym, jak przeniosłeś się z Krzykulą na tylne siedzenie samochodu i odstawiłeś mnie na bocznice, zostały nam jeszcze dwa lata nauki. Były takie chwile, kiedy widziałam cię na korytarzu czy w bibliotece, a nawet w klasie i na ułamek sekundy spotykaliśmy się wzrokiem. Ten zadziorny, ten szydery uśmiezek gdzieś wtedy zniknął, zniknęła cała arogancja bohatera ludu.

Przez ten ułamek sekundy patrzyłeś na mnie jak na zwyczajną dziewczynę i wiedziałam, że wciąż ci na mnie zależy. Przyjęłabym cię z powrotem w okamgnieniu.

- Bardzo tego chciałem.
 - Trudno w to uwierzyć.
 - Tak było.
 - Ale rozkosze seksu oczywiście przeważały. Nie mogłem się powstrzymać.
 - Moje gratulacje. Ty i Krzykula rozpoczęliście tę przygodę w wieku szesnastu lat. Spójrz na nią teraz. Jest gruba i zmęczona życiem.
 - Była w ciąży. Pamiętasz te plotki?
 - Żartujesz. Od plotek roi się tu jak od komarów.
 - W wakacje przed ostatnim rokiem nauki powiedziała mi, że nie ma okresu.
 - Cóż za niespodzianka. Podstawy biologii.
 - Pojechaliśmy do Atlanty, zrobiła skrobankę i wróciliśmy. Przysięgam, że nikomu o tym nie mówiłem.
 - Odpoczywała przez dobę i znowu do wyrka, tak?
 - Coś w tym stylu.
 - Posłuchaj, mam dość rozmowy o twoim życiu seksualnym. Przez wiele lat ciążyło na mnie jak kłątwa. Albo zmienisz temat, albo wysiadam.
- Znowu zapadło niezręczne milczenie. Patrzyli na kolejkę do księgi z kondolencjami, zastanawiając się, co powiedzieć. W twarz powiał im wiatr i Cameron przytuliła ręce do piersi. Miał ochotę ją objąć i z trudem się powstrzymał. Nic by z tego nie wyszło.
- Nie spytałaś mnie nawet, ja mi się żyje.
 - Przepraszam. Przestałam o tobie myśleć dawno temu. Nie potrafię kłamać, Neely. Już się dla mnie nie liczysz.
 - Zawsze waliłaś prosto z mostu.
 - Tak jest chyba lepiej. Po co tracić czas.
 - Handluję nieruchomościami, mieszkam z psem, spotykam się z dziewczyną, która mi się nie podoba, z mężatką z dwojgiem dzieci i tęsknię za byłą żoną.
 - Dlaczego się rozwiedliście?
 - Załamała się. Dwa razy poroniła, za drugim razem w czwartym miesiącu. Zrobiłem błąd.

Nieopatrznie powiedziałem jej, że kiedyś zapłaciłem za skrobankę, i zaczęła mnie o wszystko obwiniać. I słusznie. Prawdziwe koszty skrobanki są dużo większe niż nędzne trzysta dolarów.

- Bardzo mi przykro.

- Dziesięć lat po tym, jak pojechałem z Krzykulą do Atlanty, dokładnie dziesięć lat, co do tygodnia, poroniła drugi raz. To był chłopiec.

- Chciałabym już wrócić.

- Przepraszam.

Znowu siedzieli na schodach ganku. Światła pogasły, pani Lane poszła spać. Było po jedenastej.

- Powinieneś już iść - powiedziała Cameron po kilku minutach milczenia.

- Tak.

- Mówiłeś, że cały czas o mnie myślisz. Mogę wiedzieć dlaczego?

- Do chwili, kiedy moja żona spakowała się i wyjechała, nie miałem pojęcia, jak boli złamane serce. To był koszmar. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jak bardzo musiałaś cierpieć.

Zrozumiałem, jaki byłem okrutny.

- Przejdzie ci. Mniej więcej za dziesięć lat.

- Dzięki.

Ruszył w stronę chodnika, ale zawrócił.

- Ile lat ma Jack?

- Trzydzieści siedem.

- A więc statystycznie rzecz biorąc, umrze przede mną. Zadzwoń. Będę czekał.

- Jasne, na pewno.

- Przysięgam. Nie pociesza cię świadomość, że ktoś zawsze będzie na ciebie czekał?

- Nigdy o tym nie myślałam. Nachylił się i spojrzał jej w oczy.

- Mogę pocałować cię w policzek?

- Nie.

- W pierwszej miłości jest coś magicznego. Coś, czego będzie mi brakowało do końca życia.

- Do widzenia, Neely.

- Mogę powiedzieć, że cię Kocham?

- Nie. Do widzenia.

PIĄTEK

Nigdy dotąd Messina nie pogрузyła się w tak wielkiej żałobie. Do dziesiątej rano w piątek pozamykano wszystkie knajpki i urzędy przy rynku. Ze szkół pozwalniano uczniów. Zamknięto sąd.

Zamknięto wszystkie podmiejskie fabryki; robotnikom dano urlop, chociaż niewielu się z tego cieszyło.

Mal Brown rozstawił swoich zastępców wokół ogólniaka, gdyż przechodzącą tamtędy ulicą od samego rana ciągnął sznur samochodów jadących na stadion Rake'a. O jedenastej wszystkie ławki na trybunach dla gospodarzy były już zajęte, a wokół stojącego na linii pięćdziesięciu jardów namiotu kłębił się tłum byłych zawodników, byłych bohaterów. Większość z nich miała na sobie zielone koszulki - rozdawano je w prezencie wszystkim graczom z ostatnich klas - i koszulki te były w większości bardzo opięte na brzuchu. Kilku zawodników - prawników, lekarzy i bankowców -

przyszło w sportowych kurtkach, lecz spod kurtek przebijała klubowa zieleń.

Siedzący na trybunach kibice patrzyli z góry na namiot i boisko, ciesząc się, że mają oto okazję oglądać najsłynniejszych herosów futbolu. Największą sensację wzbudzali ci z zastrzeżonymi numerami. „To Roman Armstead, numer osiemdziesiąt jeden”, mówiono. „Grał w Packersach. A tamten to Neely, dziewiętnastka”.

Pod namiotem grał kwartet smyczkowy z ogólniaka i dzięki głośnikom słychać ich było na całym stadionie. Na trybunach robiło się coraz gęściej.

Trumny nie było. Eddie Rake leżał już w grobie. Bez żadnej pompy przyjechała na stadion Miss Lila z rodziną i przez pół godziny obejmowała i ścisnęła zawodników przed namiotem. O dwunastej na płytę boiska wyszedł pastor z chórem, ale ludzi wciąż przybywało. Gdy wypełniły się wszystkie ławki na trybunach dla gospodarzy, zaczęli stawać przy ogrodzeniu wokół bieżni. Nikt się nie spieszył. To była chwila, którą Messina pragnęła uczcić i zapamiętać.

Rake chciał, żeby jego zawodnicy usiedli na małym podium przed namiotem. Chciał też, żeby mieli na sobie zielone koszulki i prośbę tę przekazywano sobie z ust do ust już od kilku dni. Na przykrytej brezentem bieżni ustawiono łukami kilkaset składanych krzeseł. O wpół do pierwszej ojciec McCabe dał znak i zawodnicy zaczęli zajmować miejsca. Miss Lila z rodziną zasiadła w pierwszym rzędzie.

Neely siedział między Paulem Currym i Silosem Mooneyem. Dołączyło do nich trzydziestu innych zawodników z osiemdziesiątego siódmego. Dwóch już nie żyło, sześciu gdzieś przepadło. Pozostali nie mogli przyjechać.

Przy północnej bramce zaczęły zawodzić dudy i tłum ucichł. Silos niemal natychmiast zaczął

wycierać łzy. Nie on jeden. Zanim przebrzmiały ostatnie smutne tony, żałobnicy zdążyli się już rozkleić i przygotować na prawdziwe emocje. Ojciec McCabe powoli podszedł do prowizorycznej mównicy i poprawił mikrofon.

- Dzień dobry - powiedział wysokim, piskliwym głosem, który dzięki głośnikom słychać było kilometr dalej. - Witam was na obrządku życia i śmierci Eddiego Rake'a. W imieniu pani Lili Rake, jej trzech córek, ośmiorga wnuków i pozostałych członków rodziny, witam was i dziękuję, że zechcieliście przyjść.

Przerzucił kartkę.

- Carl Edward Rake urodził się siedemdziesiąt dwa lata temu w Gaithersburgu w stanie Maryland.

Czterdzieści osiem lat temu pojął za żonę pannę Lilę Sauders. Czterdzieści cztery lata temu zarząd naszej szkoły średniej zaangażował go na stanowisko głównego trenera drużyny futbolowej. Miał

wtedy dwadzieścia osiem lat, nigdy przedtem nikogo nie trenował i zawsze powtarzał, że dostał tę pracę tylko dlatego, że nikt inny nie chciał jej wziąć. Szkolił naszych chłopców przez trzydzieści cztery lata, wygrał ponad czterysta meczów, zdobył trzynaście tytułów mistrza stanu; wszyscy znamy te statystki, te i pozostałe. Ale co ważniejsze, wywarł olbrzymi wpływ na nasze życie, na życie każdego mieszkańca Messiny. Coach Rake zmarł w środę w nocy. Pogrzebaliśmy go dziś rano, podczas prywatnej, rodzinnej ceremonii. Na jego osobiste życzenie, i za zgodą państwa Reardonów, złożyliśmy go do grobu obok Scotty'ego. Coach Rake powiedział mi w zeszłym tygodniu, że Scotty mu się śni, że nie może się już doczekać, kiedy spotka go w niebie, że chciałby go objąć i przeprosić.

Z doskonałym wyczuciem chwili zamilkł, żeby ludzi zatkało ze wzruszenia. Otworzył Biblię.

Już miał zacząć mówić, gdy w bramie wybuchło jakieś zamieszanie. Głośno zaskrzeczało radio, trzasnęły drzwiczki, rozległy się jakieś głosy. Ludzie wstawali z miejsc, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ojciec McCabe podniósł głowę, spojrział w tamtą stronę i wszyscy poszli za jego wzrokiem.

Szybkim, energicznym krokiem z bramy wymaszerował wielkolud, prawdziwy olbrzym. Był to Jesse Trapp ze strażnikiem po lewej i prawej ręce. Miał na sobie starannie odprasowane więzienne spodnie i koszulę; kajdanki mu zdjęto. Strażnicy, niewiele niżsi od niego, byli w mundurach. Tłum rozpoznał go i zamarł. Jesse szedł wzdłuż linii bocznej boiska dumnie wyprostowany, z wysoko podniesioną głową, lecz i z wyrazem lekkiej niepewności na twarzy. Gdzie usiąść? Czy będzie tu pasował? Jak go przyjmą? Gdy doszedł do końca trybun, ktoś przykuł jego uwagę. Ktoś go zawołał i Jesse gwałtownie przystanął.

Była to jego matka, niska kobiecina przy ogrodzeniu. Jesse skoczył w tamtą stronę i mocno ją objął.

Strażnicy wymienili spojrzenia, jakby chcieli się upewnić, że tak, więzień może przytulić matkę.

Z wygniecionej papierowej torby na zakupy pani Trapp wyjęła zieloną koszulkę. Numer pięćdziesiąty szósty, zastrzeżony w roku 1985. Jessie wziął ją i spojrział na bieżnię, na kolegów, którzy wyciągali szyje, żeby go zobaczyć. Na oczach dziesięciu tysięcy ludzi, którzy kiedyś domagali

się wrzaskiem, żeby zmiażdżył tego czy innego przeciwnika, szybko rozpiął i zdjął

koszulę, demonstrując najpiękniej ukształtowane i opalone mięśnie, jakie tamci kiedykolwiek widzieli, po czym znieruchomiał, jakby cieszył się tą chwilą, jakby chciał, żeby kibice cieszyli się wraz z nim.

Potem wziął zieloną koszulkę, włożył ją przez głowę, naciągnął, poprawił tu i tam, wreszcie uznał, że leży, jak trzeba. Opinała mu bicepsy i pierś i każdy Spartanin dałby się żywcem pokroić, żeby wyglądać w niej tak dobrze jak on. Zwisiała luźno w wąskim pasie i gdy wetknął ją do spodni, materiał napiął się tak mocno, jakby miał zaraz pęknąć. Jesse jeszcze raz przytulił matkę.

Ktoś krzyknął, kilkunastu kibiców wstało i zaczęło klaskać. Witaj w domu, Jesse, wciąż cię kochamy. Na trybunach zadudniło. Dziesięć tysięcy ludzi wstało w miejsc i przez stadion Rake'a przetoczyła się fala ogłuszających oklasków - Messina tuliła do piersi upadłego bohatera. Jesse skinął głową, niezdarnie pomachał im ręką i ruszył w stronę podium. Gdy uścisnął rękę ojcu McCabe'owi i objął Miss Lilę, owacja przybrała na sile. Potem, co krok padając w objęcia kolegom, przebił się między nimi i usiadł na wolnym krześle, które ugięło się pod jego ciężarem. Twarz miał

mokrą od łez.

Ojciec McCabe odczekał, aż tłum ucichnie. Tego dnia nikt się nie spieszył, nikt nie patrzył na zegar.

McCabe poprawił mikrofon i powiedział:

- Jednym z ulubionych fragmentów Biblii trenera Rake'a był Psalm 23. Czytaliśmy go razem w zeszły poniedziałek. Szczególnie upodobał sobie ten werset: „Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę, boś Ty ze mną, laska twoja i kij twój mnie pocieszają”*. Eddie Rake przeżył życie bez strachu. Swoich zawodników uczył, że dla nieśmiałych i bojaźliwych nie ma miejsca wśród zwycięzców. Że ci, którzy nie ryzykują, nie mogą oczekiwać żadnej nagrody. Kilka miesięcy temu pogodził się z myślą, że umrze, że to nieuniknione. Ale nie bał się choroby ani cierpienia, które choroba ta miała mu przynieść. Nie bał się pożegnać z tymi, których ukochał. Nie bał się umierać.

Wierzył w Boga mocno i niewzruszenie. Mawiał, że „śmierć to ledwie początek”.

Ojciec McCabe skłonił się lekko i zszedł z podium. Jakby na umówiony znak, zaczął cicho nucić żeński chór z murzyńskiego kościoła. Po krótkiej rozgrzewce ubrane w szkarłatne i złociste szaty dziewczęta odśpiewały porywającą wersję *Amazing Grace*. Śpiew wzbudził emocje, jak zwykle przy takich okazjach. I wspomnienia. Spartanie zatoneśli w myślach.

Myśli Neely'ego zawsze krążyły wokół tego samego: uderzenie w twarz, złamany nos, hak, który pozbawił Rake'a przytomności, dramatyczny zwrot w meczu i tytuł mistrza stanu. Zawsze też próbował iść dalej, przeciw naprzód, próbował zapomnieć o bolesnych chwilach i odtwarzać w pamięci te dobre.

* Biblia, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1990.

Rzadko spotyka się trenera, który potrafi zmotywować zawodników do tego stopnia, że przez całe

życie szukają u niego aprobaty. Od szóstej klasy, odkąd pierwszy raz włożył zieloną koszulkę, Neely robił wszystko, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. I przez następne sześć lat, każdym celnym podaniem, każdym ćwiczeniem na treningu, każdym rozegranym meczem, każdą przemową do zawodników w szatni, każdym zdobytym przyłożeniem, każdą dobrze przeprowadzoną akcją, każdą zwalczoną pokusą, każdą nagrodą próbował zdobyć jego szacunek i akceptację. Chciał widzieć jego twarz, gdy zdobył puchar Heismana. Marzył o jego telefonie, gdy wraz z drużyną Tech zdobył mistrzostwo kraju.

I rzadko spotykany to trener, który potęguje każdą życiową porażkę długo po tym, gdy zawodnik zakończył karierę. Gdy lekarze powiedzieli Neely'emu, że już nigdy nie zagra, poczuł się tak, jakby go zawiódł. Gdy rozpadło się jego małżeństwo, niemal widział pełną dezaprobaty minę na jego twarzy. Gdy stało się jasne, że jego smętna, pozbawiona ambicji kariera w handlu nieruchomościami prowadzi donikąd, Rake dał mu stosowny wykład i gdyby tylko Neely znalazł się bliżej, na pewno by go usłyszał. Miał nadzieję, że jego śmierć zabije demona, który go dręczył, choć z drugiej strony bardzo w to wątpił.

Gdy chór skończył śpiewać, do mównicy podeszła Ellen Rake, najstarsza córka trenera. Podobnie jak jej siostry, uciekła z Messyny zaraz po ogólniaku i wracała tu tylko wtedy, gdy wymagały tego sprawy rodzinne. Cień ich słynnego ojca był zbyt wielki, żeby mogły przeżyć w tak małym mieście.

Miała czterdzieści kilka lat, była psychiatrą w Bostonie i robiła wrażenie kogoś, kto tu nie pasuje.

Rozłożyła kartkę i przeczytała:

-

W imieniu rodziny dziękuję państwu za modlitwy i wsparcie w ostatnich tygodniach życia mojego ojca. Ojciec umierał odważnie i z godnością. Chociaż jego ostatnie lata nie należały do najlepszych, zawsze kochał to miasto i jego mieszkańców, a zwłaszcza swoich zawodników.

Żaden z nich nigdy nie słyszał, żeby Coach kiedykolwiek wypowiedział to słowo. Jeśli naprawdę ich kochał, okazywał to w dziwny sposób.

- Ojciec

napisał krótki list i prosił mnie, żebym go odczytała. - Ellen poprawiła okulary, odchrząknęła i wbiła wzrok w kartkę. - „To ja, Eddie Rake. Mówię do was zza grobu. Jeśli płaczecie, proszę, żebyście przestali”. - Tu i ówdzie buchnął śmiech. Ludzie łaknęli chwili odprężenia. - „Nie lubiłem łez. Moje życie dobiegło już końca, więc po mnie nie płaczcie. Nie opłakujcie też wspomnień. Nigdy nie patrzcie za siebie; za wiele jest do zrobienia. Jestem szczęściarzem, bo przeżyłem cudowne życie. Miałem na tyle zdrowego rozsądku, żeby ożenić się z Lila, gdy tylko zdołałem ją do tego namówić i Bóg pobłogosławił nas trzema pięknymi córkami oraz - wedle moich ostatnich obliczeń - ośmiorgiem wspaniałych wnuków. Wystarczy-

łoby już samo to. Ale Bóg chował w zanadrzu jeszcze więcej błogosławieństw. Zaprowadził

mnie do Messiny, do domu. I właśnie tu, w domu, spotkałem was, moich przyjaciół i zawodników. Chociaż nigdy nie umiałem okazywać uczuć, chcę, żebyście wiedzieli, że umiłowałem każdego z was. Po co zdrowy na umyśle człowiek miałby trenować drużynę ogólniaka przez trzydzieści cztery lata? Mnie przyszło to bez trudu. Kochałem moich graczy. Ani razu im tego nie powiedziałem, lecz po prostu nie leżało to w mojej naturze. Dużo razem osiągnęliśmy, ale nie chcę powracać teraz do zwycięskich meczów i mistrzowskich tytułów. Wybrałem tę chwilę, żeby opowiedzieć wam o tym, czego w życiu żałuję". - Ellen ponownie odchrząknęła i tłum wstrzymał oddech. - „A żałuję tylko dwóch rzeczy. Dwie rzeczy i trzydzieści cztery lata pracy.

Mówiłem, że ze mnie szczęściarz. Największy żal mam do siebie za Scotty'ego Reardona. Nigdy nie przypuszczałem, że będę odpowiedzialny za śmierć mojego zawodnika, i biorę tę winę na siebie. Gdy umierał, trzymałem go w ramionach i od tamtej chwili nie było dnia, żebym po nim nie płakał. Wyraziłem moje uczucia jego rodzicom i myślę, że z czasem mi przebaczyli.

Przebaczenie to zabieram ze sobą do grobu. Jestem teraz ze Scottym i pozostanę z nim na wieczność. Pogodzeni, patrzmy na was z góry". - Ellen wypila łyk wody. Na stadionie panowała głucha cisza. - „Bardzo żałuję również tego, co stało się podczas meczu o mistrzostwo stanu w roku osiemdziesiątym siódmym. Podczas przerwy po pierwszej połowie w napadzie szału uderzyłem zawodnika, naszego quarterbacka. Popełniłem przestępstwo, za które powinno się było odsunąć mnie na zawsze od futbolu. Przepraszam za ten czyn. Patrząc, jak moja drużyna zмага się z przeciwnikiem i wbrew wszystkiemu wygrywa, nigdy nie odczuwałem większej dumy i większego bólu. To zwycięstwo było najświetniejszą godziną mojego życia. Proszę, wybaczcie mi, chłopcy".

Neely zerknął w prawo i w lewo. Wszystkie głowy były pospuszczane, oczy zamknięte. Silos ocierał twarz.

- „Dość już złych wspomnień. Przekazuję wyrazy miłości Lili, moim córkom i wnukom.

Wkrótce spotkamy się znowu, za rzeką, na ziemi obiecanej. Zostańcie z Bogiem".

Chór zaśpiewał *Just a Closer Walk with You* i popłynęły łzy.

Neely zastanawiał się, czy Cameron nad sobą panuje. Podejrzewał, że tak.

Rake prosił trzech graczy o wygłoszenie mowy pogrzebowej. Byle krótkiej, zażądał, leżąc na łożu śmierci. Jako pierwszy wystąpił Mike Hilliard, obecnie sędzia sądu okręgowego w małym mieście, niecałe dwieście kilometrów od Messiny. W przeciwieństwie do pozostałych Spartan, był w garniturze -dość wygniecionym zresztą- i w przekrzywionej muszce. Podszedł do mównicy i przytrzymał się jej obiema rękami. Przemawiał bez notatek.

- Grałem w pierwszej drużynie Coacha Rake'a w pięćdziesiątym ósmym - zaczął skrzekliwie, mocno przeciągając samogłoski. - Rok przedtem wygraliśmy trzy mecze, przegraliśmy siedem i uważaliśmy, że to dobry sezon, bo w finałach pobiliśmy chłopaków z Porterville. Trener wyjechał, z trenerem wszyscy asystenci i przez jakiś czas baliśmy się, że nie znajdziemy nikogo, kto by nas poprowadził. Wtedy zaangażowano Eddiego Rake'a, młodzieńca niewiele starszego od nas. Pierwszą rzeczą, jaką

nam powiedział, było to, że jesteśmy bandą żalonych fajtlap, że przegrywanie jest zaraźliwe, że ci, którzy myślą, że przegrają w jego ekipie, od razu mogą wracać do domu. Tego roku do drużyny zapisało się czterdziestu jeden chłopców. W

sierpniu Coach Rake zabrał nas na przykościelny obóz w hrabstwie Page i po czterech dniach było nas już tylko trzydziestu. Po tygodniu dwudziestu pięciu i pomyśleliśmy, że jak tak dalej pójdzie, nie starczy nas na obsadzenie składu drużyny. Treningi były mordercze. Codziennie po południu jeździł autobus do Messiny i mogliśmy nim wracać. Po dwóch tygodniach autobus był pusty i przestał kursować. Chłopcy, którzy zrezygnowali, opowiadali w domu potworne historie o tym, co dzieje się na obozie Rake'a; niebawem zaczęto go tak nazywać. Rodzice wpadli w popłoch.

Matka mówiła mi potem, że czuła się tak, jakbym poszedł na wojnę. Niestety, byłem na wojnie. I wolałem wojnę niż pobyt na obozie Rake'a.

Do Messiny wróciło nas tylko dwudziestu jeden: dwudziestu jeden chłopaków, którzy nigdy w życiu nie byli w lepszej formie. Byliśmy mali i powolni, ale pewni siebie. Czekał nas mecz z Fulton, z drużyną, która poniżyła nas rok przedtem. Starsi z was na pewno to pamiętają. Po pierwszej połowie prowadziliśmy dwadzieścia do zera i Rake zwrzeszczał nas, bo popełniliśmy kilka błędów. Genialność jego taktyki sprowadzała się do bardzo prostej rzeczy: stosować podstawowe zagrywki i ćwiczyć je non stop, aż do absolutnej perfekcji. To nauczka, której nie zapomnę do końca życia. Wygraliśmy mecz i skakaliśmy z radości w szatni, gdy wszedł Rake i kazał nam się zamknąć. Najwyraźniej coś poszło nie tak. Kazał nam zostać w strojach, a kiedy kibice wyszli ze stadionu, wróciliśmy na boisko i trenowaliśmy do północy. Ćwiczyliśmy dwie zagrywki dopóty, dopóki nie doszliśmy w nich do mistrzostwa. Czekwały na nas dziewczyny. Czekali rodzice. To miło, że wygraliśmy mecz, ale ludzie zaczęli podejrzewać, że Rake to wariat.

Zawodnicy wiedzieli o tym już od kilku tygodni.

Tamtego roku wygraliśmy osiem meczów, przegraliśmy tylko dwa i tak zrodziła się legenda Eddiego Rake'a. Kiedy byłem w maturalnej klasie, przegraliśmy jeden mecz, a w roku sześć-

dziesiątym Coach Rake zaliczył pierwszy sezon bez porażki. Już studiowałem i nie mogłem wracać co piątek do domu, chociaż bardzo chciałem. Ten, kto gra dla Rake'a, wstępuje do małego ekskluzywnego klubu i z uwagą śledzi poczynania tych, którzy przychodzą po nim. Ja robiłem to przez trzydzieści dwa lata. W sześćdziesiątym czwartym siedziałem na tych trybunach, gdy rozpoczynała się złota seria, w siedemdziesiątym byłem w South Wayne, gdy się skończyła. Razem z wami oglądałem na boisku tych najlepszych, najwspanialszych: Wally'ego Webba, Romana Armsteada, Jesse'a Trappa i Neely'ego Crenshawa.

Na ścianach mojego zagraconego gabinetu wiszą zdjęcia trzydziestu czterech drużyn. Rake przysyłał mi je co roku. Bardzo często zamiast pracować, zapalałem fajkę, stawałem przed nimi i patrzyłem na twarze tych, których trenowałem. Chudzi, niewinnie uśmiechnięci, krótko ostrzyżeni biali chłopcy z lat pięćdziesiątych. Nieco bardziej zarośnięci chłopcy z lat sześćdziesiątych. Mniej uśmiechów, zawzięte miny; po ich twarzach widać, że nadciągają czarne chmury wojny, czas walki o prawa obywatelskie. Ciemnoskóre i białe twarze roześmianych chłopców z lat siedemdziesiątych i

osiemdziesiątych. Są rośniejsi, mają ładniejsze stroje; niektórzy z nich to synowie tych, z którymi kiedyś grałem. Wiem, że na każdym zawodniku patrzącym na mnie ze ściany Eddie Rake wywarł niezatarte piętno. Że oni wszyscy ćwiczyli i rozgrywali te same akcje, słyszeli te same słowa w szatni, te same wykłady, że musieli wytrzymać ten sam sierpniowy horror. I był taki czas, kiedy każdy z nas szczerze Rake'a nienawdził. Ale potem odeszliśmy. Nasze zdjęcia wiszą teraz na ścianie, a my spędzamy resztę życia, słysząc jego głos w szatni, tęskniąc za dniami, kiedy mogliśmy nazywać go trenerem.

Większość z tych twarzy widzę dzisiaj tutaj. Jesteśmy starsi, posiwieliśmy, niektórzy z nas trochę przytyli. Ale wszyscy jesteśmy smutni, bo żegnamy Coacha Rake'a. Dlaczego nas to obchodzi?

Dlaczego przyjechaliśmy? Dlaczego trybuny znowu pękają w szwach? Powiem wam dlaczego.

Niewielu z nas zrobi w życiu coś, co będzie uznane i zapamiętane choćby przez garstkę ludzi. Nie jesteśmy wielcy. Możemy być dobrzy, uczciwi, sprawiedliwi, pracowici, lojalni, życzliwi, hojni i bardzo porządni, możemy też tacy nie być. Ale nikt nie uważa nas za wielkich. Wielkość rodzi się tak rzadko, że kiedy ją widzimy, pragniemy jej dotknąć. I dzięki Eddiemu Rake'owi my, zawodnicy i kibice, mogliśmy to zrobić. Był wspaniałym trenerem, który stworzył świetny program treningowy i zapoczątkował cudowną tradycję, który dał nam coś, co będziemy pielęgnować w sobie do końca życia. Mam nadzieję, że większość z nas przeżyje jeszcze wiele szczęśliwych lat, ale już nigdy nie będziemy tak blisko wielkości jak wtedy. I właśnie dlatego tu przyjechaliśmy.

Bez względu na to, czy kochaliście Eddiego Rake'a, czy nie, nie możecie zaprzeczyć, że był wielki.

Był najwspanialszym człowiekiem, jakiego znałem. Moje najpiękniejsze wspomnienia pochodzą z czasów, kiedy mogłem włożyć zieloną koszulkę i zagrać na tym boisku. Tęsknię za tamtymi dniami.

Wciąż słyszę jego głos, czuję jego gniew i zapach potu, wciąż widzę jego dumnie podniesione czoło.

Zawsze będzie mi brakowało wielkiego Coacha Rake'a.

Hilliard zamilkł, skłonił się lekko i szybko odszedł od mikrofonu. Na stadionie zabrzmiały ciche, sporadyczne, niemal wstydlive oklaski. Gdy Hilliard wrócił na swoje miejsce, do mównicy godnie podszedł barczysty Murzyn w szarym garniturze. Pod marynarką miał zieloną koszulkę. Podniósł głowę i popatrzył na szczerze wypełnione trybuny.

- Dzień dobry - zaczął głosem, który nie potrzebował mikrofonu. - Wielebny Collis Suggs z Betelskiego Kościoła Boga w Chrystusie w Messinie.

Suggs nie musiał się przedstawiać, bo znali go wszyscy, którzy mieszkali w promieniu stu kilometrów od miasta. W 1970 Eddie Rake mianował go pierwszym czarnoskórym kapitanem drużyny. Przez krótki czas grał w A&M na Florydzie, potem złamał nogę i został pastorem. Stworzył

wielką kongregację i zaangażował się w politykę. Przez całe lata powiadano, że jeśli masz poparcie Rake'a i Suggsa, na pewno wygrasz wybory. Jeśli nie, lepiej się od razu wycofaj.

Od trzydziestu lat przemawiał w kościele i był znakomitym oratorem. Miał doskonałą dykcję i porywający głos. Powiadano, że Rake wkładał się w niedzielę wieczorem do kościoła i siadał w ostatniej ławce, żeby go posłuchać.

- Grałem w drużynie Eddiego Rake'a w sześćdziesiątym dziewiątym i siedemdziesiątym. -

Większość siedzących na trybunach widziała każdy jego mecz. - Pod koniec lipca sześćdziesiątego dziewiątego Sąd Najwyższy miał wreszcie dość. Od procesu Brown kontra Departament Szkolnictwa minęło piętnaście lat, a w większości szkół na Południu wciąż obowiązywała segregacja rasowa. Sąd przedsięwziął drastyczne kroki i na zawsze odmienił nasze życie. Pewnego gorącego letniego wieczoru graliśmy w kosza w sali gimnastycznej naszej szkoły, szkoły tylko dla kolorowych, gdy wszedł trener Thomas i powiedział: „Chłopcy, jedziemy do Messyny. Będziecie Spartanami.

Wsiadajcie do autobusu". Wsiadło nas dwunastu, prowadził trener. Byliśmy skonsternowani i wystraszeni. Wiele razy mówiono nam, że szkoły zostaną kiedyś zintegrowane, ale mijały kolejne terminy i nic się nie działo. Wiedzieliśmy, że ogólniak w Messynie ma wszystko co najlepsze, że są tam piękne budynki, piękne boiska, olbrzymia sala gimnastyczna, że jest tam mnóstwo pucharów i drużyna futbolowa, która wygrała pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt meczów z rzędu. I że mają tam trenera, który uważa się za Bóg wie kogo. Tak, baliśmy się, ale wiedzieliśmy, że musimy być dzielni.

Przyjechaliśmy do Messyny późnym wieczorem. Futbolisci dźwigali ciężary w wielkiej siłowni; nigdy w życiu nie widziałem tylu sztang i hantli. Czterdziestu złanych potem chłopaków wyciskało to wszystko i podrzucało. Gdy weszliśmy, zapadła głucha cisza. Oni patrzyli na nas, my na nich.

Wtedy podszedł do nas Eddie Rake. Przywitał się z trenerem Thomasem i powiedział: „Witajcie w nowej szkole". Każdemu z nas uściśnął rękę, kazał nam usiąść na macie i wygłosił krótką przemowę.

Powiedział, że nie obchodzi go, jakiego koloru jest nasza skóra. Że wszyscy jego gracze noszą jednakowe zielone koszulki. Że jego boisko jest idealnie równe. Że zwycięstwo jest wynikiem ciężkiej pracy, a on nie lubi przegrywać. Pamiętam, siedziałem na tej gumowej macie jak zahipnotyzowany. Rake od razu został moim trenerem. Można powiedzieć o nim wiele rzeczy, ale nigdy nie spotkałem człowieka, który potrafił poderwać do walki lepiej niż on. Miałem ochotę natychmiast włożyć naramienniki, wybiec na boisko i zaprawić kogoś bykiem.

Dwa tygodnie później rozpoczęliśmy dwudniowy trening sierpniowy i nigdy w życiu nie odczuwałem większego bólu. Rake mówił prawdę: kolor skóry nie miał znaczenia. Każdego z nas traktował jednakowo, jak psa.

W tych pierwszych dniach niepokojono się bardzo, czy nie dojdzie przypadkiem do jakichś bójek, do konfliktów na tle rasowym. Większość szkół miała z tym poważne kłopoty. Ale nie nasz ogólniak. Dyrektor mianował Rake'a odpowiedzialnym za bezpieczeństwo na terenie szkoły i wszystko potoczyło się gładko. Kazał nam włożyć zielone koszulki, dokładnie takie same, jakie mamy teraz na sobie, i poustawiał nas w pary: Murzyn z białym. Kiedy przyjeżdżały autobusy, szliśmy witać gości. Pierwszą rzeczą, jaką tu widzieli, była drużyna futbolowa, biali i czarni, a wszyscy w identycznych koszulkach. Paru napaleńców próbowało rozrabiać, ale szybko przemówiliśmy im do rozumu.

Potem wybuchły kontrowersje. Pierwsza dotyczyła cheerleaderek. Białe dziewczęta ćwiczyły przez całe lato. Coach Rake poszedł do dyrektora i powiedział, że trzeba pół na pół, połowa dziewcząt białych, połowa czarnych. I tak było. I wciąż tak jest. Potem wynikła sprawa orkiestry. Nie starczyło pieniędzy, żeby połączyć orkiestrę białą z czarną i ubrać wszystkich w jednakowe stroje. Wyglądało na to, że niektóre dzieciaki odpadną, zostaną za boczną linią. Rake poszedł do klubu sponsorów i oświadczył, że potrzebuje dwudziestu tysięcy dolarów na nowe stroje. Że Messina będzie miała największą orkiestrę w stanie. I taka orkiestra gra tu do dziś.

Integracja miała wielu przeciwników. Wielu białych myślało, że to tylko przejściowe, że kiedy sądy zrobią swoje, wszystko wróci do normy, że znowu nastaną czasy równości i segregacji. Ale powiem wam jedno: jeśli jest segregacja, nie ma równości. W naszej dzielnicy często spekulowano, czy biali trenerzy naprawdę zechcą wystawić czarnych zawodników. Było też wiele nacisków ze strony białych, którzy chcieli, żeby w pierwszym składzie drużyny grali wyłącznie biali. My trenowaliśmy z Eddiem Rakiem przez trzy tygodnie i wiedzieliśmy już, jak będzie. Pierwszy mecz tamtego sezonu graliśmy z Dakotą Północną. Tamci wystawili samych białych, chociaż na ławce rezerwowych siedziało piętnastu czarnych. Zналиśmy ich i wiedzieliśmy, że umieją dobrze grać. Rake wystawił najlepszych i bardzo szybko okazało się, że ci z Dakoty popełnili błąd. To była rzeź. Po pierwszej połowie prowadziliśmy czterdzieści jeden do zera. Gdy rozpoczęła się druga, tamci wprowadzili kilku czarnych i, muszę to uczciwie przyznać, trochę sobie odpuściliśmy. Sęk w tym, że z trenerem Rakiem nikt nie miał prawa sobie odpuścić. Jeśli przyłapał kogoś na objaniu się, natychmiast zdejmował go z boiska.

Rozniosła się wieść, że Messina wystawia czarnych zawodników, i wkrótce w nasze ślady poszły szkoły w całym stanie.

Eddie Rake był pierwszym białym, który na mnie wrzeszczał i który sprawił, że ten wrzask polubiłem. Gdy zrozumiałem, że naprawdę nie obchodzi go kolor mojej skóry, zrozumiałem również, że pójdę za nim choćby w ogień. Nienawidził niesprawiedliwości. Ponieważ nie był stąd, patrzył na wszystko z innej perspektywy. Nikt nie miał prawa nikogo krzywdzić i jeśli tylko Coach zwietrył, że coś jest nie tak, szykowała się tęga chryja. Mimo swej bezwzględności był

człowiekiem niezwykle wrażliwym na cierpienie innych. Gdy zostałem pastorem, zaangażował się w nasz program pomocy najuboższym. Otworzył drzwi swego domu dla dzieci porzuconych i skrzywdzonych. Jako trener nie zarabiał dużo, ale nigdy nie odmówił, gdy trzeba było kogoś ubrać czy nakarmić. Latem trenował naszą młodzież. Jak to on, na pewno szukał wśród niej chłopców, którymi mógłby się potem zająć. Organizował zawody w łowieniu ryb dla pólserot. I jak to on, nigdy nie domagał się za to uznania.

Wielebny wypił łyk wody. Tłum obserwował każdy jego ruch. Tłum czekał.

- Gdy zwolniono go z pracy, często z nim rozmawiałem. Był przekonany, że potraktowano go niesprawiedliwie. Ale w miarę upływu lat chyba pogodził się z losem. Wiem, że bardzo rozpacział po śmierci Scotty'ego Reardona. Dlatego jestem taki szczęśliwy, że dziś rano spoczął tuż obok niego.

Może nadeszła już pora położyć kres waśniom. To ironiczne, że człowiek, który naniósł to miasto na

mapę, który tyłu z nas zjednoczył, jest jednocześnie człowiekiem, który od dziesięciu lat tak bardzo nas dzieli. Zakopmy topór wojenny, złożmy broń, zawrzyjmy pokój. Dla niego. Wszyscy jesteśmy zjednoczeni w Chrystusie. A w tym cudownym małym miasteczku niechaj zjednoczy nas Eddie Rake. Niech Bóg błogosławi naszego trenera. Niech Bóg błogosławi was.

Kwartet smyczkowy zagrał smutną balladę, która trwała dziesięć minut.

Rake nie byłby sobą, gdyby nie miał ostatniego słowa. Nie byłby sobą gdyby po raz ostatni nie zmanipulował swoich zawodników.

Było oczywiste, że w tym momencie Neely nie jest w stanie powiedzieć o nim złego słowa.

Ostatecznie Rake przeprosił go z za grobu. A teraz chciał, żeby Neely stanął przed całym miastem, przyjął te przeprosiny i dodał kilka ciepłych słów od siebie.

Gdy dostał list od Miss Lili z wiadomością, że ma wygłosić mowę pogrzebową zaklął i mruknął:

„Dlaczego akurat ja?” Przecież z wieloma zawodnikami Rake był znacznie bliżej niż z nim. Paul podejrzewał, że jest to jego sposób na zawarcie ostatecznego pokoju z nim i z graczami drużyny z osiemdziesiątego siódmego.

Tak czy inaczej, nie mógł odmówić. Paul powiedział, że to po prostu nie wypada. Neely na to, że nigdy w życiu tego nie robił, że nigdy nie przemawiał ani do wielkiej, ani nawet do małej grupy ludzi i żeby tego uniknąć, poważnie się zastanawiał, czy nie zwać nocą z miasta.

Ruszył powoli przejściem między krzesłami. Nogi miał ciężkie, lewe kolano bolało go bardziej niż zwykle. Ale nie kulał, wytrzymał. Wszedł na podium, nie utykając i stanął przed mównicą. Spojrzał na tłum wpatrzonych w niego ludzi i omal nie zemdlał. Między liniami dwudziestego jarda widział szeroki mur twarzy sięgający pięćdziesiątego rzędu trybun przeznaczonego dla kibiców gospodarzy.

Wszyscy wyteżali wzrok, żeby podziwiać starego bohatera.

Nie próbując nawet walczyć, od razu uległ strachowi. Bał się i denerwował już od rana, ale teraz wpadł w przerażenie. Powoli rozłożył kartki, jeszcze wolniej przeczytał słowa, które pisał, skreślał i wielokrotnie przepisywał na nowo. Nie zwracał uwagi na tłum, powtarzał sobie w duchu. Nie możesz dać plamy. Ci ludzie pamiętają cię jako wspaniałego quarterbacka, a nie tchórza o łamiącym się głosie.

- Nazywam się Neely Crenshaw - zdołał powiedzieć w miarę pewnie i normalnie. Znalazł miejsce na ogrodzeniu wokół bieżni, dokładnie naprzeciwko, tuż nad głowami zawodników i tuż pod pierwszym rzędem ławek. Postanowił, że będzie patrzył właśnie tam, że za nic nie spojrzy w górę.

Usłyszawszy własny głos, trochę się uspokoił. - Grałem w drużynie Coacha Rake'a od roku osiemdziesiątego czwartego do osiemdziesiątego siódmego.

Ponownie spojrzął na kartkę i przypomniały mu się jego słowa. Strachu nie da się uniknąć, ale strach nie zawsze bywa zły. Opanuj go i wykorzystaj. Oczywiście chodziło mu o to, żeby zawodnik wypadł z szatni na boisko i znokautował pierwszego napotkanego przeciwnika. Ale co po takiej radzie, gdy trzeba było szukać kwiecistych słów?

Wbił wzrok w ogrodzenie, wzruszył ramionami i spróbował się uśmiechnąć.

- Posłuchajcie, nie jestem sędzią ani pastorem, nie umiem przemawiać do tłumów. Dlatego proszę was o cierpliwość.

Wielbiący go kibice darowaliby mu absolutnie wszystko.

Mnąc kartkę, zaczął czytać.

- Po raz ostatni widziałem Eddiego Rake'a w osiemdziesiątym dziewiątym. Leżałem w szpitalu, kilka dni po operacji, i późnym wieczorem wśliznąłem się ukradkiem do mojego pokoju. Przyszła pielęgniarka i kazała mu wyjść. Było już po godzinach odwiedzin. Powiedział jej bardzo dobitnie, że wyjdzie dopiero wtedy, gdy skończymy rozmawiać, ani sekundy wcześniej. Oburzona siostra prychnęła i wyszła.

Zerknął na kolegów. Wielu się uśmiechało. Głos miał twardy i donośny. Jakoś dawał sobie radę.

- Nie rozmawiałem z nim od meczu o mistrzostwo stanu w osiemdziesiątym siódmym. Teraz wiecie już dlaczego. To, co się wtedy stało, było naszą tajemnicą i postanowiliśmy nikomu jej nie zdradzać. Nie, nie zapomnieliśmy - to było niemożliwe - więc zachowaliśmy ten sekret tylko dla siebie. Tamtej nocy podniosłem głowę i zobaczyłem Rake'a. Siedział przy łóżku i chciał ze mną rozmawiać. Pierwsze chwile były niezręczne, ale potem zaczęliśmy gadać, plotkować. Przysunął

bliżej krzesło i gadaliśmy przez kilka godzin, jak nigdy przedtem. O dawnych meczach, o dawnych graczach. Wspominaliśmy historię naszego futbolu. I śmialiśmy się. Tak, to też. Spytał mnie o kolano. Kiedy powiedziałem mu, że według lekarzy już nigdy nie zagram, zwilgotniały mu oczy i długo nie mógł mówić. Kariera obiecującego zawodnika nagle dobiegła końca, więc spytał mnie, co zamierzam. Nie miałem pojęcia. Miałem tylko dziewiętnaście lat. Kazał mi obiecać, że skończę college, i obietnicy tej nie dotrzymałem. W końcu wrócił do sprawy tego meczu i mnie przeprosił.

Przeprosił i kazał mi przyrzec, że mu wybaczę. To kolejna obietnica, której nie dotrzymałem. Do teraz.

Nie zdając sobie z tego sprawy, w pewnej chwili oderwał wzrok od notatek i od ogrodzenia wokół bieżni. Patrzył na tłum.

- Gdy znowu nauczyłem się chodzić, stwierdziłem, że chodzenie na zajęcia wymaga zbyt dużo wysiłku. Poszedłem do college'u, żeby grać w futbol i kiedy futbol się nagle skończył, straciłem zainteresowanie nauką. Po dwóch semestrach wyrzucono mnie ze studiów i przez kilka lat włóczyłem się po kraju, próbując zapomnieć o Messinie, o Eddiem Rake'u i o niespełnionych marzeniach. Futbol

stał się brzydkim słowem. Rozgoryczenie wzbierało i narastało; postanowiłem już nigdy tu nie wracać. Tak, robiłem, co mogłem, żeby o nim zapomnieć.

Dwa miesiące temu doszła mnie wiadomość, że jest ciężko chory, że najprawdopodobniej umrze.

Czternaście lat minęło, odkąd zastrzegł mój numer. Czternaście lat minęło, odkąd moja noga postąpiła na tym boisku. Tak samo jak moi koledzy, poczułem, że coś wzywa mnie do domu, że nie mogę się temu wezwaniu oprzeć. Że coś wzywa mnie na *to* boisko, gdzie kiedyś byliśmy panami całego świata. Bez względu na to, co czułem do Eddiego Rake'a, wiedziałem, że muszę tu być, kiedy będzie umierał. Że muszę się z nim pożegnać. Że w końcu muszę szczerze przyjąć jego przeprosiny.

Powinienem był to zrobić już dawno temu.

Te ostatnie słowa wypowiedział z trudem. Przytrzymał się mównicy i spojrzał na Paula i Silosa.

Obydwaj kiwali głową jakby chcieli powiedzieć: „Dalej. Wal dalej”.

- Gdy ktoś grał w drużynie Eddiego Rake'a, nosi go w sercu do końca życia. Słyszy jego głos, widzi jego twarz, brakuje mu jego pochwalnego uśmiechu, pamięta jego połajanki i przemowy. Ilekroć odnosi jakiś sukces, chce podzielić się nim ze swoim trenerem. Chce powiedzieć: „Panie trenerze, niech pan spojrzy, czego dokonałem”. I podziękować mu, że nauczył go, iż sukces nigdy nie jest dziełem przypadku. A po każdej porażce chce go przeprosić, bo Eddie Rake nie uczył nas przegrywać. Rake nigdy nie godził się z porażką, dlatego zawsze pytamy go, jak się po niej otrząsnąć.

Nosimy go w sercu wszędzie i czasami mamy tego dość. Czasami mamy ochotę zepsuć coś i nie słyszeć jego połajanek. Ściąć narożnik i nie słyszeć jego gwizdka. Ale zawsze dobiega nas ten głos, głos, który każe nam dźwignąć się po upadku i wyznaczyć sobie nowy cel, pracować ciężiej niż inni, trzymać się podstawowych zasad, postępować dokładnie według nich, być pewnym siebie, być odważnym i nigdy, przenigdy się nie poddawać. Ten głos rozbrzmiewa zawsze tuż-tuż.

Odejdziemy stąd i Eddiego Rake'a jako człowieka już nie będzie. Ale jego duch będzie żył w sercach, umysłach i duszach wszystkich młodych chłopców, którzy kiedykolwiek się z nim zetknęli, chłopców, którzy wyrosli przy nim na mężczyzn. Jego duch będzie pobudzał nas do działania, będzie nas motywował i dodawał nam otuchy do końca życia. Minęło piętnaście lat, a ja myślę o nim o wiele częściej niż kiedyś.

Jest takie pytanie. Zadawałem je sobie tysiące razy i wiem, że zadawali je sobie pozostali zawodnicy. Pytanie to brzmi: Kocham Eddiego Rake'a czy go nienawidzę?

Głos mu osłabł i zaczynał się łamać. Neely zamknął oczy, zagryzł język i spróbował zebrać siły.

Otarł twarz i powoli kontynuował:

- Od chwili, gdy pierwszy raz zagwizdał i mnie zwrzeszczał, zadawałem je sobie codziennie.

Niełatwo go było kochać, a kiedy graliśmy na tym boisku, chyba nikt go nie lubił. Ale gdy się stąd odejdzie, gdy wyjedzie się z miasta, gdy życie porządnie nas kopnie, gdy powalczy się trochę z

przeciwnościami losu i dozna kilku porażek, szybko zdajemy sobie sprawę, jak ważny był dla nas Coach Rake. Jak ważny był i jak ważny jest, bo jego głos zawsze każe nam pozbierać się po upadku, dać z siebie wszystko i jeszcze więcej, i nigdy, nigdy się nie poddawać. Brakuje nam tego głosu. A gdy Eddie Rake jest daleko, tak bardzo za nim tęsknimy.

Mówił z coraz większym trudem. Wiedział, że jeśli natychmiast nie usiądzie, zrobi z siebie widowisko. Zerknął na Silosa, który zaciskał pięści, jakby chciał powiedzieć: Kończ, i to szybko.

- Kochałem w życiu pięć osób - dodał, patrząc dzielnie na tłum. Mówił coraz ciszej, ale zacisnął zęby i parł dalej. – Moich rodziców, pewną dziewczynę, która jest teraz na tym stadionie, moją była żoną i Eddiego Rake'a.

Zmagał się z sobą przez długą, bolesną chwilę i wreszcie zakończył:

- Pozwólcie, że już usiądę.

Gdy ojciec McCabe skończył odmawiać modlitwę i oświadczył, że uroczystość dobiegła końca, prawie wszyscy pozostali na swoich miejscach. Messina nie chciała pożegnać Eddiego Rake'a. Nie była jeszcze do tego gotowa. Kiedy zawodnicy wstali z krzeseł i zebrali się wokół Miss Liii, ludzie obserwowali ich z trybun.

Chór zaśpiewał cichą kościelną pieśń i parę osób powoli ruszyło w stronę bramy.

Każdy Spartanin chciał powiedzieć coś Jesse'owi Trappowi, jakby pogawędka mogła odwlec jego nieuchronny powrót do więzienia. Godzinę później Królik uruchomił kosiarkę i zaczął kosić trawę na południowym końcu boiska. Ostatecznie wieczorem był mecz z Hermantown. Do pierwszego wykopu pozostało pięć godzin. Gdy Miss Lila z rodziną odeszła od namiotu, Spartanie powoli ruszyli za nią. Robotnicy szybko zwinęli namiot, zdjęli brezent z bieżni i znieśli krzesła. Ławki na trybunach dla gospodarzy ustawiono w linii prostej. Na murawę spieszenie wyszła spóźniona ekipa malarzy. Uwielbiali Rake'a, ale boisko trzeba było poliniować, trzeba też było poprawić klubowe logo pośrodku. Przyszły cheerleaderki i we wściekłym pośpiechu zaczęły rozwieszać transparenty na ogrodzeniu wokół bieżni. Majstrowały też przy maszynie do wytwarzania sztucznej mgły, która miała udramatyzować ich wejście na strefę przyłożenia. Bramki ozdobiły setkami baloników. Rake był dla nich tylko legendą. W tej chwili miały na głowie ważniejsze rzeczy.

W oddali, na jednym z boisk treningowych, słychać było orkiestrę. Stroili instrumenty, ćwiczyli musztrę.

W powietrzu czuć było futbol. Szybko nadchodził wieczór.

Przy bramie zawodnicy uścisnęli sobie ręce i objęli się na pożegnanie, jak zwykle obiecując, że będą widywać się częściej. Niektórzy robili zdjęcia niedobitków swoich starych drużyn. Jeszcze jeden uścisk, jeszcze jedna obietnica, jeszcze jedno smutne spojrzenie na boisko, gdzie kiedyś grali w zespole wielkiego Eddiego Rake'a.

W końcu odeszli.

Drużyna z 1987 roku spotkała się w domku Silosa kilka kilometrów za miastem. Była to stara myśliwska chatka w głębi lasu nad brzegiem małego jeziora. Silos włożył w nią sporo pieniędzy - miał tam basen, trzy rozmieszczone na różnych poziomach tarasy, gdzie można było porządnie wypocząć, i długie na piętnaście metrów moło z małym hangarem na łódź. Jego dwóch pracowników, zapewne mistrzów złodziejskiego fachu, piekło steki na grillu. Nat Sawyer przywiózł pudełko cygar z przemytu. W łodzi chłodziły się dwie beczułki piwa.

Poszli do hangaru, gdzie na leżakach siedzieli Silos, Neely i Paul, obrzucając się wyzwiskami, opowiadając sobie kawały, gadając o wszystkim oprócz futbolu. Pili ostro. Kawały stawały się coraz sprośniejsze, śmiech coraz głośniejszy. Koło szóstej podano steki.

Początkowo mieli zamiar pojechać na mecz, ale jakoś nikt się do tego nie kwapił. Zanim Spartanie wykopali na boisku pierwszą piłkę, żaden z nich nie był już w stanie prowadzić. Silos się urznął i czekał go ciężki kac.

Neely wypił jedno piwo i przeszedł na colę. Miał dość Messyny i wspomnień. Chciał wyjechać.

Nadeszła pora wrócić do prawdziwego świata. Gdy zaczął się z nimi żegnać, błagali, żeby został.

Obejmując go, Silos omal się nie popłakał. Neely obiecał wrócić za rok, tu, do tej chatki, na obławanie pierwszej rocznicy śmierci Rake'a.

Podrzucił Paula do domu i wysadził go na podjeździe.

- Wrócisz za rok? - spytał Paul. - Poważnie?

- Na sto procent.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Ty nigdy nie dotrzymujesz obietnic.

- Tej dotrzymam.

Minął dom Lane'ów. Samochód z wypożyczalni zniknął. Cameron była już pewnie milion kilometrów stąd. Możliwe że w ciągu kilku najbliższych dni pomyśli o nim parę razy, ale na pewno nie będą to myśli głębokie.

Minął dom, w którym mieszkał przez dziesięć lat, park, gdzie jako dzieciak grał w baseball i futbol.

Ulice były opustoszałe, bo całe miasto poszło na mecz.

Na cmentarzu zaczekał, aż inny podstarzały Spartanin skończy medytować w ciemności. Gdy wreszcie wstał i odszedł, Neely przekradł się przez stężalą ciszę, przykucnął obok nagrobka Scotty'ego Reardona i dotknął świeżej ziemi na grobie Rake'a. Odmówił modlitwę, uronił łzę i długo się z nim żegnał.

Okrążył pusty rynek i bocznymi uliczkami wyjechał na żwirówkę. Zaparkował na Karr's Hill, usiadł na masce samochodu i przez godzinę oglądał i słuchał tego, co działo się na stadionie. Pod koniec trzeciej kwarty uznał, że już wystarczy.

Przeszłość w końcu odeszła. Odeszła wraz z Rakiem. Miał dość wspomnień i niespełnionych marzeń. Odpuść sobie, pomyślał. Już nigdy nie będziesz bohaterem. Te dni już minęły.

Odjeżdżając, poprzysiągł sobie bywać tu częściej. Messina była jego rodzinnym domem. Spędził tu najlepsze lata swego życia. Tak, wróci tu, pójdzie w piątek na mecz, posiedzi z Paulem, Moną i ich dziećmi, urznie się z Silosem i Hubcapem, zje coś u Renfrowa, wypije kawę z Natem.

A kiedy padnie nazwisko Eddiego Rake'a, uśmiechnie się, może się nawet roześmieje, i opowie o nim jakąś historyjkę. Taką z happy endem.

Document Outline

- ❖❖
- ❖❖